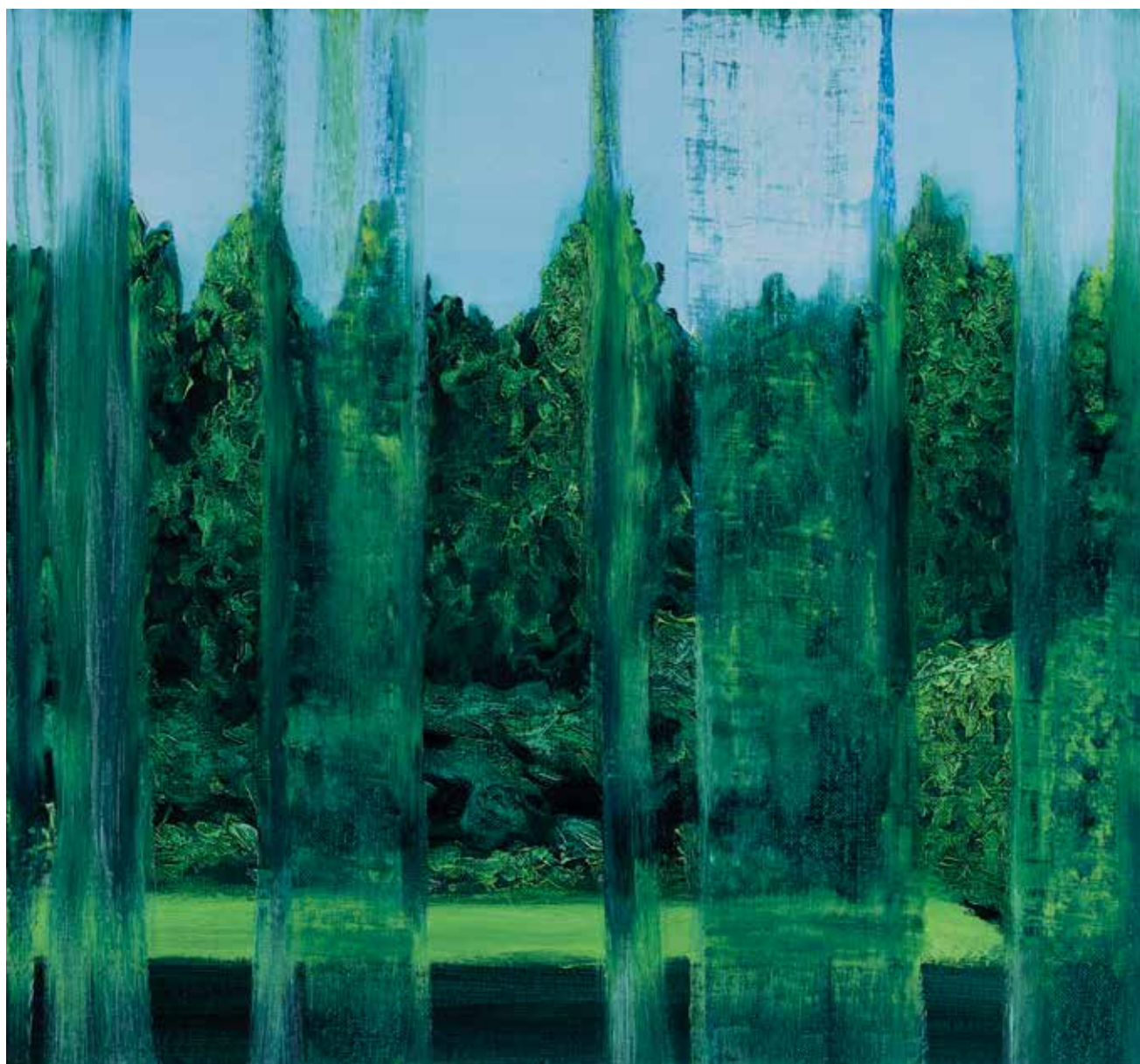


MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 12 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 2 (341) • ROK XXX • LUTY 2024



*SZKŁO BOLESNE
OBRAZ DNI*

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. Tomasz Bierek



W latach 20. przy ul. Mirowskiej w Częstochowie rozpoczęto budowę nowoczesnej jak na owe czasy elektrowni, której zadaniem było dostarczanie energii elektrycznej dla mieszkańców miasta oraz okolicznych miejscowości. Ostatnim etapem budowy tego zakładu było oddanie do użytku wysokiego komina. Obecnie budowla ta jest reliktem nieistniejącej już elektrowni miejskiej. Jedni widzą w niej zabytek techniki, inni szpecącą okolicę rudę. Na zdjęciu poprzemysłowe ruiny w miejscu dawnej elektrowni, po prawej widoczna podstawa zabytkowego komina.

Szczegóły str. 12

fot. Krzysztof Bielński



65 lat temu, w grudniu 1958 roku na deskach Opery Śląskiej po raz pierwszy wystawiano *Bal maskowy* Giuseppe Verdiego. Dzieło to znów znalazło się w programie Festiwalu Otwarcia „Wracamy do gry”, którym bytomski teatr muzyczny świętuje powrót na macierzystą scenę po dwóch latach nieobecności spowodowanej wielkim remontem i modernizacją obiektu. W obsadzie znaleźli się wielcy śpiewacy: Bogdan Paprocki, Andrzej Hiolski, Janina Rozelówna, Zofia Wojciechowska i Wiera Grabowska.

Szczegóły str. 32

fot. Agata Rucińska



Sławnemu historykowi kina, pisarzowi, scenarzyście, reżyserowi i wykładowcy akademickiemu, Stanisławowi Janickiemu, stuknęła dziewięćdziesiątka. Uroczysty benefis Jubilata zorganizowano pod koniec zeszłego roku w Białymostku. W rozmowie z dziennikarką Ewą Wojciechowską (na zdjęciu) opowiadał on licznie zgromadzonej publiczności o czasach swojej młodości i wieloletniej popularyzacji przedwojennych polskich filmów fabularnych („W starym kinie”). Pomysłodawczynią i reżyserką spotkania z uroczym gawędziarzem, obdarzonym znakomitą pamięcią, była Magdalena Piekorz.

Szczegóły str. 55



Żegnamy

ks. Tadeusza Isakowicza Zaleskiego

duszpasterza osób niepełnosprawnych,
teologa niezłomności.

W latach 2009–2017 proboszcza
ormiańskokatolickiej parafii południowej pw. św. Grzegorza Oświeciciela
z siedzibą w kościele Trójcy Świętej w Gliwicach.

Nr 2 (341). Rok XXX. LUTY 2024

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
SztukaKRYSZTIAN WĘGRZYNEK
KulturaTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
ANDRZEJ JARCZEWSKI
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKIKATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
GRZEGORZ SZTOLER
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:

MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ SŁUPIKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

Bezpośrednio w Biurze
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 104
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 144 zł, półroczna – 72 zł, kwartalna
– 36 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 12 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 Marian Kisiel CZWARTA NAD RANEM
4 Gabriela Łęcka PAZNOKCIE DO PRZYCIĘCIA. O POLSCE, UKRAINIE, ROSJI – NIECO INACZĘJ. ROZMOWA Z DR. MARCINEM GACKIEM
7 Witold Turant GŁOS Z UKRAINY. ROZMOWA Z MARGARETĄ STORONIAŃSKĄ
10 Weronika Górńska NIE OCENIAJ CZŁOWIEKA, TYLKO WIERSZ
12 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa KOMIN (NIE)DOMINUJĄCY
16 Krystyna Strączek PISZĄC HISTORIĘ. WSPOMNIENIE O ALOJZYM TARGU
19 ŚLĄSKA SCENA LITERACKA Radosław Kobierski WOJNA, MITOLOGIE, POSTPAMIĘĆ. O TOŻSAMOŚCI I PO TRAUMIE
20 ARCHIWA PISARZY Wilhelm Szewczyk DZIENNIK 1937 (2) Z rękopisu opracował Marian Kisiel
24 Olga Płaszczewska „PRZYJEŹDŹAJCIE, ROZTOMILI LUDZIE...”. O KONTAKTACH GUSTAWA MORCINKA I ALFREDA JESIONOWSKIEGO
29 Stefan Zabierowski KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI – LOSY TWÓRCZOŚCI
32 OPERA ŚLĄSKA Wiesława Konopelska WIELKA PREMIERA
42 Jacek Okoń FERDYNAND GOETEL I JEGO „POWIEŚĆ O WĘGLU”
46 Ryszard Twardoń CIAŁO WEWNĄTRZ- I ZEWNĄTRZCIELESNE (1)
50 Zbigniew Lubowski ZROZUMIEĆ ŚLĄSK!
52 Wojciech Lipowski MORZE CUDZEGO CIERPIENIA
55 Zbigniew Lubowski 90. URODZINY STANISŁAWA JANICKIEGO
56 TECHNICZNA HISTORIA ŚLĄSKA Stefan Gierlotka PIERWSZA DYSPOZYTORNIA
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek 80-LATKI DO PIÓRA! P78 Janusz Plewniak WŁOSKIE JERUZALEM
79 Andrzej Jarczewski APOLOGIA KOREKTOLOGII (IV) WYKURSYWIANIE
80 Magdalena Baraniecka NAGRODY DLA GLIWICKIEJ TURYSTYKI

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 GALERIA: MALARSTWO ZBIGNIEWA BLUKACZA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Romuald Cudak ZWIERZĘTA NIE BĘDĄ ZBAWIONE
14 Romuald Cudak WIERSZE
40 Patryk Kominek OSTATNIE POŻEGNANIE
44 Andrzej Jarczewski POSTBIZANTYJSKIE LISTY AMFOROWE
58 Jakub Jakubik WIERSZE
74 Grzegorz Olszański WIERSZE

FELIETONY

- 34 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski „RAJ UTRACONY” I „CZARNA MASKA” PENDERECKIEGO
36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzczyzna Jan Miodek BRZYM
37 ZAPISKI REZONERA Krzysztof Łęcki HISTORIA RIDLEYA SCOTTA
38 MAŁE NARRACJE Tomasz Bocheński HYBRYDY (6)
39 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich PEWNA NOWOROCZNA ROZMOWA
49 WYZNANIA GÓRNOŚLĄZAKA Tomasz Słupik SPOŁECZNY STAN NATURY
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko PRZEDSIONEK WTajemniczenia
76 BIAŁE KRUKI Jan Malicki CZYŻBY JEDNAK „PIEŚŃ ŚW. WOJCIECHA”?

KSIĄŻKI

- 62 Tomasz Pyzik NIEODLEGŁY SZMER ZAŚWIATA
63 Ryszard Bednarczyk PRZYPOWIEŚĆ O KURTYZANIE
64 Jerzy Orawski CIENIE PRZYCZAJONYCH WIDM
66 Piotr Skowronek WYDZIAŁ TEOLOGICZNY – HISTORIA POWSTANIA
67 Krystyna Heska-Kwaśniewicz KSIĘGA DLA ANDRZEJA GRAJEWSKIEGO

Na okładce:

Zbigniew Blukacz INTROSPEKCJE, 45x90, olej, płótno, 2019 (fragment)





Czwarta nad ranem

1
24 II 2022 – 24 II 2024.

2
Wojny ciąg dalszy. — Każda wojna przemienia. Pozostaną groby, osierocenie, pomstowanie i żal. I pozostaną wiersze. Ale cóż znaczą wiersze wobec cierpienia, jakiego doświadczają dzieci i żony, matki i ojcowie, mężowie, bliscy. Więcej mogą znaczyć wtedy, kiedy zabliźnione cierpienie zechce odnaleźć się w słowie przypominającym. Czy się odnajdzie? Doświadczenie lekturowe podpowiada, że się odnajduje. Wiersz to *katharsis*, którego tak potrzebujemy, kiedy nie ma do kogo otworzyć ust, albo kiedy wstydzymy się te usta otworzyć.

3
Gali-Dana Singer. — Jest wybitną poetką izraelską. Aleksey Surin napisał o niej, że to „rzadki przykład” twórczyni, „która spełniła się w równym stopniu w dwóch językach: rosyjskim i hebrajskim”. Miałem wielki honor tłumaczyć jej utwory do 4. tomu antologii *Z Rosji do Izraela*. Jest też tam wiersz, który bezpośrednio odnosi się do wojny, jaką Rosja wypowiedziała Ukrainie 24 lutego 2022 roku. Nosi tytuł *Ostatnia zima roku* i zaczyna się tak: „tam wciąż była zima / wiesz mroźna taka / ileż można / diwczyny i żynki miały przerąbane”. Poetka zaczyna swój utwór od przypomnienia pory roku, a wplatając do języka (wiersz jest napisany po rosyjsku) słowa ukraińskie („diwczyny”, „żynki”) od razu przenosi nas w czas tamtej zimy i w to, że kobiety wtenczas autentycznie „miały przerąbane”. Dlaczego kobiety? Bo mężczyźni (tego z wiersza nie dowiemy się, ponieważ sens został przeniesiony poza komunikat) byli na froncie. Poetka opisała

tamtą lutową rzeczywistość jako odcięcie od świata, skotłowanie i przepełnienie: „pełne piwnice / komory / szamba / zimno i mrok”. I opisała nadzieję: „zapasów powinno wystarczyć / na nową epokę lodowcową”. Nie ma w tym wierszu wojny, rozpałniania straty, jest kobieca bezradność i kobiece męstwo. Heroizm — tak właściwy osobom, które zwieemy „kruchymi”, ale to one trzymają świat, a kiedy świat upada, opłakują go i wnoszą na nowo: „z piwnic wznosiły / czarne worki śniegu // układały w stopy / zwoziły do lasów / paliły w piecach nocy / pogrzebowe stopy / szarego śniegu // szary popiół / wznosi się / i opada / szarymi płatkami śniegu / na szare popielisko”.

4
Poeta i jego czas. — Czas poety nie jest czasem jego wierszy, podobnie jak czasu wierszy nie określa ich temat. W rzeczywistości słowa (a innej niż rzeczywistość słowa nie znamy) wszystko wchłania wir; język — pisał Krzysztof Krasek — to „mroczne dziedzictwo, prócz siły sprawczej, budującej, owocującej, siła zachowawcza, konserwatywna, ciągnąca wstecz, w zmierzch, w ciemność słów umarłych, martwych, ku przeszłości” (*Antynomie języka*. „Nowy Wyraz” 1973, nr 3, s. 112). — Poeta próbuje okiełznać tę siłę, ale język ciągnie go tam, gdzie lęk wcale nie równoważy się z radością. Język przykuwa do miejsca, bo miejsce — jako pierwsze — jest (wszech)światem. Tu są bliscy i obcy; tu ujawniają się emocje i doznania; tu doznajemy związku i wyobcowania; tu — przestrzennie — niepokoi nas „tam”; tu — czasowo — doświadczamy, czym są narodziny i śmierć. Zwłaszcza — śmierć!

5
A czasem sobie myślę. — 1. że można z literatury uczynić prawdziwą nauczycielkę życia. Nie *historia magistra est*, lecz *artes literarias*. Jedyne warunki dla uczniów, studentów i amatorów literatury: trzeba czytać. — 2. że można na przykładzie literatury uczyć sposobów postępowania w życiu prywatnym i publicznym. Nie ma lektur niemodnych, nie ma lektur zaprzeczonych, nie ma lektur, których nie dałoby się wytłumaczyć kontekstem historycznym, społecznym i ludzkim. — 3. że te wszystkie gadania o tym, czy uczniowie powin-

ni czytać Reja, Mickiewicza czy Stafa (albo innych poetów), czy powinni oddawać się lekturze *Życi człowieka pocziwego*, *Dziadów cz. III*, *Chłopów*, *Przedwiośnia* albo *Kartoteki*, to są gadania tych, którzy nie przeczytali w swoim czasie poetów i lektur, znają tylko nazwiska i tytuły i mądrzą się niczym specjaliści. — Czasami sobie myślę, że mądrałińskim, którym nie jest potrzebna literatura, ale chętnie się na nią powołują, cytują z Internetu jakieś jej „kawałki”, należałoby cofnąć maturę. — Czasami sobie myślę, że 4. byłoby to „bardzo dobre” (Rdz 1,31).

6
Z dala od wiersza! — Jest mi nieprzyjemnie, nawet bardzo, kiedy wiersz wykorzystuje się jako argument polityczny. 11–12 grudnia 2023 roku, na kolejnych posiedzeniach Sejmu RP, kiedy następowała zmiana rządu, wielu posłów, którzy, kiedy czyta się ich wystąpienia, wcale nie rozumieją istoty poezji, potraktowali ją jako materiał do ilustrowania swoich partyjnych tez. Radziłbym wszystkim, by się powstrzymali. Poezja to nie są wytyczne otrzymywane od prezesów partii. Poezja to jest mądrość. Każdy, kto tej mądrości nie rozumie, niechaj po nią nie sięga. *Causa finita!*

7
Chanuka. — Chanuka to święto radości. Józef Flawiusz pisał w *Dawnych dziejach Izraela* (ks. 12, rozdz. VII, 7): „zachowujemy to święto, nazywając je świętem Świąteł; miano to pochodzi, jak sądzę, stąd, że wtedy zabłysła nam ta swoboda kultu, gdyśmy zgoła nie mogli się jej spodziewać”. — Kto bezczęści światło, staje po stronie ciemności. Nieprzypadkowo 12 grudnia byliśmy świadkami tego, że zbezczeszczenia dopuścił się człowiek z gaśnicą.

8
Cytat miesiąca. — „Czytam sobie Buckle’a i wyprowadzam z tego wszystkiego taki wniosek: jakieś ty dziecko, Stefeczku, jakiś ty głupi! Potrzebnież tobie było hodować takie śliczne kwiaty, by je podeptać później? Co ty poczniesz, biedaku, bez zapachu ulubionych kwiatów? Och, jak mi się życie przykrzy!” (S. Żeromski, *Dzienniki*, oprac. J. Kądziała, w: idem, *Dzieła*, red. S. Pigoń, cz. 5, t. 2, Czytelnik, Warszawa 1964, s. 99).

Zwierzęta nie będą zbawione

Zwierzęta nie będą zbawione mówi sucho ksiądz
Zwierzęta nie będą zbawione bo nie mają duszy

A ja Cię proszę, Panie Boże
jeśli zasłużę na niebo
to umieść mnie z dala od tego księżyny
najlepiej tam, gdzie pościeliłeś Opalowi
kochającemu mnie bardziej niż siebie
albo w zakątku gdzie poluje mała Tequila
bo coś miałbym robić w jego towarzystwie
i o czym rozmawiać

Zwierzęta nie zostaną zbawione mówi sucho ksiądz
Zwierzęta nie zostaną zbawione bo nie mają duszy

A ja myślę że skoro człowiek tak umiłował Boga
iż wyzwolił w Nim miłość bezgraniczną
to potrafi także w miłości powołać
dusze zwierzęce do istnienia

I pewnie będą kiedyś nieba
w których dostojni teolodzy będą rozprawiać
o człowieku który stał się koroną stworzenia
i takie
w których będziemy chodzić na spacerzy z Opalami
a Tequile będą wspinać się na szafy by z niejaką wyższością
kochać nas za to że mają miseczkę pełną mleka

fot. Tomasz Bienek



Paznokcie do przycięcia

Z dr. **MARCINEM GACKIEM** rozmawia **GABRIELA ŁĘCKA**



Zacznijmy od końca pana książki *Ukaszanie Monomacha*, czyli od mapki przedstawiającej I Rzeczpospolitą z okresu potopu szwedzkiego. Ma ona się nijak, do znanej powszechnie opinii, że oto w 1655 „jak w biblijnym potopie wojska szwedzkie zalały cały kraj”...

Uświadamia ona mało znany fakt historyczny, że w 1655 roku wojska króla szwedzkiego Karola Gustawa zaatakowały północne rubieże RP w momencie, gdy 2/3 kraju były zajęte przez wojska moskiewskie i ich kozackiego sojusznika: Chmielnickiego. Szwedzi zaatakowali kraj toczący od 1648 roku wyniszczającą wojnę domową z Kozakami wspartymi przez Tatarów oraz zaatakowany w 1654 przez cara Alekseja. Na marginesie warto dodać, że podobną sytuację obserwujemy w przypadku niemiecko-sowieckiej agresji na II Rzeczpospolitą we wrześniu 1939 roku. To prawda, iż Hitler zaatakował Polskę pierwszego, a Stalin dobił *wersalskiego bękarta* siedemnastego września. Jednakże po ustaleniu ostatecznej linii demarkacyjnej III Rzesza zagarnęła *tylko* 48% naszego kraju, a ZSRR 52%. A mimo to ciągle mówimy *okupacja niemiecka*. A przecież powinniśmy mówić okupacja sowiecko-niemiecka.

Przyznam, że do czasu lektury *Ukaszaniu Monomacha* byłem też pewna, że przełomową bitwą na froncie wschodnim podczas II wojny światowej była ta pod Stalingradem. Tak przynajmniej uczono nas w szkole i tak jest to przedstawiane w kulturze masowej.

Oczywiście Stalingrad jako „miasto Stalina” było wdzięcznym *tworzywem* dla propagandy nie tylko sowieckiej, ale i aliantów zachodnich, tak ochocho walczących do ...*ostatniego żołnierza rosyjskiego*. Klęska niemieckiej 6 armii na przełomie stycznia i lutego 1943 roku pod Stalingradem była spektakularna, podnosiła na duchu zmęczonych cywilów w państwach biorących udział w wojnie i dawała im nadzieję na ostateczne zwycięstwo. Odcisnęła swoje piętno na psychice Niemców. Wspomnę tylko niemiecki film fabu-

larny z 1993 pod tytułem *Stalingrad* ukazujący gehennę żołnierzy Wehrmachtu cierpiących z głodu i mrozu. Stalingrad do dzisiaj w Niemczech jest synonimem klęski ambicji imperialnych Berlina. Stąd nazwy ulic, czy stacji metra w Paryżu odwołujących się do martyrologii obrońców Stalingradu. Gdy o Stalingradzie jako bitwie przełomowej piszą dziennikarze, publicyści rozumiem to. Gdy piszą zawodowcy – szlag mnie trafia. Już po kapitulacji feldmarszałka Paulusa, w lutym i marcu 1943 roku doszło do krwawej bitwy manewrowej pod Charukowem, w której feldmarszałek Erich von Mansteina (prawdziwe nazwisko von Lewinski), odniósł zwycięstwo rozbijając oddziały szturmowe Armii Czerwonej. I, z wojskowego punktu widzenia, doprowadził do równowagi na froncie wschodnim. Hitler utracił inicjatywę strategiczną dopiero po bitwie pod Kurskiem w lipcu 1943 roku – i to był prawdziwy przełom. Dla historyków to „oczywista oczywistość”. Ale jako dziennikarka zajmująca się m.in. kulturą, przyzna Pani, że o wiele dynamiczniej i atrakcyjniej dla ucha brzmi *Obrońcy Stalingradu* niż *Uczestnicy bitwy na łuku kurskim*. Zresztą obydwoje mieszkamy w Katowicach, które padły ofiarą mitologizacji określenia *gród Stalina* – od 1953 roku do 1956 roku stolica Górnego Śląska nosiła *zaszczytne* dla polskich komunistów z czasów stalinowskiego totalitaryzmu, miano Stalinogród. Podsumowując – problemem jest przeniesienie wiedzy historyków akademickich do podręczników. Na przykład pojęcie *potop moskiewski* nie wymyśliłem sam, tylko zaczerpnąłem go z literatury fachowej dotyczącej wojen polsko-rosyjskich.

Książka, jak to na socjologa przystało o trochę zbyt długim tytule – *Ukaszanie Monomacha. Konflikt pomiędzy Rzeczpospolitą i Moskwą w latach 1648–1667. Studium socjologiczne z pogranicza wojny, literatury i polityki* – ukazała się w roku 2021 i dotyczy konfliktu pomiędzy Rzeczpospolitą i Carstwem Moskiewskim w XVII wieku. Decydującą rolę w tym kon-

flikcie odgrywały tereny dzisiejszej Ukrainy. Czy impulsem do jej napięcia była inwazja Rosji na Ukrainę?

Co do tytułu zgoda. Ale nie jest to książka publicystyczna, lecz akademicka. Pracę nad tą książką zacząłem o wiele lat wcześniej. Zbierałem materiały jeszcze przed 2014 rokiem. Nie przewidywałem wtedy oczywiście pełnoskalowego konfliktu na Ukrainie. Zainterесowały mnie trzy kwestie: po pierwsze byłem zafascynowany tym, że w latach 1660–1662 Rzeczpospolita prowadziła wielką wojnę z Moskalami operując jednocześnie na dwóch frontach tj. na północnym w kierunku smoleńskim oraz na południowym czyli kijowskim. Po drugie – i to chyba było najważniejsze – że *potop moskiewski* jest kompletnie nieznaną szerokiej polskiej opinii publicznej i to, że ta wojna została zapomniana, a przecież jej konsekwencją było w dłuższej perspektywie czasu dostanie się w orbitę wpływów rosyjskich terenów dzisiejszej Ukrainy, Białorusi, zachodniej części Rosji ze Smoleńskiem, tatarskiego Krymu, krajów bałtyckich i wreszcie Polski. I – po trzecie – interesujące dla socjologa było, w jaki sposób w naszej pamięci zbiorowej zbudowaliśmy kapliczki kliszy kulturowych, przed którymi bijemy pokłony, takich jak potop szwedzki, a wypchnęliśmy z niej tę najważniejszą wojnę.

Muszę przyznać, że tym, co poza problematyką i tytułem, do którego jeszcze wrócimy, skłoniło mnie do sięgnięcia po tę książkę było również to, że mój mąż nie daje zwykle *blur-bów* do publikacji akademickich. Wyjątek robi dla obszaru literatury pięknej, w którym polecił kilka książek. Na tylnej okładce pana książki napisał: „*Socjologia bez historii przypomina dekorację w Hollywood: ogromne sceny, niekiedy świetnie namalowane, za którymi nie ma nikogo i niczego*” – pisał *Charles Tilly*. *Marcin Gack* w «*Ukaszaniu Monomacha*» pod-

jął interesującą próbę wyjścia poza namalowane dekoracje”.

Jestem zaszczycony i niezmiernie wdzięczny prof. Krzysztofowi Łęckiemu za to, że zdecydował się tak wyróżnić moją książkę. Być może kluczem do odpowiedzi na to pytanie jest ocena (to ją sobie chyba najbardziej cenię) jaką usłyszałem z ust prof. Łęckiego, który dla przyjaciół potrafi być sarkastyczny i aż do bólu szczery w swoich recenzjach, że gdyby był dzisiejszym absolwentem liceum i przeczytał moją książkę, to zapisałby się na socjologię. Ten komplement zawiera bardzo gorzką presupozycję. Zakłada, że ktoś zada sobie trud, by dotrzeć do naprawdę niskonakładowego wydania, a po drugie, że są jeszcze uczniowie, którzy czytają papierowe wydania.

To chyba przesadny pesymizm i trochę lekceważący młodego czytelnika. Chciałbym się mylić. Porównanie do literatury pięknej jest o tyle zasadne, że jest to opracowanie odwołujące się do socjologii literatury. Staram się, jako socjolog, zderzyć fakty historyczne z sienkiewiczowską narracją, z którą, i owszem, starano się już rozprawić w okresie międzywojennym. Niemniej, głównie za sprawą filmów Jerzego Hoffmana, Sienkiewicz ponownie *powrócił* w krąg naszego

imaginarium społecznego w czasach PRL-u. Oczywiście jest, że pierwsza część trylogii, *Ogniem i mieczem* mogła być przeniesiona na ekran dopiero po upadku komunizmu. Ale najwybitniejszy polski film historyczny z gatunku płaszcza i szpady, czyli moim zdaniem do dzisiaj broniący się *Potop*, pozostawił wręcz anegdotyczną spuściznę antykomunistyczną. Był owocem epoki wczesnego Gierka – dekady *bi-gosowego komunizmu*. Ze względu na cenzurę omijał jakikolwiek skojarzenia z wojną moskiewską i podkreślał wątek walki słowiańszczyzny w sojuszu z Tatarami krymskimi przeciwko zachodniemu, heretyckiemu przeciwnikowi. Jędrus Kmicic idąc wysadzić kolubrynę, jak prawdziwy dywersant, posługuje się językiem wroga czyli... niemieckim. A mimo to Polacy w czasie komunizmu obrony Częstochowy bynajmniej nie kojarzyli z obroną wiary przed Szwedami, a w rozmowach krążyło powiedzonko „Przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i radziecki”. Skądinąd w książce analizuję przede wszystkim dzieło dziesięć-nastowiecznego lwowskiego historyka Ludwika Kubali.

Nie było bardziej współczesnych?

Od początku moim zamiarem było odwołać się do tekstu, z którego korzy-

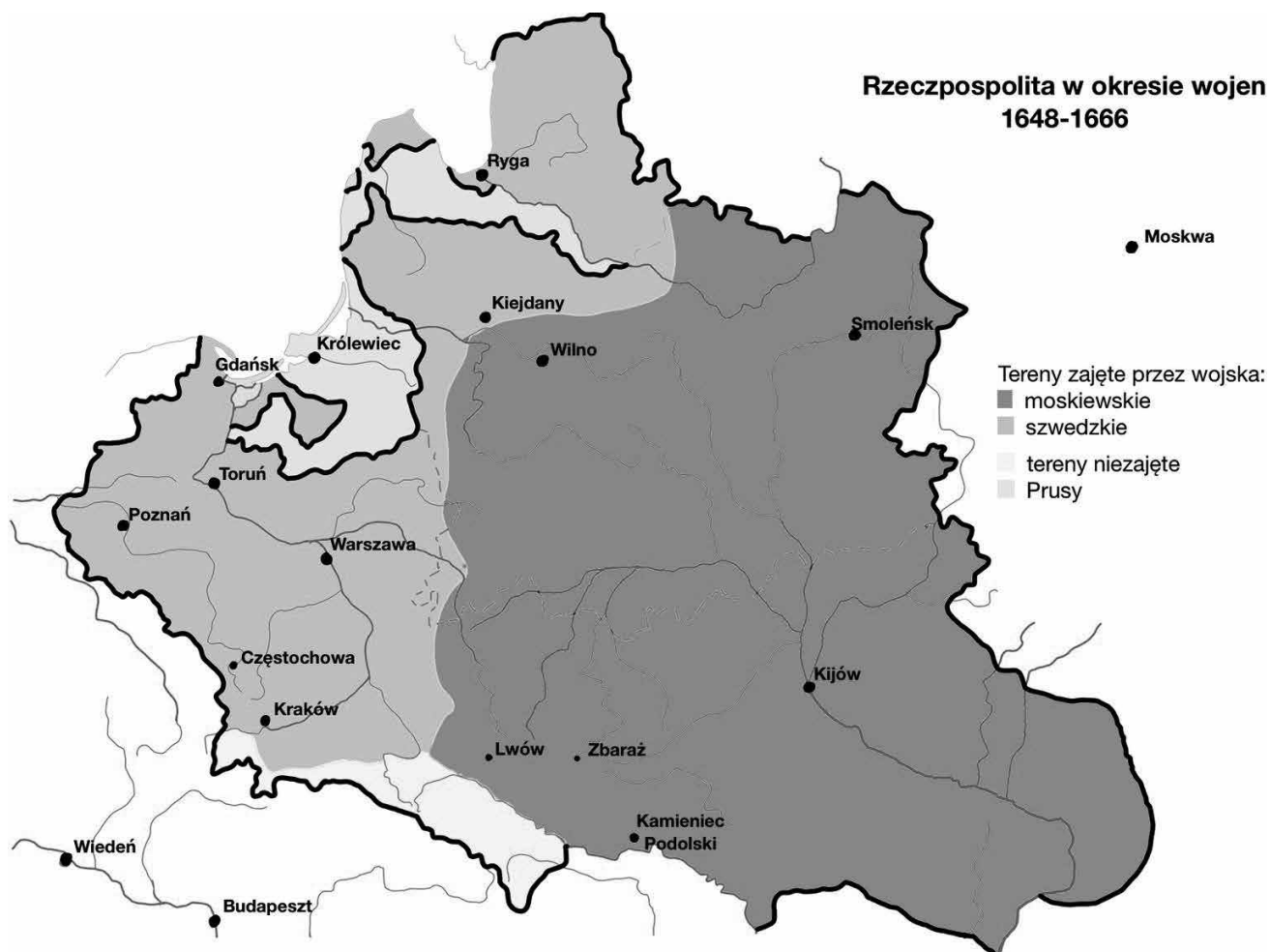
stał Sienkiewicz. To po lekturze Kubali opisującego powstanie Chmielnickiego, nasz pisarz-noblista zmienił zdanie i losy bohaterów trylogii umieścił w siedemnastym wieku, a nie w czasie zmagania Jagiełły z zakonem krzyżackim. Sienkiewicz wybierał takie tematy, które mogły zostać zaakceptowane przez cenzurę w zaborze rosyjskim, gdzie miały najwięcej czytelników.

To nic odkrywczego dla zajmujących się tą tematyką znawców literatury polskiej.

Oczywiście. Dlatego odwołuję m.in. do profesorów Wiesława Śladowskiego i Ryszarda Koziółka.

W swojej książce, często podkreśla Pan żal, iż i Rzeczpospolita była „Unią polsko-litewską”. Czyżby był Pan przeciwnikiem „jagiellońskiej” wizji rozwoju Polski?

Wręcz przeciwnie. Polska i Litwa były wówczas za słabe demograficznie, by oprzeć się żywiołowi germańskiemu z Zachodu i słowiańszczyzny wschodniej pod rządami Moskwy. W dodatku na południu mając państwo rządzone przez dynastię Osmanów oraz Krym z potomkami Czyngis-chana. Nieszczęściem Rzeczpospolitej było zbyt późne dostrzeżenie wagi wyodrębnienia się



tożsamości wschodniej części Korony. Tereny byłej Rusi, pod łagodnymi rządami prawa państwa Jagiellonów przeistoczyły się w załężki Ukrainy. Polscy politycy przegapili ostatni moment na pokojowe, a przede wszystkim skuteczne (podkreślam skuteczne) przeistoczenie Rzeczypospolitej Dwojga Narodów w Rzeczypospolitą Trojga Narodów po legendarnej bitwie pod Chocimiem w 1621 roku. Zaprzepaszczono możliwy moment uczynienia ze wspólnego zwycięstwa nad Turkami, mitu założycielskiego nowej wspólnoty złożonej z trzech narodów: polskiego, litewskiego i ukraińskiego. Proszę zwrócić uwagę, w 1621 roku Kozacy, czyli Rusini, grekokatolicy lub prawosławni, chcieli przelewać krew wraz Lachami za Rzeczypospolitą, a dosłownie niecałe trzy dekady później w 1648 roku, tych samych Lachów chcieli zarżnąć. Nie ma się co dziwić jeśli jedyną ofertą senatorów Rzeczypospolitej dla Kozaków było pogardliwe stwierdzenie *wy dla Rzeczypospolitej jesteście jak paznokcie do przycięcia*. Przypomniał to w piórze pt. *Kniazia Jaremy Nawrócenie* bard Solidarności Jacek Kaczmarski.

Czy to nie podobni do Jaremy Wiśniowieckiego, naśladowcy jego krwawą politykę względem Kozaków spowodowali powstanie Chmielnickiego?

No właśnie. Krwawa legenda kniazia Jaremy jest efektem propagandy najpierw moskiewskiej, później wielkoroskiej, imperatorskiej, aż wreszcie komunistycznej. To klasyczny efekt ukąszenia Monomacha.

No właśnie – skąd ten tytuł?

Geneza tytułu jest wielowątkowa. Do czasów Piotra Wielkiego czapka Monomacha, według legendy dar cesarza bizantyjskiego Konstantyna IX Monomacha dla jego wnuka księcia kijowskiego Włodzimierza II, była insygnium władzy wielkich książąt moskiewskich i carów. Do dzisiaj jest przechowywana z kremłowskiej Zbrojowni. Nałożenie tego kołpaka było synonimem koronacji, na księcia moskiewskiego, a potem cara, co miało podkreślać iż Moskwa jest sukcesorem Konstantynopola, czyli Trzecim Rzymem. Dopiero Piotr I zamienił ją na koronę imperatorską Rosji. Ukąszenie Monomacha nawiązuje do miłoszowskiego „ukąszenia heglowskiego”. Otóż z wyjątkiem króla Stefana Batorego, od szesnastego wieku elity polityczne Rzeczypospolitej zachowywały się jakby pod wpływem jakiegoś jadu, sączącego im do głów przesłanie o możliwości dogadania się z Moskwą. W naszej historii Moskwa uważana jest za takie samo zagrożenie jak Krzyżacy, Szwedzi, Turcy, Tatarzy, Habsburgowie. A to przecież Moskwa była największym egzystencjalnym zagrożeniem dla I RP

Czy Pan nie jest rusofobem?

To nie pierwszy raz, gdy jestem o to oskarżany. Zatem usystematyzujmy wiedzę. Zadam Pani jedno pytanie. Czy zgadza się Pani ze stwierdzeniem, że śmiertelnym wrogiem jakiegoś państwa jest ten sąsiad, który w swojej polityce zagranicznej, niezależnie od pokoleń, niezmiennie kieruje się doktryną jego unicestwienia?

To chyba oczywiste.

Czyżby? To dlaczego ciągle słyszymy o polskiej rusofobii, mimo, że od czasu powstania księstwa moskiewskiego, jedyną (koncepcja poszerzania kraju o marsz na wschód jest późniejsza) doktryną ważną do dzisiaj było i jest scalenie wszystkich ziem ruskich pod berłem Kremla, czyli zaboru terytorium kosztem Rzeczypospolitej. Gdy Moskwa przejęła inicjatywę strategiczną po traktacie andruszowskim w 1667 roku, wspomniane ziemie ruskie kończyły się w XVIII wieku ... na zachodniej granicy Rzeczypospolitej. W czasie rozbiorów caryca Katarzyna II oddała część terytorium I RP Prusom i Austrii, bo uznała, że warto mieć współników zbrodni. Gdy tylko Rosjanie wyczuwali słabość Rzeczypospolitej to natychmiast atakowali – jak za czasów króla Zygmunta Starego, gdy w 1514 roku zajęli strategicznie beczenny Smoleńsk. Gdy tylko Polacy odbili to miasto carowie bezwzględnie chcieli go odzyskać, stąd zwycięska kampania króla Władysława IV w latach 1632–34. Natomiast po swoich klęskach Moskale natychmiast proponowali Rzeczypospolitej sojusze i pokoje wieczyste. Był one zawsze wieczystymi do momentu słabości Krakowa, a później Warszawy. W 1650 roku poselstwo carskie butnie żądało odszkodowania za Smoleńsk, wyroku śmierci na kniazia Jareme i inne koncesje. A gdy Korona i Litwa zagroziły śmiertelnym dla Moskali sojuszem z Chanem tatarskim (ten zobowiązał się do zdyscyplinowania Chmielnickiego), potulnie podpisali pokój wieczysty, który pod byle pretekstem zerwali cztery lata później.

Dlaczego Moskale?

Dla Moskwy Kijów jest istotą tożsamości wielkorosyjskiej, jako pierwsza stolica Rusi. Do czasu gdy Jan Kazimierz swoją gnuśnością i niedołęstwem dopuścił do zajęcia przez wojska carskie Kijowa i wschodniej Rusi, Car, choć on oczywiście nie zgodziłby się z takim postawieniem sprawy, był jedynie władcą księ-



stwa moskiewskiego. Dopiero zajęcie Kijowa w 1654 roku i, jak mawiali Moskale Małorosji, zjednoczyło najważniejsze dwie stolice Rosji. Natychmiast po hołdzie Chmielnickiego w Perejaślawiu car Aleksy przyjął tytuł samodzięrcy Wielkiej i Małej Rosji. Tym samym otworzył drogę Piotrowi Wielkiemu do ogłoszenia się Imperatorem Wszechrusi w XVIII wieku. Rzeczypospolita oddając Kijów zrzekła się faktycznie schedy po Rusi Kijowskiej i pozwoliła Ukrainę nazwać Małą Rusią.

Bez Kijowa wielka Rosja jest Księstwem Moskiewskim?

Współcześnie geopolitycznie – nie. Ale w umysłach Rosjan – tak! W moim przekonaniu to zajęcie Kijowa czyni z Moskali mentalnych Rosjan. To chyba wiadać w obecnej wojnie Putina. Kto myśli, że Moskwa zadowoli się wschodnią Ukrainą, jest albo cynicznym zachodnim politykiem, który lekceważy Ukrainę i całą wschodnią Europę, albo pożytecznym idiotą. To współpracownicy Putina powtarzają, że jeśli Ukraina wstąpi do NATO, to ze stolicą we Lwowie.

Czy zatem historia się powtarza?

Nikt rozsądny nie poważy się dzisiaj na postawienie takiej tezy. Niemniej nie chciałbym by kiedyś jakiś polski pisarz, niechby nawet i noblista, mógł rozpocząć swoją książkę od zdania... *Rok 2022, był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia...*

Dziękuję za rozmowę.

dr Marcin Gacek (ur. 1973), socjolog i politolog, adiunkt w Uniwersytecie Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Ostatnio opublikował *Ukąszenie Monomacha. Konflikt pomiędzy Rzeczypospolitą i Moskwą w latach 1648–1667. Studium socjologiczne z pogranicza wojny, literatury i polityki*. Wydawnictwo Naukowe „Słask”, Katowice 2021.

Głos z Ukrainy

MARGARETA STORONIAŃSKA w rozmowie
z WITOLDEM TURANTEM

Margareta Storonianska jest międzynarodowej renomy wirtuozką bandury, tradycyjnego ukraińskiego instrumentu strunowego o niezwykle oryginalnym brzmieniu. Od chwili wybuchu wojny dzieli swój czas pomiędzy Niemcy, Polskę i swój rodzinny Lwów. Dodam jeszcze, że Margareta uświetniła swoją muzyką moje wrześnie spotkanie z czytelnikami „Śląska” w Mieście Ogrodów.

Drugim głosem z Ukrainy miała być Anna Gurbicz, współautorka „Dziennika zdruzgotanego życia”. Niestety, niedawno jej dom ucierpiał podczas rosyjskiego ataku raketowego na Dnipro i choć nie było to bezpośrednie trafienie, znalazła się wraz z czwórką dzieci w bardzo trudnej sytuacji i zajęcia takie jak pisanie muszą ustąpić pierwszeństwa naprawie dachu czy wstawianiu okien.

Jak pani wspomina dzień 24 lutego 2022?

Pamiętam bardzo dobrze poranek 24 lutego – obudził mnie brat o piątej rano słowami: „Wstawaj, zaczęła się wojna”. Kilka tygodni przed inwazją Rosji atmosfera w moim mieście była napięta, jakby przeczuwano nieszczęście. Jednak wtedy nie zwracałam na to uwagi, zajęta codziennymi sprawami, nauką i pracą po powrocie z Krakowa, gdzie byłam na stypendium. 24 lutego byłam w domu. Po przebudzeniu wypiliśmy kawę z babcią, siostrą i bratem, sprawdziliśmy najnowsze wiadomości, omówiliśmy plan działania i przystąpiliśmy do pracy – trzeba było wypłacić gotówkę, zaopatrzyć się w leki i żywność na pierwsze dni, zgromadzić zapasy wody.

Nikt nie wiedział, jak długo to potrwa i jak się sytuacja rozwinie, dlatego postanowiliśmy przygotować się na najgorsze. Rozpoczęliśmy poszukiwania czynnych schronów na wypadek zagrożenia.

Wszędzie były straszne kolejki – do bankomatów, do sklepów, korki na ulicach. Później w sklepach spożywczych wprowadzono pewne ograniczenia dotyczące zakupu towarów. Nikt nie spodziewał się, że wojna potrwa tak długo. Staraliśmy się być użyteczni – zbieraliśmy i sortowaliśmy pomoc humanitarną, ja też przez pewien czas tłumaczyłam z polskiego w centrum koordynacyjnym wolontariuszy. Bardzo się wtedy martwiłam o babcię i mamę.

Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi

się, że byliśmy niezwykle zrównoważeni i spokojni. Cieszę się, że mój rodzaj psychiki pozwolił na taką reakcję, bo sytuacja była naprawdę trudna.

Spójrzmy teraz w przeszłość: wojna praktycznie trwała od roku 2014. Jak ta sytuacja wpływała na pani życie, zanim zaczęła się wojna na pełną skalę?

To oczywiście, że początki wojny na Ukrainie w roku 2014 zaważyły na moim życiu i życiu mojej rodziny. Dramatyczne wydarzenia miały osobisty wymiar, gdyż straciliśmy bliskiego członka rodziny – męża mojej siostry, który zginął na froncie. Moja siostra została sama z dwójką dzieci i zaczęła się dla niej długotrwała walka o przetrwanie i adaptację do nowej rzeczywistości. Mimo że wojna nie objęła bezpośrednio obszaru, na którym mieszkałam, atmosfera niepokoju, niepewności i obaw o przyszłość była wszechobecna.

Pamiętam czasy Euromajdanu, gdy społeczeństwo ukraińskie jednoczyło się w dążeniu do demokratycznych zmian. Był to okres mobilizacji społecznej i solidarności. Wspieraliśmy manifestantów, śledząc bieżące wydarzenia i oddając głos w obronie wartości demokratycznych. Wydarzenia związane z Euromajdanem i wojną wpłynęły na moje podejście do życia i relacji społecznych. Stawałam się bardziej świadoma politycznych realiów, a jednocześnie bardziej empatyczna i współczująca wobec ludzi dotkniętych bezpośrednim konfliktem. Zaczęłam rozumieć, czym jest wojna, nawet jeśli nie jest bezpośrednio obecna w naszym otoczeniu, i jak wpływa na życie społeczeństwa. Pojawiła się wtedy we mnie jakaś nowa siła i zdolność przystosowania. Mam wrażenie, że zmieniła się moja osobowość.

A jak było przedtem; jak postrzegała pani swój kraj i życie w nim jako dziecko, jako dziewczyna, wchodząca w życie młoda kobieta? Jak widziała pani perspektywy rozwoju, dalszego życia? Czy to był kraj dla ludzi takich jak pani?

Moje spojrzenie na Ukrainę zmieniało się, szczególnie od momentu, gdy zaczęła się wojna na wschodnich obszarach kraju, i kiedy nastąpiło pełne zaangażowanie się Rosji. Obecny konflikt ma głębokie korzenie histo-



ryczne, a rosyjsko-ukraińska konfrontacja stawała się nieunikniona w wyniku propagandy ukierunkowanej na obniżenie patriotycznych nastrojów w społeczeństwie ukraińskim. Wojna w Ukrainie trwa już 10 lat. Rosyjscy propagandziści systematycznie tworzyli fundament dla eskalacji agresji. M.in. szerzyli mity o wspólnej przeszłości, „starszym bracie”, oraz tworzyli nastroj nostalgii za czasami ZSRR.

Dodatkowo – dyskredytowali ukraińskich bohaterów i przekłamywali fakty z historii Ukrainy. Obecnie Rosja nadal manipuluje historią, aby uzasadnić swoją agresję przeciwko Ukrainie. W mojej rodzinie zawsze gardzono opowiadano o życiu za czasów sowieckich. Nikt nie odczuwał za tym żalu.

Od najmłodszych lat nie miałam iluzji co do „bratnich narodów” czy podobnych bzdur. Od dziecka znałam rosyjski, chociaż w domu nigdy nie rozmawialiśmy w tym języku. Konsurowaliśmy przede wszystkim rosyjskojęzyczne filmy, książki i później literaturę specjalistyczną, ponieważ w tym języku mieliśmy znacznie większy wybór. To trwało do 24 lutego 2022 roku – dnia, w którym zapomniałam o rosyjskim i całkowicie się od niego odcięłam. Jeśli wcześniej mogłam choć trochę akceptować ten język w komunikacji, mając kilku rosyjskojęzycznych przyjaciół, teraz mój świat stał się bardziej kontrastowy, czarno-biały.

W 2014 roku, pomimo napięć, społeczeństwo nie było tak jednolite w swoim stosunku do Rosji, a wielu ukraińskich muzyków nadal współpracowało z Rosjanami i wykonywało ich muzykę. Jednak w 2022 roku większość Ukraińców przyjęła bardziej zdecydowane stanowisko wobec Rosji, odrzucając wszelkie usprawiedliwienia.

Co w pani życiu zakończyło się w dniu rosyjskiej inwazji, a co się zaczęło? Teraz bardzo wyraźnie czuję, że okres przedwojenny w moim życiu zakończył się, a rozpoczął się nowy, sama dokładnie nie wiem, jaki. Czasem tęsknię za codziennymi sprawami czy problemami, które kiedyś wydawały mi się istotne. W porównaniu z obecnym dniem, to były tylko drobne kwestie. Dawniej, czytając dzieła Remarque'a, dziwiłam się, jak bohaterowie jego powieści mogą siedzieć w kawiarniach, pić kawę, rozmyślać o życiu czy rozwiązywać codzienne problemy podczas wojny – przecież macie wojnę, ludzie! Teraz zaczynam rozumieć, o co mu chodziło. Życie nie da się zatrzymać, nikt nie zwróci ci tych lat.

Tęsknię za poczuciem bezpieczeństwa. Tęsknię za beztrąską, za brakiem zmartwień, za możliwością planowania przyszłości. Jednak wątpię, czy cokolwiek z poprzedniego życia może powrócić. Zmieniliśmy się. Definitywnie i nieodwracalnie.

Całe pokolenie dorosło (a nawet postarzało się) w wyniku tego doświadczenia. Choć pragnęłabym, aby pewne aspekty z przeszłości powróciły, zdaję sobie sprawę, że zmiany, zarówno w moim życiu, jak i w społeczeństwie, są trwałe i chyba nieodwracalne. Moje wartości, spojrzenie na świat i priorytety uległy całkowitej zmianie. Cieszę się z każdej chwili spędzonej z bliskimi i doceniam prostotę życia, której kiedyś nie dostrzegałam. Mimo tęsknoty, akceptacja nowej rzeczywistości kształtuje moje codzienne doświadczenia, inspirując mnie do szukania siły i nadziei w tworzeniu nowego rozdziału.

Czy i w jaki sposób wojna dotknęła pani najbliższych, rodzinę, przyjaciół? Wśród moich znajomych i bliskich nie ma osób, które by nie zostały dotknięte wojną. Wojna dotknęła wszystkich. Bez wyjątku. W roku 2022 mój brat, który poszedł ochotniczo służyć, został ranny. Wielu moich przyjaciół i znajomych walczy na froncie. Wszystkie sfery życia społeczności ukraińskiej zostały dotknięte tym konfliktem. Nie tylko chodzi o straty ludzkie, ale również o dramatycznie trudną codzienność, niemożność planowania przyszłości, troskę o bezpieczeństwo najbliższych i ciągłą gotowość do reagowania na zmieniającą się sytuację. Wszystko to kształtuje naszą rzeczywistość i wpływa na naszą percepcję świata. A jednocześnie ludzie pozostają zdeterminowani i gotowi wspierać się nawzajem, co wskazuje na ogromną siłę społeczeństwa w obliczu wyzwań.

Jest pani artystką o międzynarodowej renomie. Niedawno wróciła pani z trasy koncertowej w USA. Czy myśli o najbliższych, którzy zostali na Ukrainie, nie przeszkadzają pani koncertować się na występach?

Mam przywilej podróżowania po świecie, dzieląc się ukraińską muzyką i kulturą. Koncerty pozostają dla mnie źródłem satysfakcji, są ośrodkiem stabilności w tym niepewnym świecie. Przed wojną często występowałam w Europie, teraz też, mimo nowej rzeczywistości. Podróżowanie i występy nie stanowią dla mnie problemu. Jednak w Ukrainie, zwłaszcza w domowym otoczeniu, czuję się niesamowicie spokojna. To miejsce, gdzie pomimo braku kontroli nad sytuacją, obecność bliskich pozwala mi skoncentrować się na tym, co ważne, eliminując zbędne zmartwienia. Ostatnie koncerty w Stanach Zjednoczonych stanowiły dla mnie niezwykle doświadczenie, pełne głębokich emocji i pozytywnych interakcji z publicznością. Zauważyłam, że ludzie tam nie tylko przyjmowali moją muzykę z entuzjazmem, ale również wykazywali ogromne zainteresowanie ukraińską muzyką i samym instrumentem – bandurą. W trakcie koncertów często byłam zaskakiwana pytaniami ze strony publiczności dotyczącymi historii bandury, jej roli w tradycji ukraińskiej oraz różnic między ukraińską a innymi kulturami muzycznymi. To dla mnie była nie tylko chwila dzielenia się muzyką, ale także pełnienia roli edukacyjnej. Mam głęboką nadzieję, że poprzez moje występy i rozmowy z publicznością, ludzie zrozumieją i docenią bogactwo ukraińskiej kultury muzycznej.

To nie tylko wykonywanie pięknych melodii, ale także przekazywanie kontekstu kulturowego i historycznego. Wierzę, że w miarę poznawania ukraińskiej muzyki, ludzie zaczną odkrywać jej głębokie korzenie, bogactwo emocji oraz niepowtarzalny charakter. Ostatnie doświadczenia w USA umocniły moje przekonanie, że sztuka może być mostem łączącym różne kultury i narody. Być świadkiem otwartości ludzi na nowe brzmienia, na instrument tak specyficzny jak bandura, było dla mnie niezwykle inspirujące. Pomimo tego, zawsze towarzyszy mi tęsknota za domem i bliskimi, co sprawia, że podróżowanie staje się wyzwaniem emocjonalnym, z którym radzę sobie dzięki skupieniu na sztuce i głębokiemu związkowi z muzyką.

Jak zachowuje się publiczność na koncertach? Czy fakt, że reprezentuje pani kraj walczący o swoją wolność procentuje jakimś dodatkowym kredytem akceptacji u odbiorców? Na koncertach zauważam różnorodne

reakcje publiczności. Wiele osób jest zafascynowanych brzmieniem bandury, które stanowi unikalny element mojej muzyki. Widzę, że wielu słuchaczy jest ciekawych tego instrumentu, który rzeczywiście nie jest powszechnie obecny w muzyce klasycznej.

Jednocześnie, myślę, że świadomość historii Ukrainy, kraju walczącego o wolność, wpływa na odbiór mojej muzyki. Publiczność często dostrzega głęboki kontekst kulturowy i emocjonalny, co dodaje dodatkowego wymiaru mojemu grze. W pewien sposób fakt reprezentowania kraju, który przeżywa trudne chwile, może generować dodatkowy kredyt akceptacji. Teraz pilnie poszukuję kompozytorów do współpracy, którzy mogliby tworzyć nową muzykę dla bandury. Ten instrument jest wyjątkowy, ale dla jego popularyzacji potrzebujemy nie tylko transkrypcji utworów napisanych dla innych instrumentów, ale również oryginalnych kompozycji. To ważny krok w rozwijaniu repertuaru.

Jednakże, najważniejsze dla mnie jest to, że ludzie odczuwają autentyczność i pasję w mojej grze. Perfekcja wykonania oraz oddanie emocji poprzez muzykę są niezwykle istotne. Chociaż kontekst historyczny może być dodatkowym elementem, to jednak brzmienie, technika i wyraźne przekazywanie uczuć stanowią główne źródło zachwytu.

Bandura jest rzadko spotykana w instrumentarium muzyki klasycznej; kojarzy się raczej z ukraińskim folklorem. Jednak pani należy do tych muzyków, którzy wprowadzili i nadal wprowadzają ten instrument „na salony”. Jaka była droga do tej decyzji? Uwielbiam łamać stereotypy. Często podczas mojej nauki słyszałam komentarze w stylu: „O, jesteś bandurzystką, prawda? No to zaśpiewaj coś!”. I to mnie strasznie denerwowało, ponieważ nigdy nie postrzegałam bandury jako instrumentu akompaniującego. Już od dziecka uwielbiałam śpiewać, ale wokali i bandura dla mnie były dwoma oddzielnymi dziedzinami – zajmowałam się operowym śpiewem oraz grą na bandurze, ale osobno. Moja droga do wprowadzenia bandury „na salony” była wynikiem połączenia technicznego doskonalenia podczas studiów, profesjonalnego rozwoju i scenicznych doświadczeń. Dzięki temu mogłam stopniowo włączać do repertuaru utwory światowej klasyki, często dokonując własnych transkrypcji. Na moim koncercie magisterskim, na przykład, wykonywałam Preludium, fugę i wariacje Cezara Franka oraz Asturię Isaaca Albéniza.

W ostatnich latach zafascynowała mnie muzyka barokowa, obecnie piszę

pracę doktorską na temat transkrypcji i wykonawstwa muzyki lutniowej epoki baroku na bandurze. Stworzyłam transkrypcję wszystkich utworów lutniowych Jana Sebastiana Bacha na bandurę, planuję wkrótce wydać ten zbiór nut.

W konsekwencji znaczną część mojego repertuaru koncertowego stanowi także muzyka barokowa. Uważam również, że potencjał bandury jest więcej niż wystarczający, aby wykonywać nie tylko muzykę ludową. Chciałabym być inspiracją dla następnych pokoleń bandurzystów do ich własnych poszukiwań twórczych i poszerzania horyzontów związanych z bandurą. Poprzez swój repertuar staram się być ambasadorem tego instrumentu oraz kultury ukraińskiej. Pracuję nad promocją bandury jako uniwersalnego medium muzycznego.

Część pani edukacji i działalności koncertowej miała miejsce w Polsce. Jak pani wspomina ten okres?

To był wspaniały czas! Spędziłam pół roku w Krakowie, pracując nad projektem badawczym, dotyczącym muzyki lutniowej z epok renesansu i baroku, na realizację którego otrzymałam stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Polski „Gaude Polonia”. Razem z panią profesor Akademii Muzycznej w Krakowie, wybitną lutnistką dr Anną Wiktoria Swobodą, pracowaliśmy nad tłumaczeniem i adaptacją najlepszych przykładów badanej muzyki dla bandury. Mam szczęście, że los połączył mnie z dr Swobodą – to doskonała specjalistka i wspaniała osoba, z którą utrzymuję przyjacielskie stosunki do dziś. To właśnie ona pierwszego dnia wojny zadzwoniła do mnie, oferując pomoc, co było bardzo miłe z jej strony. Wykonałyśmy świetną pracę – przygotowałyśmy zbiór tłumaczeń utworów lutniowych dla bandury, dokonałyśmy ich nagrania i wyznaczyłyśmy kierunki dalszych badań. Planuję ponownie ubiegać się o to stypendium, ponieważ mam jeszcze kilka interesujących pomysłów na współpracę z polskimi muzykologami.

Oprócz tego projektu, od 9 lat występuję w Polsce solo i z różnymi zespołami. Mój pierwszy koncert zagraniczny odbył się w Tarnowie w roku 2015 z zespołem bandurzystów z Lwowskiej Narodowej Akademii Muzycznej im. Mykoły Łysenki. Z ostatnich dużych projektów w Polsce warto wspomnieć koncert w Filharmonii Szczecińskiej na festiwalu Turniej Muzyków Młodych w sierpniu 2022 roku oraz występ podczas prezentacji „Dziennika zdruzgotanego życia” Anny Gurbicz w Katowicach we wrześniu 2023.

Pobyt w Polsce był dla mnie czasem intensywnego rozwoju artystycznego

i osobistego. Zdobyć stypendium „Gaude Polonia” umożliwiło mi pracę z wybitnymi muzykami i poszerzenie swoich umiejętności w dziedzinie muzyki lutniowej, a atmosfera współpracy w Krakowie była niezwykle inspirująca. Pomimo wyzwań związanych z pandemią, udało się nam zrealizować znaczący projekt, który przyczynił się do promocji kultury ukraińskiej w Polsce. Współpraca z polskimi kolegami była dla mnie nie tylko artystycznym doświadczeniem, ale także okazją do budowania mostów między naszymi kulturami. Wspomnienia z tego okresu są dla mnie niezwykle cenne i motywują mnie do dalszego rozwijania artystycznego dialogu między Ukrainą a Polską.

Jest pani lwowianką. Z pewnością nieraz zetknęła się pani z polskimi lwowiakami, czasem w drugim pokoleniu. Jak odnoszono się do pani?

Większość spotkanych osób wykazuje zainteresowanie i szacunek wobec mojego ukraińskiego dziedzictwa, zwłaszcza z uwagi na wspólną historię Lwowa i silne więzi kulturowe między Polakami a Ukraińcami. W relacjach z Polakami, zarówno ze Lwowa, jak i innych regionów, często doświadczałam atmosfery otwartości i chęci zrozumienia różnic kulturowych. Jednakże, ze względu na złożoność historii i czasami napięte relacje między Polską a Ukrainą, niektóre osoby mogą zachować pewną ostrożność. Zwłaszcza ci z drugiego pokolenia, mogą być bardziej skłonni do akceptacji i otwarcia się na dialog, rozumiejąc, że dziedzictwo kulturowe jest czymś, co łączy nas, a nie dzieli. Ale zdarzają się również sytuacje, w których pewne stereotypy czy uprzedzenia mogą wpływać na wzajemne relacje. Jestem szczęściarą – zawsze w Polsce poznaję bardzo miłych ludzi. Z polskimi lwowiakami nie mam dużo doświadczenia w rozmowach, ale kilka osób, które znam, jest absolutnie wspaniałych. Dla mnie, jako lwowianki, bardzo ciekawe jest dowiadywanie się o życiu we Lwowie w okresie międzywojennym oraz różne ciekawostki związane z moim rodzinnym miastem.

Wojna z Rosją to nie tylko wojna o terytorium, ale także wojna o tożsamość narodową i kulturową. Jak w tym kontekście pani widzi swoją działalność?

Moje występy za granicą stają się nie tylko wyrazem artystycznego dziedzictwa, ale także głosem dla ukraińskiej tożsamości i kultury, które są nierozzerwalnie związane z walką o niepodległość.

W obliczu konfliktu z Rosją, moja muzyka staje się manifestem siły na-

rodowej. Przez grę na bandurze i wykonywanie ukraińskich tradycyjnych oraz klasycznych utworów, podkreślam nie tylko piękno naszej kultury, ale także jej trwałość. Poprzez muzykę pragnę przekazać światu, że niepodległość istnieje nie tylko w wymiarze geograficznym, ale także w naszej duszy i kulturze. Wspierając się tradycją i sztuką, pragnę być źródłem inspiracji dla tych, którzy chcą zrozumieć głęboką więź między muzyką a walką o wolność, godność i tożsamość narodową. Moja misja artystyczna staje się zatem nie tylko koncertowaniem, lecz także manifestem kulturowego oporu i umacnianiem ducha narodowego w obliczu dramatycznych czasów.

Co dalej? Jak pani wyobraża sobie rozwój swojej kariery artystycznej i życie w kontekście możliwych rozwiązań konfliktu i odbudowy życia w Ukrainie?

Widzę swoją przyszłość w Ukrainie. Doświadczenie koncertowania za granicą jest bezcenne, ponieważ każdy odwiedzany kraj, każda podróż poszerza twoje horyzonty i czyni cię bardziej otwartym. To jest bardzo ważne dla wszystkich twórców – być w stałym poszukiwaniu, stałym rozwoju, doskonaleniu się. Networking także odgrywa kluczową rolę w profesji muzyka, więc staram się w pełni korzystać z każdej podróży.

Po zwycięstwie Ukrainy będzie trzeba dużo pracować nad odbudową państwa. W moim głębokim przekonaniu każdy obywatel ponosi odpowiedzialność za swój kraj i powinien robić wszystko, co w jego mocy, dla jego dobra. Cieszę się, że negocjacje dotyczące przyłączenia Ukrainy do UE ruszyły z martwego punktu. Po dołączeniu Ukrainy do Unii podróżowanie stanie się łatwiejsze, co pozwoli mi połączyć stałe miejsce pracy i zamieszkania we Lwowie z zagranicznymi trasami koncertowymi.

W perspektywie rozwoju mojej kariery artystycznej i życia w Ukrainie chciałabym uczestniczyć w procesie odbudowy kraju poprzez sztukę i kulturę. Widzę siebie jako ambasadorkę kultury ukraińskiej, promującą nasze dziedzictwo muzyczne na arenie międzynarodowej. Planuję angażować się w projekty edukacyjne i społeczne. Być może w przyszłości będę wykładowczynią akademii muzycznej – lubię pracować z dorosłymi. Wykładanie na akademii byłoby dla mnie nie tylko formą dzielenia się wiedzą, ale także twórczym laboratorium oraz inspiracją dla nowych poszukiwań. Wierzę, że sztuka odgrywa istotną rolę w procesie uzdrawiania społeczeństwa i budowania lepszej przyszłości.

Nie oceniaj człowieka, tylko wiersz

WERONIKA GÓRSKA

Na sali siedzi około dwudziestu kobiet. Są wśród nich młodsze i starsze, szczuplejsze i pulchniejsze, w pełnym makijażu i preferujące naturalność. Jeżeli można coś wyczytać z ich twarzy, to wyłącznie skupienie, nie cechy osobowości czy historię życia. Na pierwszy rzut oka łączą je wyłącznie zielone uniformy – spódniczka, rzadziej spodnie i żakiet, spod których wyzieraają „cywilne” bluzki, legginsy i trampki. Poza jednolitym strojem nic nie wskazuje, że to osadzone. „Być może kierowałem się stereotypami, uprzedzeniami, ale kiedy je zobaczyłem, zaskoczyło mnie, że wyglądają tak sympatycznie i... niewinne” – powie o nich później Piotr Lamprecht.

Wydarzeniem, które zgromadziło te panie w świetlicy Aresztu Śledczego w Katowicach, jest rozstrzygnięcie XV edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego imienia Jeana Geneta. Patron został wybrany nieprzypadkowo. Ten francuski pisarz, skupiający się w swojej twórczości na społecznych nierównościach i wykluczeniu, sam padał w konflikty z prawem. Jeden z wyroków, w 1936 roku, odsiadywał właśnie w Katowicach. Pomysłodawcą oraz wieloletnim organizatorem poetyckich szranków dla osadzonych jest Wojciech Brzoska, poeta, który przez dwadzieścia lat pracował jako więzienny wychowawca do spraw kulturalno-oświatowych. W tym roku, po przejściu na emeryturę, organizację przekazał koledze

po fachu, Bartłomiejowi Zygarlickiemu, sam zaś zasiadł w jury. Ponad dziewięćdziesiąt zestawów wierszy, nadesłanych z aresztów śledczych i zakładów karnych w całej Polsce, pomagali mu oceniać inni poeci – Piotr Lamprecht oraz Bartłomiej Majzel. Jury przyznało trzy nagrody oraz pięć wyróżnień. Dwóch laureatów to osadzeni w katowickim areszcie.

Konkurs imienia Jeana Geneta bardzo się różni od podobnych wydarzeń „na wolności”. Mimo że nagrody są książkowe, a nie pieniężne i że jest adresowany do wąskiego środowiska, cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Na jedną z poprzednich edycji nadesłano aż sto sześćdziesiąt zestawów! Ze względów proceduralnych na rozwiązanie nie przyjeżdżają zamiejscowi laureaci. Natomiast ci miejscowi w tym roku nie uczestniczą w całym wydarzeniu, pojawiają się tylko na chwilę, by odebrać nagrody. Do udziału w wydarzeniu wychowawcy wytypowali bowiem grupę kobietą, a przepisy więzienne nie dopuszczają do kontaktów osadzonych różnych płci. Panie, stanowiące zaledwie pięć procent polskich osadzonych, również nadsyłają prace na konkurs i bywają nagradzane, jednak w tym roku wśród publiczności nie znalazła się żadna z nich. Mimo że obecne na rozstrzygnięciu kobiety nie mają osobistych powodów, by w napięciu oczekiwać na werdykt, to słuchają z ogromnym zainteresowaniem tego, co jurorzy mówią o nagrodzonych pracach i o pozycji w ogóle, podobnie jak czytanych przez nich wierszy. Widać, że aresztantki mają ogromną potrzebę uczestnictwa w kulturze, rozwijania się dzięki niej. Kiedy jurorzy pytają o ich zainteresowania, z entuzjazmem opowiadają o przedstawieniach teatralnych, które przygotowują pod kierownictwem wychowawczyń.

Chociaż zaopatrzenie przynajmniej niektórych więziennych bibliotek pozostawia wiele do życzenia, to statystyki czytelnictwa wśród ich użytkowników wynoszą około osiemdziesięciu procent, czyli dwa razy więcej niż wśród reszty polskiego społeczeństwa. Niektórzy osadzeni zawsze interesowali się literaturą, inni zaczęli to robić dopiero za kratami. Z niektórymi ten nawyk czy czasami wręcz pasja zostanie na resztę życia, innym minie po opuszczeniu więziennych murów. Jak zauważa Wojciech Brzoska: „Dla osadzonych zarówno czytanie, jak i pisanie, to mentalna przepustka do wolności, sposób by przenieść się, chociaż na chwilę, w inny czas i miejsce, forma resocjalizacji, ale przede wszystkim autoterapii. Ci ludzie muszą się skonfrontować nie tylko z własnym przestępstwem i jego bolesnymi konsekwencjami w postaci wyroku, ale też często z traumatycznymi doświadczeniami sprzed pobytu w więzieniu, przemocą, wykluczeniem społecznym. Wielu z nich ma zaniżoną samoocenę, mówią o swoich wierszach, że to nic takiego, nawet gdy są dobre. Bardzo ważne jest dla nich to, by ktoś okazał im zainteresowanie i uznanie. Zwłaszcza, gdy to osoba z wolności, ceniony poeta. Jeden z laureatów poprzednich edycji, mój wychowanek, powiedział mi ze wzruszeniem po otrzymaniu nagrody, że nigdy wcześniej nie został pochwalony za to, co robi”. Kto wie, może gdyby ktoś go wcześniej doceniał, jego życie potoczyłoby się inaczej i nigdy nie znalazłby się za kratami?

„Większość osadzonych to ludzie raczej pogubieni niż zli. W sprawniejszym systemie społecznym w ogóle nie trafiliby do więzienia” – taką tezę przedstawia jeden z laureatów, gdy proszę go o chwilę rozmowy po rozstrzygnię-



Jury – Piotr Lamprecht, Wojciech Brzoska, Bartłomiej Majzel

ciu konkursu. Starszy człowiek, kulturalny, wykształcony, przebywający w areszcie od niedawna. Nie pytam, z jakiego powodu. Trudno nie przychylić się do jego opinii, gdy weźmie się pod uwagę, że Polska i Węgry to państwa o najwyższej w Europie liczbie osadzonych w stosunku do liczby mieszkańców. W Finlandii ten stosunek jest czterokrotnie niższy. W dodatku spośród blisko osiemdziesięciu tysięcy polskich osadzonych aż jedenaście procent to osoby czekające na wyrok, często przez pół roku czy rok. Wyrok, który niejednokrotnie okazuje się uniewinniający. „Areszty i zakłady karne zatrudniają za mało wychowawców i psychologów. Nawet ci, którym naprawdę chce się zrobić coś dobrego, mają pod opieką zbyt wiele osób, by podejść do każdej indywidualnie czy chociaż zorganizować dla nich odpowiednią ilość zajęć. Biblioteka to jedyne miejsce, w którym mogę na chwilę odpocząć od więziennej rzeczywistości” – skarży się nagrodzony mężczyzna. Zgadza się na publikację wiersza, jednak prosi o zachowanie anonimowości.

Herbata zimna

Na stole
mleko
kwitnie już.
Ja zmęczony
leżę
zwykły tchórz.
Twe całe piękno
jakby znikło
nie ma go.
Gwiazdy pogięte
oddech równy
krok to krok.
Magia nieczynna
kino też
już wali się.
Poeci kradną
zwykle po to
by jeść chleb.
Rozdarte dusze
noszą serca
tam gdzie jest
trochę miejsca
gramy spokoju
komedia śmierć.

Czy wiersze osadzonych czyta się inaczej niż te „z wolności”? Na to pytanie wszyscy jurorzy odpowiadają twierdząco. Bartłomiej Majzel, który już po raz drugi juroruje w konkursie imienia Jeana Geneta, a przed kilkoma laty zrobił dwa reportaże – radiowy i prasowy – o jednym z laureatów, stwierdza: „Mając świadomość, w jakiej sytuacji są osoby, które te teksty pisały, podchodzę do zawartych w nich emocji z większą empatią, nawet gdy nie są dobre warsztatowo. Często posługujemy się metaforą więzienia, by podkreślić ograniczenia, jakim podlegamy. Myślę, że wobec osób po tamtej stronie muru to nie w porządku”.

Piotr Lamprecht, który jest nie tylko poetą, ale również duchownym, dodaje: „Ponieważ nadesłane na konkurs zestawy nie były opatrzone godłami, tylko nazwiskami autorów, kusiło mnie, by poszukać ich w sieci, sprawdzić, za co siedzą. Oczywiście, nie zrobiłem tego. Pisanie jest rodzajem egzorcyzmu, nazywania demonów po imieniu. Zaskoczyło mnie, jak niewiele demonów pojawiło się w tym konkursie. Spodziewałem się w tych tekstach agresji, wulgarności, a przynajmniej buntu. Tymczasem znalazłem poszukiwanie podstawowych wartości – piękna, dobra, sprawiedliwości”.

Jakub Pszoniak, juror poprzedniej edycji, wskazuje, że w zeszłym roku, wprost przeciwnie, pojawiło się wiele wierszy rozliczeniowych – nie tylko z własną kryminalną przeszłością, ale również z doznanymi krzywdami: „Szczególnie poruszył mnie tekst, w którym podmiot wyznawał matce, że już wie, iż to nie ona go biła czy dusiła, że tak naprawdę odpowiedzialny za to jest jej alkoholowy nałóg. Często pojawiała się też metafora księżycy widzianego zza krat, i to w utworach pisanych w różnych więzieniach”.

W kolejnych edycjach zmieniają się tendencje i motywy. Dawniej nadsyłano wiele mocno rozpolitykowanych tekstów. W tym roku, tak gorącym politycznie, o dziwo, nie ma ich wcale. Najczęstszym tematem poezji osadzonych, we wszystkich edycjach, pozostaje jednak samotność, tęsknota za bliskimi, idealizowanie ich. Mężczyźni zwykle ukazują w wierszach matki i partnerki jako osoby bezgranicznie dobre i piękne, wręcz pozbawione wad. Kobiety w podobny sposób piszą o dzieciach. A jak w ich wierszach prezentują się mężczyźni? „Nie widzę tutaj różnic między płciami – stwierdza Bartłomiej Majzel. – Tęsknota mężczyzn i kobiet piszących w więzieniu brzmi dokładnie tak samo”.

Zdaniem jurorów poziom w konkursie imienia Jeana Geneta nie odbiega od tego z konkursów „na wolności”. Podczas rozstrzygnięcia deklarują: „Oceniamy nie tylko, co autor ma do powiedzenia, ale również w jaki sposób to robi, czy posiada wyobraźnię oraz świadomość języka, umie bawić się znaczeniami słów. Nie trzeba nagradzać na siłę, bo faktycznie jest za co nagradzać”.

Jeden z laureatów poprzednich edycji, wychowanek Wojciecha Brzoski, który prosił go często o literackie korepetycje, konsultował z nim swoje teksty, po wyjściu na wolność nie przestał pisać. Publikował w prasie literackiej, czeka na wydanie tomu poezji. „Kiedy zobaczyłem wiersze mojego wychowanka w *Odrze* wzruszyłem się tak, jakbym sam właśnie debiutował. Takie osoby jak on dawały mi wiary w sens mojej pracy, nawet gdy czasami bywało trudno” – wyznaje Wojciech Brzoska.

Piotr Lamprecht widzi nadzieję na lepsze jutro dla osadzonych, którzy w areszcie śledczym czy zakładzie karnym piszą wiersze lub podejmują inne działania artystyczne: „To oznacza, że bronią się przed depresją, walczą o samych siebie. Robią to, o czym pisał Hans Georg Gadamer – wchodzą w dialog, rozmowę z odbiorcą, którym może być juror w konkursie, ale również towarzysze spod celi czy rodzina. Tam, gdzie pojawia się dialog, jest też budowanie relacji, a wraz z nią socjalizacji czy resocjalizacji. Dlatego ten konkurs jest bardzo ważny i potrzebny, podobnie jak inne działania aktywizacyjne w więzieniach”.

Pomysłodawca konkursu imienia Jeana Geneta również zwraca uwagę na dialogiczny charakter poezji więziennej: „Chciałem, by ten konkurs był wzajemną wymianą doświadczeń i wrażliwości między osadzonymi a jurorami, by dawał coś obu stronom”.

Pobyt w areszcie śledczym, miejscu pełnym krat, drutów kolczastych i strażników, jest bardzo przygnębiający. Nawet jeżeli trwa tylko kilka godzin i nawet jeżeli wiąże się z tak pozytywnym wydarzeniem, jak rozstrzygnięcie konkursu literackiego. To trudne przeżycie przynajmniej jednak, podobnie jak lektura poezji osadzonych, przynajmniej częściowo wczuć się w ich położenie, zrozumieć problemy, z którymi się borykają. Dostrzec w nich osoby skrzywdzone i zastanowić się, co zrobić, by więcej nie krzywdziły innych. Nie oceniać ich, a jedynie wiersze, które piszą. ■

XV edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego imienia Jeana Geneta, organizator: Areszt Śledczy w Katowicach, jurorzy: Wojciech Brzoska, Piotr Lamprecht, Bartłomiej Majzel, 8 listopada 2023.

Komin (nie)dominujący

JAROSŁAW KAPSA

Częstochowskie Aleje Najświętszej Maryi Panny prowadzą na Jasną Górę, zatem dominanta klasztornej wieży jest naturalnym zamknięciem krajobrazu. Jeżeli jednakże odwrócimy perspektywę, na miasto patrzeć będziemy od strony Jasnej Góry, przyjmując punkt widzenia Papieża, Prymasa i innych chwalebnych Gości, linię Alei zamykać będzie symbol arcyświecki: czerwony, ceglany komin starej elektrowni.

Debaty o przestrzeni miejskiej raczej nie interesują milczącej większości. W gronie mniejszościowym, od czasu do czasu, pojawia się spór o wspomniany komin. Tradycjonaliści postulują wyburzenie szkarady, by nie mącić nurtu tutejszej drogi świętej; cegła fabryczna nie powinna dominować nad gotykiem kościoła św. Zygmunta i neogotykiem katedry św. Rodziny. Przeciwnego mniemania są moderniści: dysonans między klasztorną wieżą a kominem określać ma dualność lokalnego rodowodu, spotkania ośrodka pielgrzymkowego z przemysłowym. Ponieważ tradycjonaliści zapatrzeni są w kierunku Jasnej Góry, widok kominu za plecami szczególnie ich nie drażni, przywykli i oswoili się. Bardziej gorączkują się moderniści, pragnący, by Częstochowa była taka jak wielkie miasta. W wielkich

miastach, a zwłaszcza na bliskim Górnym Śląsku, nobilitowana jest estetyka architektury przemysłowej, czemuż więc do tegoż trendu nie dopisać naszej lokalności. Ideolog częstochowskiej postindustrializacji, emerytowany profesor Politechniki, Antoni Sawicki postulował odrestaurowanie kominu i dodanie do niego nowych obiektów muzeum przemysłu częstochowskiego. Wizja ta spotkała się z wsparciem inżynierskich elit, lecz bez materialnego przełożenia. W Częstochowie obiektów muzealnych nie brakuje, za to odczuwalny jest deficyt zwiedzających.

Problem kominu prawdopodobnie rozstrzygnie nieubłagany czas. Samoistnie w gruz się rozleci; i to nie z powodu modlitw tradycjonalistów, lecz z braku uwagi ze strony właściciela, znanego koncernu o nazwie „Tauron”. Rozleciała się stara kotłownia, podstawa kominu; odgruzowany, choć nie posprzątnięty teren, opatrzone tabliczką: „Na sprzedaż”. Z daleka wizja ceglastej wieży frapuje, z bliska – przygnębia.

Argumenty Sawickiego, wsparte pracą naukową innego profesora Politechniki Aleksandra Gąsiorskiego, podnosiły lokalną dumę. Otóż, co podkreślali inżynierowie-profesorzy, Częstochowa była jednym z pierwszych miast Kongresówki, a być może i całego obszaru współczesnej Polski, gdzie wprowadzono uliczne oświetlenie elektryczne. Nie powinno się zatem dać wyprzedzać przez Łódź i miasta górnośląskie w procesach rewitalizacji dziedzictwa przemysłu energetycznego. Wizja elektryfikacji miast europejskich narodziła się w 1881 r. na paryskim, międzynarodowym kongresie elektryków. Za pierwsze miasto na naszym kontynencie, w którym wprowadzono elektryczne oświetlenie uliczne, uznaje się Dalkheimen, gdzie lampy zapłonęły w 1886 r. Wcześniej oświetlenie elektryczne wprowadzono w fabrykach. W 1879 r. Bernard Hantke, w swojej warszawskiej fabryce ustawił lokomobilę

zasilającą 5 lamp łukowych w halach produkcyjnych.

Częstochowskie pierwszeństwo rodziło się z wcześniejszych zaniechań. Ukazujący się w stolicy guberni, Piotrkowie, „Tydzień” z ubolewaniem pisał: *Oświetlenie naszego miasta gazem, jak na dziś, spoczywa w projekcie wprowadzie przedstawionym władzy, ale o wprowadzeniu go w czyn nic a nic nie słyhać a bardzo przydałoby się dla Częstochowy gazowe światło, gdyż istniejące dotychczas latarnie naftą oświetlane więcej zabawki jak rzetelny pożytek stanowić mogą. Rozstrzelone po punktach zbyt oddalonych jedna od drugiej, wśród ciemnej nocy – przyciemnione jeszcze cienistą aleją – ich mgławie światelko zda się być ognikiem duchów, lub gwiazdką bującą w przestworzu.* („Tydzień” nr 5 z dn. 4.03.1875). Nie był to problem w mieście zamieszkałym przez blisko 30 tys. ludzi, gdzie o rewolucji przemysłowej dopiero marzono. Piętnaście lat później w mieście było już sześć dużych fabryk, liczba mieszkańców się podwoiła, lecz stan miejskiej infrastruktury pozostał na małomiasteczkowym poziomie. *Ulica i plac przed dworcem, są to najruchliwsze linie w Częstochowie, które w porze letniej po dwa tygodnie nie polewane i nie zamiatane bywają; w porze zaś wiosennej wyciekają się wyschnięcia błota, później zaś zefirku dla rozdmuchania go po całym mieście. Niedokończony bruk na ulicy Dojazd znacznie powiększa ową kurzawę. Gaz, oświetlający dworzec i część placu, został skasowany, w jego miejsce rządzone oświetlenie naftowe z wiecznie kopcącymi lampami i to w tak niewielkiej ilości, iż trudno rozpoznać twarze przechodniów* („Tydzień” nr 16 z dn. 24.04.1889). Z próbami gazowego oświetlenia miasta, upowszechnionego w większości miasta za niemieckim kordonem, nie zbyt się udawało. Próbowano egzekwować od kamieniczników obowiązek zapalania lamp naftowych przed wejściami do domów. Mieszkańcy radzili sobie jak w średniowieczu, wędrując z łuczywem lub kagankiem w rękę. W tym krajobrazie budowa przez Magistrat pierwszej stacji elektrycznej była aktem desperacji.

W budynku z kamienia wapiennego, na zapleczu Ratusza, ustawiono lokomobilę i dwie „dynamomaszyny”; instalacja zasilająca 36 lamp łukowych. Latarnie świecące nierówno, często ulegające awariom, pojawiły się w 1887 r., rok po niemieckim Dalkheimen *Pierwsza stacja elektryczna była prymitywną, oświetlenie niedostateczne, przecież to już było coś mającego pozór europejski* –

fot. Tomasz Bieniek



pisał w 1914 r. autor monografii przemysłowe częstochowskiego Wincenty Szatkowski.

Ta pierwsza, może niezbyt udana, próba zdecydowała o przyszłości. W 1889 r. Magistrat wystąpił z ankietą, kierowaną do lokalnych elit obywatelskich, instytucji i fabryk. Większość zdecydowanie poparła wizję rozwoju elektryfikacji. Nie istniał jeszcze formalny samorząd, ale mieszkańcy samorzutnie powołali swych przedstawicieli, którzy w imieniu ogółu zadeklarowali wpłatę ponad 20 tys. rubli na realizację nowej stacji elektrycznej z 30 lampami łukowymi nowego typu. W 1891 r. zdecydowano zatem w Częstochowie, że nowoczesność to władza rad (samorządowych) realizująca elektryfikację. Realizacja ciągnęła się znacznie dłużej niż rewolucja rosyjska. W 1895 r. *Dawno oczekiwane w Częstochowie światło elektryczne, po raz pierwszy zażądano w dniu 29 kwietnia, o godzinie 2-jej. Latarni wszystkich jest 34, a jedna z nich ustawioną też została przed bramą wchodową klasztoru jasnogórskiego. Urządzenie oświetlenia kosztowało r. 18,000, opłata roczna za światło wynosi rs. 5,000. Światło elektryczne ożywiło ciemne dotąd ulice miasta i skuteczniej by jeszcze świeciło, gdyby słupy latarniowe nie były ustawione tak blisko domów, lecz przy drzewach w I alei, przez co nie marnowałoby się dużo światła* („Tydzień” nr 19 z dn. 13.05.1895 r.).

Dalszy rozwój częstochowskiej elektryfikacji to odważne wprowadzenie najnowocześniejszych rozwiązań w krajobraz przypominający zarosły staw. Pisano krytycznie o naszym mieście: *„jest jednym z najbardziej zaniedbanych miast w Królestwie: kurz, brud, dziury, błoto cuchnące, ciemności egipskie, zwłaszcza w dzielnicy fabrycznej (obok elektryczności w jednej jedynej alei, iście jak u elegancki żydówki z brudną pod spodem spódnicą) równać się tylko mogą... z brudem, błotem, kurzem i ciemnościami Dąbrowy Górniczej lub Sosnowca* („Tydzień” nr 40 z dn. 4.10.1896). Ile jednak było w tym prawdy, a ile rozżalenia gubernialnej stolicy, spychanej na podległe miejsce w szeregu dynamicznie rozwijających się ośrodków przemysłowych guberni piotrkowskiej: Łodzi, Częstochowy, Sosnowca i innych... Na wzór łódzki wybrano elektryczny napęd dla kolei łączącej Częstochowę z granicznymi Herbami. W 1897 r. powstała stacja telefoniczna obsługująca lokalne fabryki, instytucje i prywatne mieszkania notabli. Wytwórcie energii elektrycznej tworzone w większości dużych fabryk. W 1906 r. grono najznakomitszych notabli, w tym właściciel Jaskrowa Cyprian Apanowicz, fabrykant Henryk Markusfeld, inżynier Gustaw Wolski, lekarz i społecznik Józef Marczewski, utworzyło spółkę „Siła i Światło”. Uznając nieopłacalność inwestowania w małe wytwórcie energii, planowali budowę jednego dużego zakładu energetycznego zasilające oświetlenie uliczne, mieszkaniowe a także zapewniające potrzeby energetyczne fabryk. Odważnym elementem tego planu było połączenie inwestycji w budowę

elektrowni z budową elektrycznego tramwaju. Niestety opór biurokracji rosyjskiej uniemożliwił realizację tego zamierzenia.

Pojawił się także problem, nazwijmy go ekologiczny. Rozwój miejskiej energetyki opierał się na miejscu wyznaczonym przewidywanej w 1886 r., w wapiennym baraku na zapleczu Ratusza. Gdy wstawiano tam pierwszą lokomobilę, nikomu to nie przeszkadzało. Wielkomięjskość placu Ratuszowego kończyła się przy wejściu do Magistratu. Za nim rozciągały się puste, błotniste tereny, miejsce wypasu kóz i gęsi. W miejscu, gdzie dziś stoi częstochowski Urząd Miejski, był wielki dół zasypywany odpadkami. Ryczący i zięjący dymem i ogniem smok lokomobili w tym otoczeniu nie raził. W początkach XX w. ten krajobraz zmienił się na lepszy, w sąsiedztwie Ratusza przybierało eleganckich budynków, a dla ich mieszkańców hałas i czarne kłęby dymu wydały się czymś niewłaściwym. Tzw. Centralna Stacja Elektryczna była stopniowo rozbudowywana, przybierały nowe kotły, dynamomaszyny, zwiększała się ilość spalanej węgla. Produkowany pył brudził koszulki magistrackich urzędników, pokrywał czarnymi smugami pranie suszone na świeżym powietrzu. Nie znano jeszcze słowa ekologia, nie czytano o wpływie pyłu węglowego na płuca częstochowian. Ale protesty przeciw uciążliwości Centralnej Stacji Elektrycznej można odnotować jako pierwszy, w dodatku skuteczny, protest mieszkańców, w obronie środowiska.

Spółka „Siła i Światło” próbowała ograniczyć agresywność stacji centralnej, zwiększając produkcję energii w stacjach fabrycznych. W 1913 r. Cyprian Apanowicz wydzierżawił pomieszczenia po starej rzeźni na Zawodziu. Wiązał się z tym inny, aczkolwiek niezauważalny problem ekologiczny. Od zawsze zaopatrzenie miasta w mięso powodowało spędzanie stad bydła na prawy brzeg Warty. Rzeka nie była uregulowana, wschodni jej brzeg nie był zabudowany, jako narażony na podtopienia. W sąsiedztwie tych naturalnych pastwisk powstawały rzeźnie; odpady z tej produkcji mięsnej zabierała Warta podczas przyborów. Związek między spożywaniem brudnej wody rzecznej, a cyklicznie morderczymi mieszkańcami epidemiami, odkryto dopiero w końcu XIX w. Przeludnione, brudne Stare Miasto uznawało swój brak higieny za przypadłość, z którą żyć jakoś trzeba.

Pod naciskiem higienistów wyrzucono rzeźnię z Zawodzia, przeniesiono na podmokłe łąki osady Bór. Miasto rozbudowywało się dynamicznie, ważniejszy się okazał inny skarb zawodzianki – kamień wapienny. Zamiast smrodu dawnych ubojni dzielnica za Wartą pokrywała się drobnym białym pyłem. Płonęły ognie w wapiennikach, uszy przywijały do huku kamieniołomów. Ulokowanie w tym sąsiedztwie elektrowni nie było czymś rzącym.

Plan Apanowicza zatrzymała wojna światowa. Po odzyskaniu niepodległości potrzeby inwestycyjne miasta były zbyt duże, by dodatkowo łożyć na budowę elektrowni. Sięgnięto

po kapitał zagraniczny; w 1925 r. spółka „Siła i Światło” stała się własnością belgijskiego towarzystwa. Dzięki temu zakończono budowę elektrowni na ul. Mirowskiej, wznosząc nad Wartą, między Starym Miastem a Zawodziem imponującej wysokości komin.

Dzisiejsze spory raczej zadziwiłyby mieszkańców Częstochowy lat 20. XX w. Czy komin kontrastuje z wieżą Jasnej Góry? Były ważniejsze problemy. W komin zawodzianki zerkano z niechęcią z innego względu. Zastąpienie wielu producentów energii przez jeden duży koncern, wbrew obietnicom nie doprowadziło do zmniejszenia cen. Przeciwnie, w latach kryzysowych 1930–31 dyktat cenowy monopolisty doprowadził do buntu konsumentów. Przez rok mieszczańscy częstochowscy strajkowali, woleli świecić w domach przy świeczkach i kagankach, niż godzić się z płaceniem wygórowanych rachunków. Ceny były czymś wymiernie dotkliwym. A kwesta przestrzeni? Obserwowano wyraźną poprawę. Znikł „smoluch” z ratuszowego podwórka. Dawny kamienny barak służył przez rok jako stajnia magistracka. W 1927 r. głosy mieszkańców w plebiscycie na inwestycje z okazji dziesięciolecia RP zdecydowały o stworzeniu tu Stacji Przeciwgruźliczej.

Emisja pyłu z wysokiego, zawodzianckiego kominu, nie była odczuwalna przez sąsiedztwo. Bardziej narzekano na pył z wapienników. Miasto, w którego władzach byli lekarze higieniści (Józef Marczewski, Stanisław Nowak) zdecydowało o inwestowaniu w poprawę warunków ekologicznych. W sąsiedztwie Starego Miasta miały powstać „płuca Częstochowy” – zagospodarowane tereny zielone nad Wartą. Jako pierwszy element realizacji powstał park im. Gabriela Narutowicza. Umiejscowiony na prawym brzegu Warty, łączył się harmonijnie z zielonym otoczeniem szpitala, otaczał nową szkołę publiczną; neutralizował szkodliwy wpływ na sąsiedztwo nowej elektrowni. Dla miejscowych znacznie bardziej kontrowersyjna stała się inna inwestycja przy ul. Mirowskiej: budowa nowoczesnego więzienia. Ale i to oswojono, nazywając ponury arezt pawilonem „nad Sekwaną”.

Dysonans między zawodziankim kominem a wieżą jasnogórską nie był zauważalny, ani przez miejscowych, ani przez przyjezdnych. Elektrownia, mimo niechęci do wygórowanych cen narzucanych odbiorcom, stanowiła element lokalnej dumy. Władza rad zmieniała miasto na lepsze. Obok zatłoczonego Starego Miasta rosło nowe miasto – ogród. Planowano dalsze zagospodarowanie doliny Warty: budowę stadionu, kąpieliska, przystani dla łódek. Poczucie bezpieczeństwa tworzyło przyjazne światło elektryczne...

Stare Miasto stało się miejscem Zagłady częstochowian. Nowe miasto budowano w cieniu hutniczych kominów. Zawodzie od Częstochowy odcięła trasa DK-1. I to nad nią dziś wznosi się samotny kikut kominu. Dla jednych drażniący, dla drugich – frapujący; dla większości – obojętny.

Bajka nr 23 (wierszem)

Gdy zapada północ,
słyszę ciszę
w kapliczce nocy
i kroplę krwi,
która przelewa się we mnie.

Samotność
wywołuje cię z krzyża wspomnień.

Nasłuchuję
jak młyn pamięci
miełe twe imię:
znak z zagubionym desygnatem.

Campo de'Fiori

Siedzimy na Campo de'Fiori na wolnym powietrzu.
Obok przy stoliku mafioso rozlicza się z kurwą.
Rozlewa szampana do kieliszków i wypycha pięćdziesiąt euro
pomiędzy jej piersi.
Pod pomnikiem Giordana Bruna
fakir spaceruje po rozżarzonych węglach
a gawiedź bije mu brawo.
Pijemy piwo.
Tabliczka z napisem Campo de'Fiori
zawieszona na murze
jest już niewidoczna od naszego stolika.
Fakir łyka ogień,
gawiedź bije mu brawo.
Łapiemy się na tym, że buchający z ust fakira ogień
i rozżarzone węgle to w zasadzie jedyne światło.
Robi się chłodno.
Mafioso wędruje do łazienki we wnętrzu kawiarni.
Kurwa pałaszuje pastę.
Fakir zakończył występ bez auto da fe, dajemy euro za udany występ.
Rozchodzi się gawiedź, plac pustoszeje,
Agnieszka kończy wypełniać pocztówkę
Do jednego z najlepszych znawców poezji
Miłosza.
Giordano Bruno z kapturem narzuconym aż po oczy
Rozpływa się w zapadającym mroku.

Piszę wierszyki

Piszę wierszyki
jak dojrzewający młodzienciek
który poczuł trud
istnienia

wiem
bo kiedyś pisałem takie
wierszyki

może jest to
brak talentu

a może
jesteśmy skazani
w życiu
na nieustanny autoplgiat

Taką cię mam. Tryptyk

Najpierw namaluję ci
Brązowe olbrzymie oczy
W których się przeglądam
Potem zmysłowe usta których pocałunki
Śnią się po nocach
Potem ciepłe włosy
Drobne piersi
Nogi które trzeba kończyć
Zdecydowaną kreską

Wszystko będzie się zgadzać
Co do joty

Na końcu namaluję ci jeszcze
Serce
Jakiego do tej pory
Nie miałaś

Dla mnie

*

Trochę sobie wezmę ciebie
Głaszcząc twoje włosy
Składając pocałunek na ustach
Dotykając twoich piersi

Trochę sobie wezmę ciebie
Bo to przecież nie umniejsza cię
A wręcz przeciwnie –
Zakreśla obszar
Który już na zawsze
Będzie tobą

To co zabrane schowam
Do puzderka pamięci
Jako depozyt
Gdyby zakreślony obszar
Zaczął płowieć

*

Zapisuję cię na prześcieradle
Od stóp do głów
Abyś była

Szkoda tylko
Że obszarem tego aktu
Jest tylko moja głodna wyobraźnia
Z której znikasz
Gdy cię nie widzę

Koniec świata

Nie powłócz nogami
zżyma się żona
Nie powłócz nogami
bo to ewidentna oznaka
starości

Więc
kiedy śpi a ja
zajęty w kuchni
robię dla niej śniadanie
unoszę nogi do góry
jak brytyjski żandarm
kolana trzeszczą
łydki łapie skurcz
bolą palce u stóp

Kiedy wstaje
mam już tego dosyć
i wnoszę świeżo zaparzoną kawę
powłócząc zbolałymi nogami

Bajka nr 15 (wierszem)

Jest ciemność.
Jest tylko ciemność.
Boję się, że Bóg się pomylił
i ulepił mnie z gliny
na początku – w pierwszym dniu stworzenia.
Boję się, że Bóg się rozmyślił
i nie wypowie już żadnego słowa.
I że Słowo zostanie u Boga.
Boję się.

Wieczorem

wieczorem
chciałbym posłuchać
pobożnego śpiewu mamy
pochylonej nad maszyną do szycia
lub usiąść
na podółku babci
i jeszcze raz poprosić
o bajkę
gdyby ojciec miał dzień urlopu
i przyjechał do domu
chciałbym wieczorem
zagrać z nim w oko
bo zawsze daje mi wygrać

mama nie żyje od pięciu lat
babcia odeszła w ubiegłym wieku
ojciec
zginął w wypadku gdy miałem
dwanaście lat

piękna dama
którą pamiętam ze słonecznego snu
kiedy marzę
mówi poirytowana
– skoro tęsknisz, to się pospiesz
moja władza w tym przypadku
jest nieco ograniczona

Wczoraj umarł
Zygmunt Cyganek
sąsiad z piętra
i menel
choć w tym przypadku menel
brzmi dumnie
bo sąsiad zawsze pierwszy
mówił dzień dobry
i nigdy nie poprosił o 50 groszy na piwo
choć żałowałem
że tak mnie traktuje

Był dwa lata starszy ode mnie
i trudno powiedzieć
że zapił się na śmierć
Może raczej przygniotło go
życie

Dziesięć lat temu
stracił rękę i zawód kierowcy
Później
jego syn wypadł przez okno
na prochach
Wtedy zaczął pić
i odeszła go żona
ale widziałem ją kilka dni temu
jak robi porządki w jego mieszkaniu

Widywaliśmy się ostatnio często
Wracał ze spacerów
kiedy rano wsiadałem do samochodu
jadąc do pracy
Może postępował zgodnie
z zaleceniem kardiologa?

Tego mi nie powiedział
choć kiedyś
przez pół nocy opowiadał mi swoje życie
uparcie powtarzając
profesorze
mówię to panu
bo wy profesorowie po to jesteście
by nas wysłuchiwać

Nie miałem czasu
by iść na pogrzeb

Wiewiórka

Czerwona wiewiórka
przebiega trakt pomiędzy
Wydziałem Sławistyki
i Nauk Medycznych

Zatrzymuje się na chwilę
przy koszu na śmieci
Nie jest zadowolona
z naszego towarzystwa

Pewnie każdy winien robić
co swoje
a my akurat zbijamy bąki

Jest kolorowa kanadyjska jesień
Na tym banalnie zarysowanym tle
wiewiórka
robi wszystko co może
abym z zaistniałej sytuacji
sporządził jakoś wiersz

W minionym roku upłynęło 50 lat od śmierci Alojzego Targa, historyka, działacza podziemia antyhitlerowskiego, kustosa Biblioteki Śląskiej, redaktora Śląskiej Kartoteki Biograficznej. Dla mnie jednak spoza tych określeń, choć tyczą one mojego dziadka, długo nie wyłaniała się żywa postać.

Nigdy dziadka Alojzego nie spotkałam. Kiedy urodziłam się jako drugie dziecko jego najstarszej córki Ewy, od czterech lat już nie żył. Mieszkaliśmy w Krakowie, więc Śląsk znałam wyłącznie z wizyt u babci w Piotrowicach, a dziadka z raczej skąpych opowieści rodzinnych – o naukowcu i członku Armii Krajowej. Wiedziałam, że stracił zdrowie i radość życia w więzieniu stalinowskim. Ciekawił mnie jego dawny pokój, najcieplejszy w domu, gdyż dziadek – ważący niewiele ponad pięćdziesiąt kilo – niezwykle marzył. Fascynowało mnie biurko, wielkie, masywne – mebel, który Alojzy Targ odziedziczył po swym teściu, powstańcu śląskim i pośle na sejm II Rzeczypospolitej, Augustynie Janie Karkoszce. Pamiętam stary kałamarz i szafę biblioteczną. Książek w domu dziadków zawsze było mnóstwo, poupychanych w najprzedziwniejszych miejscach, jak kredens kuchenny.

Obrazy te, co dziś już wiem, stanowią kilka spojrzeń rzuconych przez dziurkę od klucza na losy pierwszego pokolenia polskiej inteligencji na Górnym Śląsku.



Alojzy Targ w swoim pokoju w Pracowni Śląskiej BS

Pisząc historię

Wspomnienie o Alojzym Targu

KRYSTYNA STRĄCZEK

Alojz, jak zwała go matka, urodził się 14 V 1905 roku w Łazach, wsi na Śląsku Cieszyńskim (wtedy, u progu XX wieku, austriackim) w polskiej rodzinie robotnika kolejowego i pracownika poczty, Jana Targa. Matka Katarzyna prowadziła gospodarstwo rolne i wychowywała syna oraz córkę, Agnieszkę. Mały Alojz pasał krowy, w przerwach zaś owego zajęcia uczęszczał do szkoły ludowej, gdzie zwrócił nań uwagę nauczyciel, polecając rodzicom zadbać o dalsze kształcenie syna. Alojz podjął więc naukę w Gimnazjum Polskim w Cieszynie, najstarszej na Górnym Śląsku polskiej placówce na szczeblu średnim. Podówczas Gimnazjum spełniało rolę wręcz ośrodka kultury polskiej promieniującego na cały region. Od czasów szkoły cieszyńskiej będą się dawały przyjaźń Targa z Ludwikiem Brożkiem zwanym dziś śląskim *Estreicherem*, Andrzejem Wantułą, późniejszym biskupem Kościoła ewangelicko-augsburskiego, Pawłem Musio-

łem, literaturoznawcą, wydawcą, publicystą i oświatowcem, postacią nietuzinkową na tle całego młodego pokolenia Ślązaków, czy znajomość z Kazimierzem Popiołkiem, po latach pierwszym rektorem Uniwersytetu Śląskiego. Dzięki wsparciu finansowemu stryja z Ameryki absolwent cieszyński mógł wyjechać następnie do Krakowa, by w latach 1925–29 studiować historię na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ta droga polskojęzycznego dziecka z podcieszzyńskich pól i austriackiej szkoły ludowej na krakowski uniwersytet, którą tak łatwo da się pomieścić w jednym akapicie, była w ówczesnej rzeczywistości baśniową podróżą na krańce świata. Stanowiła prawdziwy skok cywilizacyjny. Taki sam skok wykonała zresztą wtedy większość jego cieszyńskich przyjaciół, jak Musioł – chłopski syn z Lesznej Górnej czy Brożek – potomek górniczej rodziny z Karwiny, od jedenastego roku życia sierota. Pierwsze pokolenie polskiej inteligencji na Śląsku, poza jednostkami, nie dorastało w zaciszu bibliotek i gabinetów profesorskich ojców.

Alojzy z pewnością doceniał szansę, którą otrzymał. Po śmierci matki zrzekł się swego udziału w spadku na korzyść siostry Agnieszki: on – jak tłumaczył to w piśmie do Urzędu Skarbowego – otrzymał wykształcenie, zatem siostrze należy się gospodarstwo. Wykształcenie miało dlań wagę majątku.

Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel gimnazjalny m.in. w Królewskiej Hucie (obecnie Chorzów), Katowicach i Lublińcu. Jednocześnie aktywnie



Alojzy Targ

działal w kręgach młodych Ślązaków o nastawieniu narodowo-radykalnym. Już w czasie studiów związał się z krakowską Młodzieżą Wszehpolską oraz Stowarzyszeniem Studentów Polaków ze Śląska Cieszyńskiego „Znicz” (był prezesem, potem wiceprezesem sekcji krakowskiej). Po studiach zaś przyłączył się do grupy inteligencji skupionej wokół Pawła Musioła, najpierw w ramach stowarzyszenia „Nowa Polska”, a następnie, od 1935 roku, wokół czasopisma „Kuźnica”, nieformalnego organu śląskiego Ruchu Narodowo-Radykalnego.

„Musiołowcy”, jak ich nazywano, przeszli w latach 30. charakterystyczną ewolucję od, nazwijmy to, propolskiego regionalizmu przez zaostrenie poglądów nacjonalistycznych, aż po publicystykę o wydźwięku antysemickim. Dali się zatem ponieść fali, która popłynęła wtedy przez całą Europę. Poza tym jednak, chcieli również uczynić swój głos słyszalnym i mocnym, może wykuć własną drogę w opozycji do ojców, powstańców śląskich i zwolenników sanacji. Bezkompromisowość narodową na ziemi tak narodowościowo niedookreślonej traktowali jak misję patriotyczną. Pasowała w każdym razie do naturalnego radykalizmu młodości.

Kultywowanie czy wręcz – ratowanie dla Alojzego Śląska będzie stanowiło dla Alojzego wątek bardzo ważny, tak w okresie dwudziestolecia wojennego, jak i po wcieleniu Śląska do III Rzeszy w czasie II wojny światowej, a wreszcie także w czasach Polski Ludowej, kiedy swoje pióro historyka i warsztat badawczy wykorzystywał dla utrwalania śladów polskości na ziemi śląskiej. Wraz z dojrzewaniem człowieka oraz wobec przemian rzeczywistości – dojrzała, złagodniała i zmieniała się jednak forma wyrazu poglądów.

Kilkunastoletnia przyjaźń Alojzego Targa z Pawłem Musiołem ściśle związała ich losy także po wybuchu II wojny światowej. Te same narodowe przekonania i poczucie patriotycznego obowiązku pchnęły obydwu mężczyzn do udziału w konspiracji na Śląsku już jesienią 1939 roku, konspiracji prowadzonej na obszarze Ziemi Wcielonych do Rzeszy, zatem w warunkach o wiele trudniejszych niż w Generalnej Guberni. Alojzy, podjąwszy za namową przyjaciela w listopadzie 1939 roku „robotę” w podziemiu, działał u jego boku w sztabach inspektoratów cieszyńskiego i bielskiego ZWZ. Musioła ostatecznie kosztowało to życie. Wytropiony i ujęty przez gestapo jako dowódca cieszyńskiego okręgu Związku Walki Zbrojnej po dwóch latach ciężkiego więzienia został zgilotynowany w Katowicach w 1943 roku. Pozostał dla Targa wzorem postawy moralnej.

Po schwytaniu inspektora cieszyńskiego i rozbiciu organizacji w tym regionie, zagrożony aresztowaniem Aloj-

zy w 1941 roku osiadł na stałe w Warszawie, gdzie związał się z organizacją „Ojczyzna” skupiającą inteligencję Ziemi Zachodnich. Współpracował z Biurem Ziemi Zachodnich Delegatury Rządu RP na Kraj, a pośrednio także z Sekcją Zachodnią Departamentu Informacji i Propagandy. Od 1943 roku pełnił funkcję zastępcy delegata okręgowego na Śląsk, czyli podziemnego śląskiego wicewojewody. Uczestniczył w zakładaniu Tajnego Pedagogium Ziemi Zachodnich (jego *spiritus movens* była Stefania Mazurek) i wykladał w nim historię. Używał kilku pseudonimów, najczęściej jednak występował jako „Marcin”.

Również w życiu osobistym Alojzego zaszły w tym czasie istotne zmiany. Zakochał się w swej byłej uczennicy, a ówczesnej współpracownicy z grupy śląskiej „Ojczyzny”, Monice Karkoszce, co poskutkowało rozpadem pierwszego małżeństwa, zawartego jeszcze w 1937r. z Kazimierą Warzechą.

Pracy konspiracyjnej lat wojny oddał się w pełni sił intelektualnych i twórczych, a więzy, które połączyły go z współpracownikami, jak: Kirył Sosnowski, Zbyszko Bednorz, Edward Serwański, Edmund Męclewski, Jan Jacek Nikisch, Józef Kokot czy Stefania Mazurek, przetrwały do końca życia. Lata te stanowiły okres heroiczny i pamiętny dla Alojzego, zaś wagę wykonanej przezeń „roboty” podziemnej potwierdził otrzymany w 1944 roku Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. Do końca życia w korespondencji z drugą żoną, Moniką (a także, między innymi, Zbyszko Bednorzem) posługiwał się imieniem „Marcin”.

Z tamtego czasu pochodzi jego portret pióra Józefa Ryszki, młodego śląskiego poety (jesienią 1943 roku rozstrzelanego przez gestapo na Pawiaku): „Przyszedł Marcin, niski, w letnim paltociku z ogromną czaszką, jest moim przyjacie-

lem i ma o piętnaście lat więcej ode mnie, nie jest znowu taki niski, a robi wrażenie filigranowego człowieczka, twarz sucha, koścista, ogromne w stosunku do twarzy okulary i ten skromny, nieśmiały wyraz twarzy. Robi wrażenie prowincjonalnego pisarza w gminie obciążonego likiem domowych trosk i tuzinem dzieł. Patrząc na niego, boję się czasami czy nie jest zbyt przeciętnym zjadaczem chleba, popchniętym jedynie przez pomyłkę losu na szerokie tory życia. (...) Marcin! Czuję się tak małym, przerastając go o głowę”.

Po powstaniu warszawskim przedostał się do Krakowa, gdzie w połowie listopada 1944 został aresztowany i osadzony w więzieniu na Montelupich, następnie zaś trafił do obozów koncentracyjnych Gross-Rosen i Dora-Mittelbau. Był to już jednak przełom zimy i wiosny 1945 roku, zbliżał się koniec wojny i „Marcinowi” powiodła się ucieczka w czasie ewakuacji w południowych Czechach. Pod sam koniec maja powrócił do Łazów, rodzinnej wsi, przez kilka miesięcy leczyl się w szpitalu pod Bielskiem.

Jesienią 1945 roku osiedlił się w Katowicach. Zdążył opublikować książkę *Śląsk w okresie okupacji niemieckiej (1939–1945)*, nawiązać współpracę z katowickim oddziałem Zachodniej Agencji Prasowej, poznańskim Instytutem Zachodnim, a nawet Ministerstwem Ziemi Odzyskanych. Gdy w sierpniu 1947 roku podjął pracę etatową w Polskim Związku Zachodnim, postanowił przeprowadzić się do Poznania. Plany te jednak spaliły na panewce, gdyż 8 września został aresztowany, tym razem przez władze komunistyczne PRL. Śledztwo trwało dwa lata, Alojzego Targa skazano na dziewięć lat więzienia. Przetrzymano go we Wronkach, Barczewie i Iławie. W 1954 roku uzyskał zwolnienie warunkowe ze względu na pogar-



Alojzy i Monika Targowie z córką Moniką przy grobie Jana Karkoszki



Alojzy i Monika Targowiec z córkami Katarzyną i Ewą

szający się stan zdrowia, prawdopodobnie po interwencji Wilhelma Szewczyka u Bolesława Bieruta (co sugerują niektóre dokumenty z archiwów IPN). Być może stało się to w ostatnim momencie. W listach z tego okresu do Moniki pojawia się niewyczuwalny wcześniej cień utraty nadziei.

Los więźnia podzielił ze swoimi przyjaciółmi z konspiracji: Sosnowskim, Nikischem, Serwańskim, Bednorzem i innymi Wielkopolanami oraz Ślązakami, członkami „Ojczyzny”. Z nimi w najczarniejszym okresie okupacji opracowywał szczegółowe plany powrotu Polski nad Odrę i Nysę Łużycką oraz organizację życia i repolonizacji tak zwanych „Ziem Postulowanych”. Kiedy jednak to nierealne marzenie, wbrew wszelkim rachubom rozsądku stało się rzeczywistością, ci, którzy ryzykowali dla własną głową, zostali uznani za wrogów nowej Polski. Zapłacili drugi raz – wolnością i wyrzuceniem poza nawias społeczeństwa.

W 1960 roku Alojzy Targ doczekał się uniewinnienia i został zrehabilitowany przez Sąd Wojewódzki w Warszawie, a w 1965 roku otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Jednak wróciwszy u progu lata 1954 roku do domu, musiał zaczynać od zera – jako były więzień, niebezpieczny „reakcjonista” ze zrujnowanym zdrowiem, złama-

ny w toku brutalnego śledztwa, jako ojciec syna z pierwszego małżeństwa i dwóch córek z drugiego małżeństwa, których prawie nie znał (trzecia z córek miała się dopiero narodzić), jako naukowiec, któremu wojna i więzienie zabrały niemal piętnaście lat życia. Nawet o formalne potwierdzenie tytułu magistra będzie zmuszony specjalnie się ubiegać, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat zdając egzamin z filozofii konieczny do uzyskania absolutorium według powojennych wymagań. Ostatecznie magisterium uzyskał 2 VIII 1961 roku, a stopień doktora nauk humanistycznych rok później – decyzją Rady Wydziału Filologiczno-Historycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, na podstawie rozprawy *Opolszczyzna pod rządami Lukaszka i Wagnera*. W latach 60. podejmował starania o habilitację, jednak ostatecznie zabrakło sił, zdrowia i – czasu.

Od 1954 roku związał się zawodowo z Biblioteką Śląską w Katowicach, najpierw jako dietariusz, potem pracownik etatowy, starszy bibliotekarz, a wreszcie, od 1966 roku, po dwunastu latach pracy – kustosz dyplomowany. Zorganizował od podstaw Pracownię Śląską i objął jej kierownictwo. Przewodził zespołowi opracowującemu Śląską Kartotekę Bibliograficzną, która miała stać się podstawą edytorską Śląskiego słownika biograficznego – jego dzieła życia. Opracował założenia metodologiczne słownika, a także zasady dotyczące zbierania materiału – sposobu przeprowadzania wywiadów ze świadkami, stawiające współpracownikom wymogi delikatności, uważności i empatii. W 1966 roku donosił w sprawozdaniu, iż jak dotąd sporządzono liczącą 15 tysięcy pozycji listę haseł oraz 2500 gotowych życiorysów. Pracując nad kartoteką, stał się z biegiem czasu wybitnym znawcą losów zasłużonych Ślązaków, encyklopedią ich nazwisk i zasług.

Nie napisał nigdy „dziejów” Śląska, ale zawarł je w zgromadzonych biogramach tysięcy jego znamienitych mieszkańców i dobrodziejów (część z nich wyszła spod pióra samego Targa). Realizował w ten sposób swoją, można rzec, personalistyczną wizję historii.

Po jego śmierci, na przełomie lat 70. i 80. ukazały się pierwsze trzy tomy słownika na podstawie zebranego przez jego zespół materiału, według założeń innych niż przewidywał – bardziej zgodnych z wymogami ówczesnej polityki. Nie uwzględniono go jako współredaktora tomów, a jedynie jednego z kilkunastu współpracowników.

Pisał dużo. Był autorem wielu artykułów, tekstów popularnonaukowych, szkiców biograficznych, recenzji i wykładów o historii Śląska. Pośmiertna bibliografia jego prac, sporządzona przez ks. Franciszka Maronia liczy ponad 200 pozycji. Oprócz biografistyki, zajmował się działalnością stowarzyszeń polskich na Śląsku, problemem germanizacji polskojęzycznej ludności Śląska w XIX i początkach XX wieku, zagadnieniami na styku nowożytnej historii Polski i Niemiec oraz stosunkami Śląska z innymi dzielnicami Polski.

Pozostawał blisko środowisk katolickich – jako wykładowca Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, częsty autor „Gościa Niedzielnego”, konsultant historyczny hierarchów górno- i dolnośląskich, w tym arcybiskupa Bolesława Kominka. Znajomość z Arcybiskupem (nawiązana być może w okresie okupacji, a odnowiona w końcu lat 50.) przerodziła się zresztą z biegiem czasu w szczególną więź bratnich dusz. Kiedy 4 III 1973 zakończył życie w Katowicach, Bolesław Kominek, świeżo mianowany kardynał, napisał do jego żony, Moniki: „Wielce Szanowna Pani, już dawno wybierałem się do Pani z tym listem. W czasie mojego pobytu w Rzymie zmarł po ciężkiej i długiej chorobie w szpitalu Pani Mąż śp. Alojzy. W ostatnich kilkunastu latach jego życia byliśmy duchowo bardzo bliscy. Odwiedzał mnie regularnie. Przez śmierć jego straciłem dużo wewnętrznie i duchowo. Bardzo sobie jego zdanie ceniłem i podziwiałem jego zdecydowaną postawę religijną”.

Dziadek Alojzy. Nie mogę go pamiętać. Widzę go tylko odbitego w oczach innych i w tym, co pisał i jak żył. Wiotka, nadłamana trzcina miotana nawałnicą. Jeden z tych, którzy współtworzyli historię, lecz ona o nich zapomniała.

Krystyna Strączek (ur. 1977), filolog, publicystka, redaktorka książek *Ryszarda Kapuścińskiego Autoportret reportera i Rwący nurt historii: zapiski o XX i XXI wieku*. Jest współautorką wywiadów-rzek z bpem Grzegorzem Rysiem i o. Ksawerym Knotzem; autorka monografii *Kapuściński. Trudny talent*. Prywatnie wnuczka Alojzego Targa.

Wojna, mitologie, postpamięć O tożsamości i po traumie

RADOSŁAW KOBIERSKI

Śmiało można powiedzieć, że piąte, półrocznicowe wydarzenie w ramach Śląskiej Sceny Literackiej miało wymiar i charakter arcyśląski. Do tej pory tylko orbitowaliśmy wokół spraw i tematów śląskich, przybliżając się to oddalając od nich (nigdy jednak za daleko), teraz pojawiła się okazja zejść niżej, do samego centrum. Schodzenie, kierunku ku dołowi to zupełnie naturalna sprawa i cecha ludzi i kultury tego regionu. Ślązacy zawsze twardo stąpali po ziemi, ponieważ najlepiej znali jej grawitację.

Można powiedzieć, że efektem, refleksem, odbiciem tej grawitacji była zarówno śląska historia jak kultura i język. Język twardy w wymowie i zgoła nieśpiewny; mowa, która również dobiega z jakiejś głębi, zdaje się artykułować w samych trzewiach, poniżej przepony. Tak się składa, że nasi goście – Sabina Waszut i Marcin Melon, oboje urodzeni w 1979 roku i startujący w tym samym 2014 roku (Waszut powieścią „Rozdroża” nominowaną do Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus” za rok 2014, Melon pierwszą opowieścią o komisarzu Hanusiku, ale również jednoaktówką po śląsku „Komisarz Hanusik i Warszawiok”, nagrodzoną w konkursie i opublikowaną w zbiorze „Freedland”), całą ostatnią dekadę poświęcili właśnie badaniom owej głębi, przywracaniu historii i języka. I można również śmiało powiedzieć, że przejęli w swojej pracy i aktywności sztafetę od starszych kolegów po piórze i kulturze: m.in. od Kazimierza Kutza, Feliksa Netza, Stefana Szymutki czy Aleksandra Nawareckiego (w dużej mierze powyżsi autorzy zajmowali się pracą dziennikarską i eseistyczną, ale robili to w czasach postmodernistycznej, gatunkowej fluktuacji, więc bez ryzyka można mówić o związkach i zjawisku kontynuacji).

Marcin Melon, czytamy w materiałach bio, reprezentuje pokolenie, przy którym *po naszymu* *niy śmiało sie godać, co by bajtel niy miał problemów we szkole*. Z powodu takiego podejścia płynnie porozumiewa się po polsku, choć za swój „język serca” uważa śląską godkę i godka kreuje jego powieści i sztuki teatralne. Jest działaczem społecznym, założycielem i przewodniczącym

Stowarzyszenia na rzecz edukacji regionalnej „Silesia Schola”, twórcą autorskich programów nauczania o Śląsku oraz pomocy dydaktycznych dla nauczycieli.

Sabina Waszut pisze zazwyczaj powieści historyczne, oscylujące wokół tematów wojennych i powojennych (m.in. „Ogrody na popiołach” o świętochłowickiej Zgodzie, debiutanckie „Rozdroża”, „Naręczona z getta”) pochodzi z rodziny śląskiej od pokoleń, ale używa normatywnej polszczyzny.

Oto dwa przykłady wręcz modelowe dla przedstawienia strategii pracy ze śląskością i kulturą śląską – w sytuacji zgoła trudnej i niesprzyjającej: kiedy po pierwsze język śląski kojarzy się negatywnie jako nieodzowny składnik tożsamości (więc najczęściej nie kojarzy się wcale, żeby tej tożsamości nie uznawać), po drugie: gdy należy rozprawić się ze stereotypami, które wyjątkowo mocno i ściśle wciąż przylegają do różnych narracji o Śląsku z perspektywy centrum jak i wewnątrz regionu (vide: dupowaty Śląsk) i go odczarować, po trzecie wreszcie: kiedy historia regionu wydaje się wciąż za trudna, żeby ją przyjąć, zrozumieć, objaśnić, a już na pewno nie demonizować. Moglibyśmy dodać jeszcze czwarty punkt, skoro nasi autorzy zajmują się również edukacją i społecznym aktywizmem – niesprzyjające jest również to, że samemu Śląskowi, decydom i organom samorządowym wciąż za mało zależy na tym, żeby pokazać swoją siłę, swoje atuty w sferze szeroko pojętej kultury i edukacji.

Mamy więc z jednej strony różne strategie językowe: normatywną polszczyznę i nieskodyfikowany śląski (Marcin Melon publikuje również Hanusiki w wersjach dwujęzycznych) po to, żeby dotrzeć zarówno do niszowej grupy odbiorców (być może nawet ją poszerzyć) a grupie tradycyjnych odbiorców literatury przedstawić czytelną propozycję historyczną. Sabina Waszut proponuje nam przyspieszony kurs wypieranej historii, dotyczącej trudnych relacji tożsamościowych i wielokulturowych na Śląsku, Marcin Melon również rzuca tęskne spojrzenie w przeszłość, czasem

bliższą czasem dalszą, choć raczej interesuje go historia kulturowa, mitologiczna i religijna, wynikające z nich stereotypy i przesady, łączące ze sobą te wątki z ścią popkulturową swadą i umiejętnością. Opowieści z jego kolejnych sztuk teatralnych (jednoaktówki) i kolejne serie „Hanusików” tworzą bardzo wyjątkowe i niespotykane w literaturach małych ojczyzn, literaturach stylizacyjnych uniwersum. Niejednorodność gatunkowa koresponduje z różnorodnością etniczną Śląska, ale chodzi tu również o strategię pozakontekstową i pozahistoryczną: „Nie sposób pisać jednogatunkowo, w naszym życiu przeplata się konizm i tragizm, dlatego używam kontrastów, miksuje gatunki i style” „Kryminał bez humoru byłby dla mnie nierealistyczny”. Ale trzeba również przyznać, że kryminał – ten już odświeżony przez Melona (i sztuki sceniczne) nie tylko ma nam tę starą przypowieść, stare historie przywrócić ale opowiedzieć również o współczesności (np. o patriarchacie czy o mansplingu czy o wpływie zjawisk popkulturowych na nasze życie).

Sabina Waszut wg nowej polityki historycznej uprawianej przez prawicę zakwalifikowana została do „pedagogiki wstydu” i z pewnością z czasem znalazła na indeksie ksiąg zakazanych. W kolejnych powieściach zajmuje się trudnym relacjami polsko-żydowskimi przed wojną i podczas okupacji (Sławków), ale przede wszystkim splątana historią regionu i mieszkańców regionu, którzy stali się ofiarami dwóch systemów – w tym oficjalnej reprezentacji państwa polskiego po wojnie. Bardzo umiejętnie steruje żywiołem historycznym opartym na kwerendach, solidnym riszerczu i przeplata go literacką fikcją. To pisanie – mówi Waszut – jest dziś bardzo potrzebne, ludzie są spragnieni historii (w tym wojennych), również podanych w formie powieści, nie pracy naukowej. W zasadzie dopiero nasze pokolenie w pełni się na historię otwiera, może ją badać, zadawać pytania, bez tematów tabu. Może to robić ze względu na brak cenzury, ale również brak traumy, którą byli obciążeni nasi rodzice i dziadkowie”.

Wilhelm Szewczyk

Dziennik 1937 (2)

Z rękopisu opracował *MARIAN KISIEL*

Sobota, 9 stycznia [1937].

Lubię kino. Teatr jest znanadto klasyczny. Ograniczony do dekoracyj trzech ścian musi akcją dośrodkowywać. Film natomiast może akcją rozdrabniać, przenosić z miejsca na miejsce. To jest właśnie współczesność. Ciągła gonitwa jaką jest współczesne życie, znajduje swój pełny wyraz w filmie. W teatrze tego nie widzimy. I dlatego lubię kino, które ze „współczesnością” umie połączyć rzetelny romantyzm i pozornie przestarzały sentymentalizm.

W ogóle teraz chodzę dużo do kina. Oczywiście dopóki Władek ma pieniądze, bo on zwykle jest na tyle uprzejmy, że zawsze płaci.

W Rybniku, w „Apollo”, dają Martę Eggerth¹ w filmie *Słowik Wiednia*². Wiem, że akcja jest banalna, że można w tym filmie dostrzec dużo nieścisłości, dużo anomalii, ale Ona jest urocza. Ona jest taka swobodna, taka miła, prawdziwy słowik. Głos ma podniebny, czepiający się człowieka słodko jak grzech. Przy czym – gdy śpiewa – wygląda tak zabawnie rozkończona, zabawnie naiwna. Ona jest jakby żywcem wyjęta z [e] współczesnej bajki, jak powiedział Władek.

I jeszcze:

– Lubię Rybnik.

Miłe miasto stłoczone w kotlinie, taka sobie ruchliwa miastka. Na brzegach wyrasta nowe miasto, miasto współczesnych gmachów i will[i]. Ale to nie jest ważne. Ważniejsze jest to stare miasto, te [same] ulice i te swojskie twarze. Tak. W Rybniku każda twarz jest dla mnie swojska, jakby z jednej rodziny. I mam wrażenie, że wszyscy ci przechodnie, którzy się snują po rynku, na Sobieskiego, na Kościelnej i Korfantego, że oni wszyscy kochają Rybnik tak, jak ja.

Niedziela, 10 stycznia.

Ojciec interesuje się bardzo wojną narodową w Hiszpanii. Oczywiście sympatyzuje z powstańcami. Pochwala przy tym i cieszy się z pomocy niemieckiej, okazywanej powstańcom. Twierdzi, że Polska powinna tak samo postąpić, okazując w ten sposób jawną, czynną walkę z komunizmem. Zapomina o tym, że Polska w odróżnieniu od Niemców nie ma w Hiszpanii żadnych interesów.

Chciałem mu opowiedzieć pewien dowcip, który usłyszałem w radiu u Władka. Zauważyłem przy tym ciekawą rzecz: że coraz trudniej jest mi wypowiadać myśli w gwarze śląskiej. Chcąc nie chcąc musiałem przejść na język literacki. Gwara na określenie wielu pojęć i wrażeń nie może mi już dostarczyć odpowiednich wyrazów. Jest za szczupła dla szerokich gestów moich opowiadań. Jest za chamska dla wytwornych opowiadań miłosnych. Chociaż mimo wszystko jest piękna jak „sma-gły, cygański maj”³, jest urocza ze swoim prymitywizmem, ze swoją niezaradnością wobec wielu pojęć życia współczesnego, jak dziecko, które o coś prosi, a nie może tego „coś” nazwać po imieniu. W tym wypadku gwara jest zmuszona posługiwać się albo wyrazem z współczesnego języka, albo też swoją własną, zwykle poetyczną metaforą. Widzimy więc, że gwara, jeżeli tylko ma odpowiednie warunki rozwoju może niezależ-

nie od współczesności kształtować siebie coraz uroczej i cudniej, czemu w wielkiej mierze pomagają współczesne pojęcia.

Ja jednak powoli zatracam gwarę. Czuję jeszcze jej ducha, ale posługiwać się nią z pierwotną swobodą – nie mogę.

Z Władka jest drań. Miał pójść do biura – wolał jednak siedzieć w domu. Oczywiście, że ja byłbym zdolny być takim samym „draniem”. – On ma dziwny gust. Nalał na talerz octu, do tego wysypał ogromne płyty cebuli i kostki smacznego porzadno. Zajał to z chlebem. Skosztowałem tego, ale mi to w najmniejszym stopniu nie smakowało.

Marysi przepisał do pamiętnika ładny wiersz *Venus J.* [Juliana] Tuwima⁴. Do tego ja wyrysowałem groteskową figurę nagiej kobiety pod prysznicem w wannie. Jestem pewny, że Marysia za to się na Władka nie pogniwa, bo przecież wie, iż u niego jest możliwe największe świństwo. Inna rzecz, że my wszyscy dużo lubimy gadać, ale w rzeczywistości to jesteśmy porządnyimi ludźmi. Przecież na dziewczynki nie chodzimy, co dziś jest ogólnie praktykowane, burdelów tym bardziej nie odwiedzamy, a że od czasu do czasu odurzamy się nieskromnymi myślami – trudno, musimy jednak chociażby tylko w ten najniewinniejszy sposób wyładować swoją „energię męską”, jak to Władek stale nazywa.

Ryś pojechał z pamiętnikiem do Marysi. Powiedział, że jak pójdzie dobrze – przyjedzie prędzej. Powiedział naturalnie nieprawdę, bo jeżeli pójdzie mu dobrze – przyjedzie grubo, grubo później niż myślimy. W ogóle jego sposób myślenia o Marysi i rzeczach z nią związanych jest zupełnie niezgodny z tym, co o niej przed nami mówi. Więc i to dobrze jest jedynie chęcią wmówienia nam⁵ zerwania z Marysią. Chęcią niezgodną z jego sumieniem, ale za to drapującą go w tożę pewnego rodzaju „bohaterstwa”.

Nie lubię dyskusyj. Ale często muszę w nich brać udział. Po prostu, aby dać świadectwo prawdzie. Najczęściej dzieje się to w domu. Ojciec lubi się sprzeczać, chociaż nie ma racji. Babcia sprzecza się w dodatku głupio, gdyż nie umiejąc czytać, opiera się na wiadomościach, usłyszanych od innych.

Rozmowa zesła dzisiaj na kartofle.

Ojciec twierdził:

– Dawniej kartofle się po dworach nie darzyły, ponieważ nie umiano ich odpowiednio uprawiać.

Przerwała mu babcia:

– Katactam. Nie darzyły się, bo księża strasznie na gorzołkę przeklinali. Tak starzy ludzie godali.

Otóż to – starzy ludzie tak gadali. Przeważnie babcia się na ich twierdzeniach opiera. Nawet w odniesieniu do współczesnego życia.

Poniedziałek, 11 stycznia.

Nie tylko koleją łączą się z ogromem asocjacji uczuciowych. Każda inna, zwyczajna, może nawet głupia pieśń, jeżeli tylko

łączy się z jakimś przyjemnym lub w każdym razie charakterystycznym dla nas wypadkiem, wrażeniem lub sumą wrażeń, ma dla nas również znaczenie „wspomnieniowe”, pełne asocjacji tych czy innych uczuć.

Niech się dzieje, co chce. Napiszę. Już dawno minęła wściekłość, wypadek zasnuł się w połowie mgłą, wydaje mi się wprost nieżywotny i nigdy niemożliwy. Niech się dzieje, co chce. Milczałem dość długo, a przecież tamto pozostawiło we mnie wiele wspomnień, wiele wrażeń o ogromnej⁶ skali ich uczuciowej rozpiętości.

Zaśpiewałem sobie przed chwilą tango *O czym marzy dziewczyna...*⁷. Stary, niepopularny już szlagier. O banalnej treści. O prostej melodii. Ale o ogromnym sercu pewnego wrażenia, związanego z tą pieśnią.

Moja pierwsza miłość — — —

Niech się dzieje, co chce. Przedstawię ją sobie taką, jaką była i jaka ją jeszcze pamiętam. Dziś już mogę o niej pisać bądź co bądź obiektywnie. Dziś mogę ją już wspominać całkowicie niezależnie od przykrych wspomnień jej konsekwencji,

Było:

Listopad – 1934 r.

Na dworcu rybnickim jeszcze gwarnym (godz. 8 wieczorem) spaceruje gimnazysta⁸, uczeń klasy szóstej. Ubrany kuso z pewnym sileniem się na elegancję. Chodzi po kamiennej posadzce tam i z powrotem, tam i z powrotem. Przypatruje się każdej twarzy, każdemu kątowi. Chodzi prawie bezmyślnie, a może tylko po to, żeby wszyscy ludzie, którzy przesuwać się⁹ przez dworzec, wiedzieli, że on jest studentem.

Nagle podchodzi doń dziewczynka. O czarnych, lśniących włosach, o czarnych, ognistych oczach. W berecie studenckim, zawadiacko nasadzonym na prawy bok głowy.

Student uśmiecha się, zdradzając tym wewnętrzna przyjemność z tego spotkania. Jest to przecież jego obecna sympatia. Czternastoletnia uczennica szkoły handlowej, miła, rozgarnięta dziewczyna, niewinna jak anieli, a głupia, nie! przepraszam – naiwna jak mało która.

– Co ty tu porabiasz tak późno, Milka?

Milka patrzy się filuternie w jego oczy. Usta owijają przy tym w słodki, pieszczotliwy uśmiech.

– Byłam na zabawie.

– Na jakiej?

– Na szkolnej.

Błysk niezadowolony w jego oczach. Czyżby był o jej tańce zazdrosny? Może. Przecież to takie dziecko, które każdy umie wykorzystać po swojemu, po chamsku.

– Sama?

– Nie. Z koleżanką. Mieszka niedaleko mnie. A pociąg nas odbiegł. Musimy teraz czekać do dziesiątej. Pójdziemy do poczekalni, co?

– No przecież.

Milka wbiega w jakiś ciemny korytarzyk. Po chwili ukazuje się z dziewczynką. Jest nieco grubsza od Milki. Twarz ma świeżą, młodziutką, ale zdradzająca pewną wewnętrzną dojrzałość. Ciemnoblonde włosy, przechodzące miejscami w odcień żółty, ówdzie w brunatny, wychodzą spod żółtej, domowej roboty czapeczki, proste ale równo obcięte na wysokości jednej czwartej uszu, zdobionych w małe, złote kuleczki kolczyków. Ubrana jest w zielony, „myśliwski” płaszcz, ściągnięty luźno w pasie. Jedno mnie u tej dziewczynki intryguje – ogromny, paniński biust. Piersi wypinają żółtą (domowej roboty) bluzkę miarowo i żywotnie. – Milka ma małe, okrągłutkie pączki piersi. Kiedyś student domacał się ich pod twardą, nakrochmaloną po wiejsku bielizną. Ale ma twarde piersi. Tak twarde jak kolana, na które pozwalała się wstydliwie łaskotać w ciemnym kinie.

Milka niezgrabnie prezentuje koleżankę:

– Lodzia Fojtówna.

– Wilhelm Szewczyk.

Znajomość zawarta.

Wyobraźnia studenta intensywnie pracuje. Obraz tej niebieskookiej dziewczynki o dobrych manierach przypomina mu coś, coś... ach!

– To pani, zdaje się, często przyjeżdża rowerem na przystanek?

– Tak, to ja. A pana zauważam prawie zawsze: albo wyglądającego oknem domu, albo czekającego na pociąg do Rybnika.

Ale (ciekawe!) studenta ta nowa znajomość na razie nie interesuje. Więcej i serdeczniej rozmawia z roztrzepaną Milką. Toteż odczuwa ogromne zadowolenie, gdy Lodzia wychodzi na moment z poczekalni. Wykorzystuje to i przysiadła się ku Milce, prawiąc jej parę niewinnych czułości, których ona nie rozumie i z których się śmieje.

Wieczór upływa szybko. Na tablicy dzwonek wybija złością napis: Katowice – peron II.

Trzeba wyjeżdżać.

Student bierze ciężki pakunek Lodzi, w którym jest zegar elektryczny. Kupuje paniąkom bilety i z błażącym grymasem przechodzi przed frontem dowcipkujących kolegów szkolnych.

Pociąg pędzi przez ośnieżone, mroczne pola. Rozcina ciemną draperię nocy szpadami dwóch oślepiających latarni.

Po prawej, blisko stacji końcowej ich podróży, w mroku majacej kontury kilkunastu domków. To kolonia Malenie¹⁰, rozłożona wzdłuż toru, daleko od innych domów, wśród pól i kęp nagich drzew. Tu mieszkają obie panienki. Dotąd odprowadza je student jeszcze tego dnia. – Mróz skrzypi pod stopami. Gwiazdy zasnuwają się dymem kopalnianych kominów. Na świecie jest cisza.

Milka codziennie jeździ do szkoły. Chodzi w śmiesznym, obcisłym, jasnomodrym płaszczu, mocno ściągniętym w pasie. Wchodzi zwykle do tego samego przedziału, dokąd kieruje się student.

Student interesuje się po dawnemu tylko Milką. Jest mu przecież przyjemnie, gdy ona mocuje się z nim o jakiś przedmiot, który dla obojga nie ma właściwie żadnej wartości. Rozmawiają o byle czym, najczęściej o nauce, w której on jej pomaga. Tłumaczy jej historię, gramatykę i matematykę. Rozmawiają też i o Lodzi. Milka mówi o niej jako o dobrej koleżance. Jako o bogatej jedynaczce. Jako o interesującej się nim wreszcie dziewczynie.

W drużynie harcerskiej, w której student piastuje urząd sekretarza, przygotowują imprezę teatralną. Mają być odegrane dwie sztuki, obie napisane przez studenta. O, tak! Student jest również poetą. I dlatego jest uczuciowo bardzo wrażliwy. Sam jest autorem, aktorem i reżyserem swych sztuk.

Na wieczornicę zaprasza obie panienki. Przesyła im z zaproszeniami bilety na najlepsze miejsca.

9 grudnia.

Powodzenie sztuk niezbyt gorące. Za zbyt patriotyczne. Nudnawo patriotyczne. Oczywiście tylko „ofiara młodych orląt”. Powodzenie ma za to humoreska *Sztuczny patron*, napisana w gwarze śląskiej.

W pierwszym rzędzie siedzą Milka, Lodzia i jej trzeci z rzędu ojczym (ojciec padł w powstaniu, matka – dwukrotna rozwódka). Po przedstawieniu student w bluzce harcerskiej i w brudnych, twardych, sportowych spodniach przedstawia się ojczymowi Lodzi. Zostaje powitany miłym, przychylnym uśmiechem.

– Gratuluję panu młodych orląt – mówi Lodzia.

– Pani się to podobało? O, jakże się cieszę. Widzę, że większości się to jednak absolutnie nie podobało.

– Nie przejmuj się pan tym. Nikt się, niestety, na tej sztuce nie poznał.

– A mnie się podobał sztuczny patron – szczebioce Milka.

Potem trzeba się pożegnać. Panienki odchodzą w dwukilometrową drogę do domu – student wita i żegna kolegów szkolnych, którzy raczyli zaszczyścić premierę jego sztuk.

Styczeń – 1935 r.

Dzień taki, jak wszystkie inne. Śnieg, mróz wiatr. Milka przychodzi na dworzec ośnieżona jak bałwan. Nie otrzępuje z siebie śniegu, ale staje w kącie i pozwala topnieć grubym płatom. Przyzywa studenta żywszym błyskiem oczu i nieznaczną ondulacją uśmiechu.

– Lodzia przysłała Ci kartkę.

Ona mówi swobodnie. Naturalnie, na tematy dla niej „ważne”.
– Milka mówiła, że pan jej kazał odebrać napisane mi pieśni. Ale ja jej nie uwierzyłam. Ona jest zazdrosna o pana i dlatego mówi mi takie różne rzeczy.

Lodzia zaczyna mówić dużo niedobrych rzeczy o Milce. Że nawet nie jest jeszcze przez nikogo poinformowana o zaczynającej u niej występować menstruacji. Że jest po prostu głupia.

– A to jest nieprawda, co?

Krótkie zawahanie się. Zaprzeczyć własnym słowom? Przenieść kłamstwo na milutka Milkę?

– Nieprawda. Ma pani rację.

Jednak okłamał. Bo w oczach Lodzia dostrzegł coś, co go zastanowiło. I zauważył, że odetchnęła.

A na drugi dzień Milka uderza go jak biczem słowami:

– Tyś jest cygan.

Ale zaraz zlagadza cios:

– Albo może to znowu Lodzia nacyganiła. Ona jest o ciebie zazdrosna, ona w ogóle niczego mi nie życzy i dlatego mówi takie rzeczy.

Student milczy. Wie, o co chodzi. Nie zaprzecza, ani nie protestuje, ani nie potwierdza słów Milki. Ale czuje, że wyrządził Milce krzywdę. I dlatego tego samego wieczoru idzie z Milką do kina, kupuje jej parę pomarańcz i płaci jej za zdjęcia, które sobie dała zrobić. Cieszy się z radości Milki, która mu po swojemu, po dziecinnemu okazuje.

Zima jest mroźna. Wody ścięte w grubym lodzie, na którym używają łyżwiarzy.

Lodzia z Milką stawiają na lodzie pierwsze kroki. Proszą studenta, aby raczył im dawać lekcje łyżwiarstwa.

Student nie umie jeździć na łyżwach. Ale po co się zdradzać z tą nieumiejętnością, niezgodną z dzisiejszym typem prawdziwego, wysportowanego mężczyzny. Woli więc wymówić się brakiem czasu na podobne głupstwa. Przecież nauka.

Acha! Nauka. Student zaniedbuje się w niej coraz bardziej. Na półroczce otrzymuje czwórkę z geografii, a powinien mieć jedynkę. Z łaciny, greki i historii również nieproporcjonalnie w stosunku do jego zdolności i zamiłowań.

Popołudnia spędza na lodzie. Ukrywa się za kępami drzew i obserwuje ruchliwą masę, ślizgającą się na lodzie w różnych kierunkach, jak jaskółki. Widzi jak chłopcy chwytają po chamsku Lodzie i Milkę w pasie i uczą ich jazdy. Jak one opierają się twóżyliwie na ich ramionach. Jak oni dźwigają je podczas upadków z lodu w ten sposób, że usta znajdują się przy ustach, oczy przy oczach. Jak one śmieją się i z podziwem przyglądają się zgrabnym ruchom łyżwiarzy. Jak potem, ku wieczorowi, odprowadzają je przystojni, rozradowani lodem chłopcy aż do bram ich dalekich domostw.

Student idzie za nimi trop w trop. Nieogolony, zmarznięty, zły na siebie i na cały świat! – Jeszcze mu więcej chodzi o Milkę. O Milkę, która mu dotychczas napisała jeden liścik pełen dziecinnego liryzmu i dziecinnej słodyczy. I przeproszeń za to, że pewnego dnia mu coś głupiego powiedziała, a on się głupio obraził. List mu przesała przez Rysia. – A więc pożera go tęsknota za Milką. Za jej niewinnymi pieszczotami, których mu jeszcze nie okazała. Za jej ognistymi oczyma. I za tym uśmiechem. Ach! ten uśmiech – dyskretny, a taki szczyry, tak chwytający za serce, że chciałoby się chwycić ją w ramiona i całować, całować, całować. Zdusić ją w barbarzyńskim uścisku. I mieć ją potem w trumnie z tymi oczyma, z tym uśmiechem.

Ale:

Milka zakochuje się w Erwinie Pyrchale. Zakochuje się bez wzajemności. Studentowi zostawia przywiązanie, szalone przywiązanie i miłość... Miłość, jaką ma dziecko do starszego brata. A przecież on ja zaczyna pożądać po swojemu, poetycznie, sentymentalnie.

Powodowany zazdrością, gdy ją widzi flirtującą w pociągu z blondynem Erwinem, uczniem Rolniczej¹⁶, pisze do niej list. Że wszystko skończone...

Wszystko skończone? Tak – ale tylko formalnie. W jego sercu pozostaje tęsknota, która miał pogodzić z nową, z ta pierw-

szą miłością prawdziwą i tęsknotą, którą ma do dzisiaj. Miłość do Milki nie doczekała się pełni swego wyrazu. Została brutalnie zerwana na początku swego istnienia jako niemożliwa w tej formie, w jakiej ja sobie wyobrażał student.

Mój Boże, co się ze mną dzieje? Miałem pisać o pierwszej miłości, która jest Lodzia. A tymczasem w trakcie snucia tych niedawnych wspomnień okazuje się, że to właściwie Milka. A więc się mylę? Teraz doprawdy już nie wiem. Milka w czasie pisania stanęła mi jak żywa przed oczyma. Omotała mnie tym uśmiechem, odurzyła mnie ta świetnością kielkowania panieńskich piersi.

Spokojnie, spokojnie! Mówmy rozważnie. I piszmy rozważnie – –

A więc jednak Lodzia?

Tak i nie. Zresztą, niech będzie tak. Zaraz zacznę o niej samej. Już tylko o niej samej. O Milce nie piszę już ani słowa, chociaż lojalnie powinienem o niej jeszcze kilka razy wspomnieć.

Na dziś będzie dosyć. Nie mogę już więcej o tych rzeczach pisać. Są rzeczy, które we wspomnieniach wychodzą jak żywe i dlatego niejednokrotnie niemile jest je przeżywać. Bo przeżyć po raz drugi coś przykrego i bolącego jest wielkim ciężarem dla człowieka.

Przypisy

1 Mártha Eggert (1912–2013), śpiewaczka operetkowa, aktorka, od 1936 żona Jana Kiepur.

2 *Traum von Schönbrunn* (1932), musical w reż. Johannes Meyera, w rolach głównych Mártha Eggerth, Hermann Thimig, Hans Junkermann.

3 Aluzja do wiersza Juliana Tuwima *Wieś* z tomu *Biblia cygańska* (1933): „Smagły dzień, cygański maj, / Pachnie mocno wiatrem i chlebem. [...] I wystrzelisz trzaskiem ognia ze strzech, / Wuejski dniu, smagły maju cygański!”.

4 Z tomu *Biblia cygańska*.

5 W oryg. ‘wmówienia w nas’.

6 Skreślono: ‘najróżnorodniejszej’.

7 Tango Emanuela Schlechtera (Schlechtera) do muzyki Jerzego Petersburskiego z filmu *Co mój mąż robi w nocy?* (1934) w reż. Michała Waszyńskiego.

8 (gwar.) tu w znaczeniu: gimnazjalista.

9 W oryg. ‘przesnuwają się’.

10 Kolonia mieściła się w obrębie miejscowości Leszczyny.

11 Prawdopodobnie chodzi o Pawła Świętego, ówczesnie ucznia klasy VI b gimnazjum rybnickiego, późniejszego muzyka zatrudnionego w Polskim Radiu Katowice.

12 Chwałowice – wieś w pow. rybnickim, od 1973 jako dzielnica Rybnika.

13 „Kuznica” (1935–1939), pismo narodo-radykalne, założone przez Pawła Musioła, związanego z ONR „Falanga”, Związkiem Młodej Polski oraz Obozem Zjednoczenia Narodowego.

14 „Zacznyn” (1936–1939), tygodnik piłsudczykowski, prezentujący treści nacjonalistyczne i totalistyczne. Jego redaktorem był Filip Endelman; od 1938 pismo miało znaczący wpływ na ideologię Obozu Zjednoczenia Narodowego.

15 Józef Mestwin Musiałek, *Słowianie. O zjednoczenie narodowe i państwowe Słowiańszczyzny*, Poznań 1933.

16 Chodzi o Szkołę Rolniczą w Popielowie (obecnie dzielnica Rybnika). Zob. P. Kuczera, H. Rojek, *Zarys dziejów Szkoły Rolniczej w Popielowie*, w: *Z dziejów szkolnictwa w Rybniku*, red. D. Keller, „Zeszyty Rybnickie” 2013, t. 17, s. 69–77.

„Przyjeżdżajcie, roztomili Ludzie...”

O kontaktach Gustawa Morcinka i Alfreda Jesionowskiego

OLGA PŁASZCZEWSKA

Niemal zupełnie zapomniany dziś Alfred Jesionowski (1902–1945?) należał do grona krytyków literackich, którym Gustaw Morcinek zawdzięczał popularyzację swojej twórczości na arenie ogólnopolskiej. Tę *odkryła*, jak sam relacjonował Jesionowskiemu 14 lutego 1932, p. Kossak-Szczucka, która *przypadkowo czytała jakąś tam drobnostkę moją w gazecie, jakiś narwany felieton*. Zgodnie ze świadectwem pisarza, opublikowanym w wyborze 14 listów pod redakcją Stanisława Wilczka, Urszuli Gumuły i Marii Czubaliny w 1973 roku, autorka *Pożogi* nie tylko zachęciła Morcinka, ale *po prostu zmusiła do czytania*. Jesionowski – który przybył na Śląsk w 1925 roku – poznał Morcinka

natomiast już po jego debiucie dwiema książkami w 1929, jako aktywnego pisarza. Został też wkrótce gorliwym obrońcą jego talentu, co przyczyniło się, z jednej strony, do zadzierzgnięcia trwałych więzi towarzyskich z pisarzem, z drugiej – do wejścia w polemikę z tą grupą krytyków lokalnych, której poetyka Morcinka nie odpowiadała: przedwojenny polemista Jesionowskiego, Zdzisław Hierowski, również po śmierci krytyka lat wracał do wątku jego zbyt wysokiej jakoby oceny twórczości autora *Wyrąbanego chodnika*. W poświęconych Morcinkowi opracowaniach Jesionowski często przedstawiany jest jako życiowy mu krytyk i mentor, rzadziej mówi się o łączącej obu literatów przyjaźni

(tym terminem posłużyła się ostatnio prof. Heska-Kwaśniewicz w rozważaniach o „Zaraniu Śląskim”).

Użycie tego słowa na określenie znajomości, której bohaterowie nigdy nie przeszli ze sobą na „ty”, nie wydaje się przesadą. O tym, że była to przyjaźń, świadczą nie tylko paczki przychodzące do Morcinka w Dachau i powracające pytania o losy „Jesionów” w obozowych listach pisarza do siostry, lecz wyrażająca się w korespondencji obu mężczyzn umiejętność dyskusji, wyrażania i przyjmowania krytycznych sądów na temat własnej twórczości, postaw, decyzji i działań. Ta relacja nie była jednostronna: Jesionowski faktycznie doradzał Morcinkowi lektury (jak *Dziennik Katarzyny Mansfield*, gdy pisarz pracował nad *Inżynierem Szerudą*), sugerował sposoby pogłębiania podejmowanej problematyki, był adresatem jego zwierzeń na temat życia osobistego i prześladowających go rozerotyzowanych wielbicieli:

Najgorsze są panie w wieku balzakowskim, którym się coś ubrdało w głowie i zaczynają się mizdrzyć do mnie, jak to często zdarza się u moich kotek, gdy zobaczą kocura w ogrodzie. Słodczy opływa ich jak miód kapiący z gęby, wdzieczą się jak podlotki, napomykają niezdarne o swych fizjologicznych „ciągotkach”, doznają wzruszenia i dreszczy, gdy się mogą przynajmniej otrzeć piersiami o moje ramię, cuchnące, wymalowane, wyflokowane stare kobyły o czerwonych paznokciach, o malowanych grubo ustach, o podcienionych rybach oczach, o cięłym wzroku!... [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 28 VIII 1938, arch. dom].

Sam krytyk również opowiadał o swoich *mierzączkach* i kłopotach natury politycznej w szkole i związanych z etykietowaniem go jak *współpracownika pism niesanacyjnych* (29 VII 1932). Przede wszystkim zaś traktował Morcinka jako znawcę śląskiego życia literackiego oraz ambasadora, dzięki któremu mógł się do tego środowiska zbliżyć, poznać je i zrozumieć.

Poza epistolarnym świadectwem przyjaźni Morcinka z Jesionowskim jest obecność wizerunków „Pana Gustawa” (i jego kotów!) w rodzinnych albumach Jesionowskich, gdzie fotografie pisarza, jego siostry, Teresy, i matki sąsiadują ze zdjęciami bliższych i dalszych krewnych, przyjaciół i krajobrazów.

Literacki charakter kontaktów Jesionowskiego i Morcinka potwierdza prze-



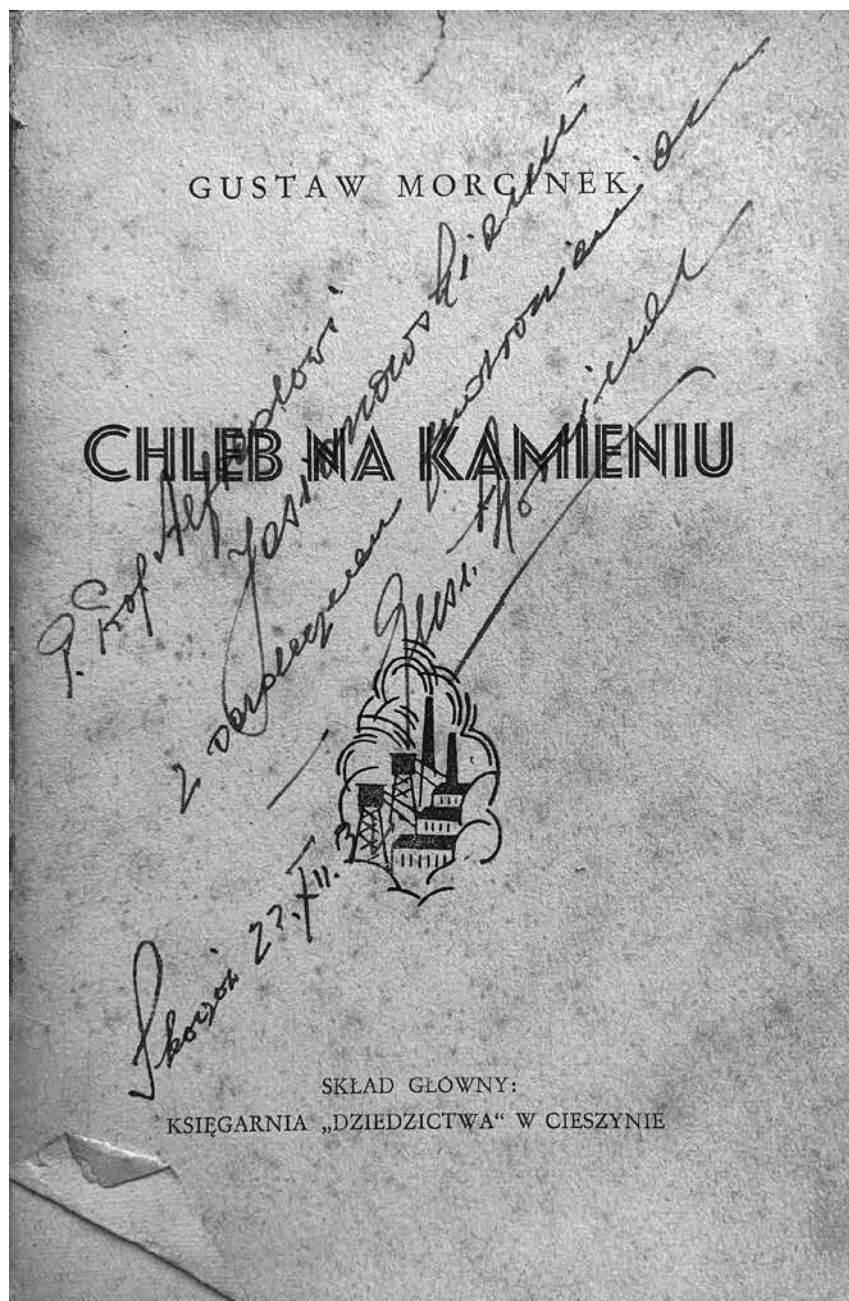
Alfred Jesionowski, fotografia z 27 sierpnia 1942

rzedzona dziś na skutek przeprowadzek Łucji i córek, biblioteka jego publikacji przeznaczonych zarówno dla młodzieży, jak i dorosłych. Są to zarówno zapowiadane w listach egzemplarze recenzyjne, przysyłane krytykowi przez wydawców (jak tom *Śląsk* z serii „Cuda Polski”, wydany u Wengera w Poznaniu), jak i opatrzone osobistą dedykacją pisarza. Zawsze ma ona charakter oficjalny, jednak stopniowo formułę „Panu Profesorowi Alfredowi Jesionowskiemu...” zastępuje „Kochanemu Panu Alfredowi Jesionowskiemu” albo „Kochanemu Alfredowi Jesionowskiemu”. Część z nich nosi ślady lektury krytyka – uwagi podsumowujące poszczególne rozdziały, zapiski na marginesach (pytajniki, wykrzykniki), rysunki. Epizod „spowiedzi współtowarzyszy” zasypanych w kopalni z *Inżyniera Szerudy* (zreplikowany w postaci świeckiego rytuału opowieści o najgorszych doświadczeniach w powojennym, depresyjnym *Judaszu z Monte Sicuro*) opatrzył Jesionowski zdaniem: *scena spowiedzi pierwszorzędna*).

Nieujęta w wyborze Wilczka korespondencja Morcinka z Jesionowskim, którą zachowała żona krytyka, obejmuje 17 listów maszynopisanych (w tym jeden z 1946 roku) i 15 pocztówek (w większości odręcznych, pisanych na odwrocie jego autorskich odbitek fotograficznych. Sięgając do niej, można zastanawiać się, kto kogo odkrył najpierw: krytyk literata czy literat krytyka? Chronologicznie pierwszy z zachowanych listów opieczętowany jest pieczęcią redakcji „Zarania Śląskiego”. Morcinek występuje w nim jako członek zespołu redakcyjnego, który udziela odpowiedzi „profesorowi Jesionowskiemu” na pytania o opracowania dotyczące ks. Damrota:

donoszę uprzejmie, że obszerny materiał mógłby Wny Pan znaleźć w Bibliotece Sejmowej w Województwie w Katowicach. Poza tym w post scriptum podaję bliższe szczegóły, dotyczące się jego prac. Wracając do Biblioteki Sejmowej zaznaczam, że jest ona bogato zaopatrzona we wszystkie druki, jakie się pojawiły na Śląsku Cieszyńskim i Górnym, a zarząd Biblioteki chętnie i bezinteresownie stara się w takich wypadkach przyjść z pomocą [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 29 IX 1930, arch. dom].

Kontakty zainicjował zatem Jesionowski. Trafił doskonale, bo nie tylko został zaproszony do współpracy z „Zaraniem” (z listu wynika, że sam zaproponował artykuł o *regionalizmie w szkołach średnich na Śląsku* – ten tekst rzeczywiście ukazał się jako pierwsze wystąpienie krytyka w śląskiej prasie), ale poznał autora recenzowanego niebawem *Serca za tamą* i zyskał życzliwego przewodnika po zawilosciach kultury śląskiej. Wkrótce sam sprawił mu



Dedykacja dla A. Jesionowskiego na egzemplarzu Chleba na kamieniu

przyjemność, przysyłając wypracowania swoich lublinieckich uczniów na temat tego utworu. W kolejnym liście (z 8 X 1930) – z uzdrowiska w Miłowodach w województwie poznańskim, gdzie u Witolda Bernackiego leczył się po kryzysie psychicznym, jakim było unieważnienie małżeństwa z Zuzanną Lazarówną – Morcinek przesłał Jesionowskiemu bibliografię dzieł *autorów śląskich* wydanych po 1919 roku. Dwa lata później zaczął – na prośbę krytyka, który „swoich” autorów zawsze prosił o podanie kilku szczegółów biograficznych – opowiadać o sobie, o początkach twórczości, fascynacjach literackich (i o marzeniu, by pisać pięknie, jak ten Słowacki). Zawsze z atencją dziękował Jesionowskiemu za recenzje: *Serdecznie Wam dziękuję za śliczny artykuł o Morcinku w „Prosto z Mostu”. Dobrze to zmajstrowali-*

*ście, pisał ze Szczawnicy 19 lipca 1936 roku. Informował go o kolejnych swoich publikacjach i ich zagranicznych przekładach (cieszył się nie tylko przekładami francuskimi pióra Paula Cazina, ale również słowacką edycją *Byli dwaj bracia* w tłumaczeniu Petera G. Skalanowicza, [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 7 VIII 1936, arch. dom.], relacjonował pracę nad książkami. Zwierzał się też z niepowodzeń – między innymi z tego, że nie otrzymał oczekiwanego „Wawrzynu” Polskiej Akademii Literatury w 1935 roku:*

Kochany Panie Alfredzie! Jak widzicie, szczęścioramienny krzyż lich wzięło. Idę się utopić do Wisły z moją wielką sąsiadką z Górek Wielkich [Zofią Kossak, OP]. Powiada, pocieszał się, że byłaby w kłopotcie, co zrobić z tym fantem, gdyby go jej przyznano. Mnie wypada to samo mówić [G. Morcinek, Pocztówka do



Z rodzinnego albumu Jesionowskich: spotkanie przyjaciół. Od lewej: Jan Sztudynger, Gustaw Morcinek, Lucja Jesionowska, N.N. (ks. L. Bilko?), Teresa Morcinek, Alfred Jesionowski, N.N.; siedzą: N.N.

A. Jesionowskiego, 17 XI 1935, arch. dom.]

W listach do Jesionowskiego Morcinek sporo pisał, nieco koloryzując, o sobie, własnych przeżyciach, kłopotach zdrowotnych (niedatowana relacja z bolesnej procedury ekstrakcji „zęba mądrości” przekształca się w humorystyczną autocharakterystykę pacjenta, który boi się dentysty), o domu (*chałupę posyłam, piśze na odwrocie zdjęcia „willi pod słońcem”* [G. Morcinek, Pocztówka do A. Jesionowskiego, 12 II 1934, arch. dom.]), o tym, co go zdumiewało lub zachwycało, stając się bodźcem twórczym. Przykładowo, występująca w powieści *Ludzie są dobrzy* charyzmatyczna lekarzka, „panna doktor Stasia”, wzorowana jest na autentycznej postaci, która dosłownie urzekła wrażliwego Morcinka:

Poznałem [...] młodą lekarzkę Dr Tarzanę [dr Stanisławę Targ] z Bielska, ogromnie podobna do Waszej Siostry, tylko że żywa, tak żywa, że człowiek nie może wyjść z podziwu. A miła tak samo, jak Wasza Siostra. Musicie ją kiedyś poznać. Bo jako takiego coś, co się nadaje do mojej roboty, to unikat. A ogromnie jakiś jasny, kryształowy, chociaż to brunetka o ciemnych oczach. Przepada za dziećmi i kotami [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 17 III 1935, arch. dom.]

Bielska lekarzka nie była zresztą jedyną kobietą, która w okresie znajomości z Jesionowskim oczarowała pisarza. W liście z sierpnia 1939 roku Morcinek zdradzał, jaką radością był dla niego bezpośredni – przy okazji zdjęć do filmu *Inżynier Szeruda* w reżyserii Józefa Lejtisa – kontakt z uwielbianą aktorką,

Elżbietą Barszczewską, z którą przez tydzień „włóczył się” po Śląsku.

Dziwiłem się jej prostocie, jej nieumalowanym ustom, jej włosom upiętym w dwa warkoczki na karku, dziwiłem się jej skromności w ubraniu, zachwycałem się jej wdziękiem tym samym, którym podbija publiczność w teatrze, byłem zaskoczony jej pacierzem przed Matką Boską w kościele istebniańskim, odgrzebałem dawne chłopięce, a tak bardzo błękitne wzruszenia, uległem złudzeniu, że jestem ogromnie młody i ogromnie naiwny i było mi okropnie dobrze w jej towarzystwie [G. Morcinek, List do A. Jesionowskiego, 28 VIII 1939, arch. dom.] – opowiadał gorączkowo i z charakterystyczną autoironią, maskującą wzruszenie.

Dobrze już zaprzyjaźniony z Jesionowskim, relacjonował odbywane podczas wakacyjnych wyjazdów wycieczki górskie, deklarując jednak nieustającą miłość do Beskidu Śląskiego. Ze Szczawnicy, gdzie przy okazji urlopu spotykał się z Janem Wiktorem, również po to, by przekazać mu aktualny adres krytyka, przesyłał Jesionowskiemu garść obserwacji krajoznawczo-etnograficznych (przy okazji pogodnie narzekając na wysoki stopień nasycenia lokalnej społeczności ludnością żydowską, 1 VIII 1936):

Naczytałem się tyle o uroku Pienin, że gdy teraz do nich przyjechałem, urok ten wydaje mi się mały, taki sobie. Wzięła mnie jedynie Sokolica, kiedy się położyłem na brzuchu i spojrzałem w 300-metrowe głębie, na której dnie szumi Dunajec. To było piękne. A reszta, to także piękne, tylko trochę przypominające

dekoracje teatralne. Bardzo piękne były także Tatry, widoczne doskonale i blisko ze Sokolicy. A cała ta rozreklamowana przejazd[k]a po Dunajcu przez Pieniny to owszem, ale nie tyle, ile się słucha i mówi, i czyta. Pieniny są ładniejsze stokroć z Sokolicy. A poza tym wołę tyśiąckroć swoje Beskidy śląskie i szlus [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 19 VII 1936, arch. dom.]

Patriotyzm lokalny zwyciężał nad urokami krajobrazu.

Jednak tematyka listów Gustawa Morcinka jest znacznie bardziej złożona. Jej zasadniczym wątkiem jest praca pisarska, problematyka utworów i źródła inspiracji. Kolejnym jej przedmiotem jest lokalne środowisko: nauczyciele, literaci, artyści. Pisarz dzielił się wrażeniami z lektury *Zmór* Zegadłowicza i plotkuje na temat przyjęcia tej powieści wśród znajomych. Wyraźnie widać w tej korespondencji, że Morcinek stale pomagał Jesionowskiemu w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi i instytucjami – dzięki niemu krytyk poznał m. in. malarza-samouka, Jana Wałacha. Sam niezwykle towarzyski, zainteresowany ludźmi i ich sprawami, choć w Skoczowie pozował na odludka (19 X 1932, edycja Wilczka), znał wszystkich i o wszystkich wszystko wiedział, a z dyskretnym i taktownym Jesionowskim dzielił się spostrzeżeniami na temat bliźnich. Przykładowo, kiedy Jesionowski zainteresował się radiem i chciał nawiązać kontakt z rozgłośnią w Katowicach, przedstawił charakterystykę legendarnego, dbałego o poziom programów dyrektora Stefana Tymie-

nieckiego jako człowieka niedostępnego, który *ludzi nowych nie dopuszcza rad do mikrofonu* [20 IV 1933, edycja Wilczka]. Zapewne chciał w ten sposób uchronić krytyka przed rozczarowaniem (Jesionowski wymarzoną współpracę z radiem podjął jakiś czas później, dzięki Stanisławowi Ligonowi, i, odsłuchawszy swoje jako kontroler jakości audycji, odniósł sukces jako prelegent, prowadzący kilka autorskich programów, m. in. cykl *Gawęd o literaturze* na antenie ogólnopolskiej). Próbował też mediować w sprawie nieporozumienia co do idei ankiety Jesionowskiego na temat „tajemnic twórczości”. Ankieta zirytowała Zofię Kossak i sprowokowała ją do zamieszczenia głośnej odpowiedzi na łamach „Prosto z Mostu”: Morcinek dowiedział się, że napisała ten artykuł, bo *była zła, gdyż dokuczał jej upał, że pragnie wywołać nim dyskusję i że nie wierzy, iżby się czuliście dotknięci jej odpowiedzią* [G. Morcinek, List do A. Jesionowskiego, 1 VIII 1936, arch. dom.].

W swoich listach pisarz relacjonował też konflikty środowiskowe, przestrzegał Jesionowskiego przed *zbytнім angażowaniem się* w polemiki na temat publikowanych na Śląsku książek, na przykład głośnej *Drogi do Ziemi Obiecanej* Władysława Zabawskiego (1934) o udziale ewangelików w ruchu narodowym. W związku z tą pozycją Morcinek przekazał krytykowi sugestię Ludwika Brożka, by ostrożnie tę rzecz recenzował, *bobyście mogli wdepnąć w haniebną kabałę i różne rzezimieszki polityczne mogłyby sobie Wami gębę wycierać*

po prasie [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 25 IV 1934, arch. dom.]. Zachęcał do publikowania nie tylko w „Zaraniu”, ale również w „Gazecie Polskiej”, bo tam, jego zdaniem, trudno było o autorów znających się na tematyce śląskiej i umiejących ją przedstawiać na forum ogólnopolskim. *Goetel już nie pisze. Widocznie wyczerpał temat już zupełnie*, martwił się, namawiając Jesionowskiego, by dla pisma przygotował artykuł o „Zaraniu Śląskim”. *Jego dzieje, znaczenie, treść itp.* [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, niedatowany [1934?], arch. dom.]. Argumentem ostatecznie przekonującym miało być to, że „Gazeta” była, zdaniem Morcinka, jedynym wówczas pismem, *co płaci porządnie i w terminie*.

Stopniowo kontakty zawodowe pisarza i krytyka przeradzały się w prywatną więź. Dzięki nim rozszerzył się krąg śląskich znajomości Jesionowskiego. Dlatego listy Morcinka do publicysty z lat 1930–1939 warto czytać też jako kronikę przyjaźni „rodzinnej”, w której uczestniczą zarówno siostra pisarza, Teresa, i jego *Mamulka*, jak i Łucja z córkami. Okazuje się, że urodziwa (chętnie fotografowana przez p. Jeiknera), inteligentna i bezpretensjonalna żona krytyka była dla cieszynian równie pożądanym gościem, jak sam Jesionowski:

Serdecznie Was, kochany i roztomili Człowiecze, pozdrawiam, Panią Lusię – piszę tak poufale, boć to przecież nasza wszystkich Pani Lusiu, wszystkich Morcinków i Ślosarskich i Jeiknerów, no nie? – a Panią Lusię w dłonie całuję, a Ma-

mulka i Siostra i Pani Jeiknerowa całują mocno, a wszyscy proszą o jeszcze, by jeszcze przyjechaliście do nas do Skoczowa. A moje małe przyjaciółki – to ja je teraz całuję bardzo ślicznie [G. Morcinek, List do A. Jesionowskiego, 25 IV 1934, arch. dom.] – oznajmiał rozentuzjzmowany którymś ze spotkań Morcinek. Jesionowski (kto wie zresztą, z jakimi zamiarami?) chciał mu przedstawić swoją niezamężną siostrę, Stefanię, czytelniczkę Morcinka – harcerkę, którą pisarz skwapliwie zapraszał do Skoczowa, obiecując opowieść o *utopcach* [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, niedatowany [1934?], arch. dom.], (do spotkania ostatecznie nie doszło, pisarz i panna Jesionowska minęli się w podróży).

Jesionowscy chętnie odwiedzali Morcinka i p. Teresę w Skoczowie – a pisarz nieraz zaglądał do nich Pszczyny (w liście z 1 XII 1946 roku Łucja wspomina *Pana Gustawa niespodzianie często, a zawsze miłe wizyty u nas*) – lub inicjował wyprawy przyjaciół do Wisły:

A gdy przyjedzie na święta Pani Śłósarska [Zofia Degen-Śłósarska, OP], a potem nasz Kuglasek [Jan Kuglin, OP], to i Wy, kochani Ludzie, musicie przyjechać. Uczynimy srogi najazd na chałupę Pani Śłósarskiej. Będzie warzonka i wszystko. Przygotowujcie się więc na ów wyjazd, a potem jeszcze napiszę, a potem przyjedziecie. Ale to na murowanego [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 18 III 1934, arch. dom.] – zachęcał w marcu 1934. Rok później, wracając z Krynicy, namawiał przyjaciół, by przyjechali w niedzielę do Skoczowa, zaprosiwszy



Z rodzinnego albumu Jesionowskich: Wycieczka na Baranią Górę. Od lewej: 1. rząd: Łucja Jesionowska, Teresa Morcinek, 2. rząd: siedzą: panie N.N., N.N., Alfred Jesionowski, Gustaw Morcinek, lata 30. XX w.

też w jego imieniu redaktora Zdzisława Broncl z „Prosto z Mostu”, który akurat bawił w Wiśle. Jednym z oczekiwanych gości miał być znany Jesionowskiemu grafik, Stanisław Brzęczkowski, ilustrator powieści *Ludzie są dobrzy* Morcinka [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 20 VIII 1935, arch. dom.]. Prawdopodobnie to dzięki Morcinkowi Jesionowski zachwycał się Beskidem Śląskim i zaczął tamtejszymi szlakami wędrować (również z harcerzami ze swoich gimnazjów). Uznać trzeba, że ważne miejsce zajmuje w korespondencji Morcinka i Jesionowskiego również to, co można by nazwać „logistyką życia towarzyskiego”. Pisarz doskonale planuje spotkania zaprzyjaźnionych ze sobą artystów i literatów. W szczęśliwym 1934 roku (Jesionowski wspomina ten rok w jednym z listów z więzienia do żony) organizuje, np. wizytę Jana Kuglina u niego w Skoczowie i u Jesionowskich w Pszczynie, połączoną z udziałem całej gromadki w uroczystej akademii w bielskim teatrze korzystając z uprzejmości (i samochodu) państwa Jeiknerów. Oprócz nich w akademii mieli uczestniczyć m. in. Emil Zegadłowicz, Stanisław Ligoń, Kazimiera Alberti [G. Morcinek do A. Jesionowskiego, 12 II 1934, arch. dom.]. W 1936 – zapowiada wizytę Jerzego Marlicza (Haliny Borowikowej) z mężem w Skoczowie (G. Morcinek, Poczta do A. Jesionowskiego, 17 VI 1936, arch. dom.). Ruchliwy i nie odmawiający zaproszeniom, postanowił z uwielbianych przez swoją publiczność literacką odczytów zrezygnować dopiero w 1939 roku.

Pół żartem, pół serio pisał wtedy, że z tej chorobliwej manii wyleczyła mnie *Zduńska Wola, gdzie pojechałem na natrętne zapraszanie jednej z profesorek, a i gdzie nie zastałem w Sali młodzieży gimnazjalnej, i gdzie się później okazało, że szło tu o całkiem ordynarny zakład między profesorką a burmistrzem. Profesorka zakład wygrała, bo... przyjechałem!... Potem nie mieli mnie gdzie przemocować, w końcu ulitowali się nade mną burmistrz, który w ostatniej chwili wyciągnął swej żonie spod głowy poduszkę, ciepłą jeszcze i pomiętą, wydobyl gdzieś prześcieradło i ułożył do snu na kulawej kanapie. Rano poszedłem bez budzenia mych gospodarzy, nieumyty, głodny, na pociąg* [G. Morcinek, List do A. Jesionowskiego, 28 VIII 1939, arch. dom.].

Czy Jesionowscy mogli jeszcze śmiać się, czytając o tragicomicznej przygodzie nader uprzejmego i lubiącego wycieki pisarza? Nie wiadomo, czy list dotarł do Mysłowic przed pierwszym wrześniem 1939; podobnie jak pocztówka z 29 sierpnia, w której Morcinek zapraszał ich do Skoczowa, gdzie wraz z Janem Kuglinem i Stanisławem Ligońmi mieli spotkać się w jego gościnnej willi pod słońcem – 2 października

ka... Te plany zweryfikowała historia.

Próbę reaktywacji kontaktów po wojnie podjęła Łucja Jesionowska, która zwróciła się do rodzeństwa Morcinków w grudniu 1946 roku, informując o swoim – wymuszonym okolicznościami politycznymi – powrocie do Pszczyny i otwarciu księgarni i wypóżyczalni książek, które miały być źródłem utrzymania dla niej i córek. *Jakoś pełniejszy wydaje mi się Śląsk z Panem i z prof. Ligońmi, pisała wtedy, ciesząc się, że Pan Gustaw po tylu latach wrócił do kraju i do domu [...], że się Pani swego Gustlika w końcu doczekała, że Pan, Panie Gustawie, znowu jest wśród nas* (1 XI 1946, Muzeum w Skoczowie).

Przed Bożym Narodzeniem Gustaw Morcinek odpowiedział listem, w którym trudno szukać śladów pogodnej beztróski, jaka cechowała korespondencję przedwojenną. Człowiek, który przetrwał długie lata w Sachsenhausen i Dachau, zwraca się w nim do kobiety, która przeżyła okupację i czeka na odnalezienie się zaginionego bez wieści w zawierusze wojennej męża lub przynajmniej na potwierdzenie się przypuszczeń o jego zgonie. Dla obojga okupacja stała się okazją, by *poznać ludzi głębiej*, jednymi się rozczarować, od innych doznać niespodziewanej pomocy [G. Morcinek do Łucji Jesionowskiej, 19 XII 1946, arch. dom.]. Morcinek prosił Łucję o wieści o Jesionowskim, o którego losach nic nie wie, obiecuje wizytę i dostarczenie najnowszych książek: *ponurych „Listów spod morwy” i nieco już rozjaśnionych „Listów z mojego Rzymu”*. Pisze o sobie i o przyszłości, przyznaje się, że zapomniał, jak nazywały się córeczki przyjaciół. Z okazji świąt *Narodzin Miłości* życzył Łucji, by *znalazła [...] ciszę w sobie i jasny uśmiech po wszystkie czasy*. Przemawia w tych życzeniach zdobyta w obozie koncentracyjnym mądrość, pozwalająca nieuchronną własną śmierć i śmierć innych ludzi traktować z dystansem, jak stwierdza Krystyna Heska-Kwaśniewicz, *przyjąc spokojnie*, w kategoriach wyzwolenia, ze świadomością, że ból dotyka tych, którzy pozostali, nie zaś zmarłego.

Jesionowska odpowiedziała z wielką klasą, historię własnej rodziny sytuując w kontekście losów milionów Polaków. Nie skarżyła się, przedstawiała fakty. Jej list, zachowany w Muzeum w Skoczowie, zawiera osobistą relację na temat okupacyjnych losów krytyka aż do chwili aresztowania w Krakowie (*Dalszy ciąg to historia jak w powieści – opowiem to ustnie*) i dnia fatalnej „ewakuacji” katowickiego więzienia gestapo 24 stycznia 1945, z podsumowaniem, którego dramatyzm wzmacnia oszczędność środków wyrazu:

Mam wrażenie, że jestem silna. Robię co mogę, żeby moją trójkę dziećmi

ków wychować na dobrych ludzi i pożytecznych dla Polski. Zawdzięczam to w części głębokiej wierze i ufności Freda, że potrafię udźwignąć jego i moje obowiązki, częściowo może temu, że obaj moi dziadkowie byli powstańcami – jeden z 1831, drugi 1863 roku, a wszystko – Bogu i Matce Bożej. Że przeżyliśmy dotąd i że mam ten sklep, zawdzięczam dobrym ludziom, którzy o nas pamiętali, nas żywili, przyodziali i pomogli do urzędzenia sobie życia. Teraz proszę Boga, żeby mi w mej pracy błogosławił i pomógł do rozwinięcia placówki. W tej chwili jest jeszcze bardzo ciężko [L. Jesionowska, List do Teresy i Gustawa Morcinków, Pszczyna, 2 I 1947, Muzeum im. G. Morcinka w Skoczowie].

Trudno te słowa w jakikolwiek sposób komentować.

W listach Morcinka i Jesionowskiej z przełomu 1946 i 1947 roku charakterystyczne jest to, że i pisarz, i Łucja pragną jeszcze uczynić coś dobrego dla innych: ona – wychować córki na przyzwyczajonych do kraju ludzi, on – *napisać jedną i drugą książkę, a między innymi taką, która by [...] była przynajmniej chwilowym zapomnieniem o szarej trosce i która by była chociażby drobnym uśmiechem* [G. Morcinek do Łucji Jesionowskiej, 19 XII 1946, arch. dom.] dla czytelników.

W kolejnych latach kontakty Morcinka z Łucją i jej córkami rozluźniły się, ale pisarz do końca przysyłał wdowie swoje kolejne publikacje. Czy próbował ją wspierać w dalszych poszukiwaniach zaginionego bez wieści Alfreda? Nie wiadomo. W archiwum domowym nie ma śladów późniejszej korespondencji. Starsze córki Jesionowskiego, Nina i Hania (której przesłał jedną z lektur dla młodzieży, z dedykacją, aby mu *kozę Strzygę pasła*), przedwojenne „narzeczone” pisarza spotykały go podczas harcerskich uroczystości i wycieczek, ale chyba ich wtedy nie rozpoznawał... Lata powojenne to były czasy, kiedy sprawy ważne bezpieczniej było przemilczeć lub relacjonować – jak zasugerowała Łucja w liście z 1947 roku – „ustnie”. Koszmar tych lat przedstawia Krystyna Heska-Kwaśniewicz w poświęconej Morcinkowi monografii *„Pisarski zakon...”* oraz naświetlającym okoliczności, w jakich się znalazł po powrocie z tułaczki, zbiorze materiałów *Działalność polska Gustawa Morcinka, czyli katalog ludzkiej biedy. Dokumenty w opracowaniu K. Heskiej-Kwaśniewicz i Lucyny Sadzikowskiej* (Szczecin 2019). Pamięć o Jesionowskim przez długie lata była niewygodna i ryzykowna. Dobrze, że dziś znów można o jego przedwojennej przyjaźni z Gustawem Morcinkiem wspominać. ■

Szkic powstał w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Krzysztof Kamil Baczyński. Losy twórczości

STEFAN ZABIEROWSKI

1

Istotnym elementem literackiej biografii Baczyńskiego są losy jego twórczości. A nie były one proste. Baczyński debiutował w roku 1936 wierszem *Wypadek przy pracy* O ile wiadomo – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – przed rokiem 1939 poeta ten nie wydał żadnej pozycji książkowej. Natomiast wiemy – wedle informacji świadków – że drukował swoje wiersze w – wydawanym przez członków „Spartakusa” – piśmie *Strzały*. Niestety, faktu tego nie można potwierdzić, bowiem nie zachował się żaden komplet tego pisma. Sytuacja zmieniła się po wybuchu wojny. Jak wspominała Joanna Weintraub-Krzyżanowska: „W tym to właśnie okresie mąż mój, Jerzy Kamil Weintraub, wspólnie z przyjaciółmi, którzy się u nas spotykali, zaczął wydawać biblioteczkę poetycką, pisaną na maszynie, z okładkami i ekslibrisem Jana Kosinińskiego. Nazwali to «Wydawnictwem Sublokatorów Przyszłości». Trzynasty tomik biblioteki poetyckiej zamknął pierwszą serię Wydawnictwa. W tej serii zamieścili swoje utwory oraz tłumaczenia obcych poetów: Krzysztof Baczyński, Stanisław Dobrowolski, Tadeusz Zelenay, Aleksander Messing, Jerzy Kamil Weintraub. Krzysztofa wiersze umieszczone były w jedenastym tomiku pt. *Zamknięty echem* i w trzynastym, zatytułowanym *Dwie miłości*”.

Tak wyglądało w roku 1940, w warunkach okupacyjnych, wejście Baczyńskiego na karty historii literatury polskiej.

Ale rzecz jasna, na tym wojenna twórczość Baczyńskiego się nie kończyła. Cały szereg wierszy tego poety ukazało się w – drukowanych i rozpowszechnianych na zasadach konspiracyjnych – antologiach poetyckich. w *Pieśni niepodległej* (1942) oraz *Słowie prawdziwym* (1942).

Wiele tekstów zawartych było w nader nisko nakładowych tomikach przygotowanych przez samego poetę. Niektóre teksty obecne były jedynie w edycjach rękopiśmiennych, sporządzonych przez autora.

2

Na pierwszy, poważny tom trzeba było jeszcze trochę poczekać. Ukazał się on w roku 1943 pod tytułem *Wiersze wybrane*, Wydawnictwo Biblioteki Rękopisów Lwów 1939. Rzecz jasna nazwa wydawnictwa i miejsca wydania były fikcyjne. Sam autor ukrywał się pod pseudonimem Jana Bugaja. Nazwę Bugaj nosiła uliczka na warszawskiej Starówce.

Tomik spotkał się z pewnym zainteresowaniem krytyki, o ile to było możliwe w warunkach okupacyjnych. Na łamach „Sztuki i Narodu” pisał rówieśnik Krzysztofa Tadeusz Gajcy, posługujący się pseudonimem Karol Topornicki: „Ogólny poziom wierszy bardzo nierówny. Różnice są uderzające. Wierszy dobrych 4–5, reszta na poziomie lub słaba. Jest jednak nawet w tych słabszych utworach cecha wiążąca je z osiągnięciami szczęśliwszymi. To cecha pewnej dostojności wewnętrznej, pewien duchowy patos, który niekiedy ujawnia się przykro, pretensjonalnie. Poezja Bugaja jest poezją nie tyle refleksyjną, ile medytującą, filozofującą. [...] Ogólnie *Wiersze wybrane* mimo wielu niedociągnięć noszą w sobie piętno indywidualności dojrzewającej. Znać świadome jeszcze podciąganie «na głębiej», dowód, że autor pragnie stonować, wyrównać swą twórczość”.



Również na łamach tego samego pisma literackiego nader krytycznie oceniał tomik Krzysztofa Stanisław Marczak (pod pseudonimem Andrzej Obornicki). Pisał on: „[...] bitem dekadencckich nastrojów poganiasz konia i coraz dalej od nas wóz się toczy, płaszczyzny gwiazd tasujesz w niezręcznywistych dłoniach, Aharbalu odejdz”.

W tym kontekście nie lada wydarzeniem stał się *List do Jana Bugaja* Kazimierza Wyki, zamieszczony w krakowskim, również konspiracyjnym, „Miesięczniku Literackim”. W tekście Wyki można było znaleźć znakomitą dla Krzysztofa diagnozę: „Nie każdemu tak wczesnie jest dana pełna dojrzałość artystyczna. Jest Pan pierwszy i życzyłbym Panu, by nie tylko w chronologii wystąpień pozostał Pan pierwszy. Nie życzyłbym wszakże Panu, by Pan pozostał samotny. Chciałbym, mam nadzieję, że wszystko co żywotne i świeże w liryce Pana odczuwane będzie przez Pana rówieśników jako podobnie ich dotyczące zadanie poetyckie”.

Za tak świetną recenzję Baczyński podziękował Wyce ofiarując krytykowi tomik *3 wiersze*, opatrzony dedykacją: „Szanownemu Panu Kazimierzowi Wyce, pierwszemu krytykowi, z którego sądem o moich wierszach zgadzam się całkowicie, ofiarowuję z wyrazami wielkiego uznania i przyjaźni, Krzysztof Baczyński”. Po latach w odczycie o Baczyńskim, Wyka dowcipnie skomentował tę dedykację: „Któż by się nie zgodził, gdybym napisał do niego *List do Jana Bugaja*?”.

Bogaty dorobek poetycki i jego wysoka ocena sprawiły, że pozycja Baczyńskiego na mapie konspiracyjnej lite-

ratury polskiej notowana była bardzo wysoko. Wspominał Jarosław Iwaszkiewicz: „Baczyńskiego przywiózł do Stawiska Jerzy Andrzejewski. Było to chyba w Nowy Rok 1941, ale nie jestem pewien tej daty. W każdym razie wizytę tę poprzedził znaczny «hyr», pomiędzy przyczajonymi literatami, że narodził się nadzwyczajny młody poeta, że dojrzałość jego w tak młodym wieku jest zdumiewająca, że pisze bardzo dużo, jednym słowem, że jest to zjawisko nieprzeciętne”.

Mając – mimo młodego wieku – tak mocną pozycję, Baczyński nawiązuje kontakty z czołowymi ówczesnymi twórcami – Jerzym Andrzejewskim, Jerzym Zagórskim, Czesławem Miłoszem, Jarosławem Iwaszkiewiczem, czy ze Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim.

W roku 1943 poeta bierze udział w podziemnym konkursie literackim i otrzymuje jedną z czterech nagród – obok Anny Świrszczyńskiej, Czesława Miłosa i Tadeusza Hollendra. Baczyński otrzymuje też od władz podziemia stałe stypendium, które pobiera aż do wybuchu Powstania. Warto tu też przypomnieć, że 20 sierpnia 1943 roku Krzysztof podpisał umowę z prywatnym wydawcą – Marianem Zawadzkiem (Zbigniewem Mitznerem) na wydanie – po zakończeniu wojny – tomu poezji *Śpiew z pożogi*. Tytułem zaliczki otrzymał Baczyński 5000 ówczesnych złotych.

W latach okupacji Baczyński związał się z innym jeszcze środowiskiem, które wydawało pismo „Droga”. Jak wspominał kolega Baczyńskiego z tajnych studiów polonistycznych, Zbigniew Wasilewski: „Dla Krzysztofa – wziętego od paru lat w grono pisarzy starszych wiekiem i stażem literackim, ale niewątpliwie łąkającego również bliższych kontaktów z rówieśnikami, wśród których pragnął ugruntować swą pozycję pisarską, a także po prostu znaleźć naturalne środowisko rozwojowe – najpierw polonistyka, a z kolei «Droga» stanowiły pożądane przejście do kręgów młodej literatury. Nie tylko przystał do zespołu

«Drogi», lecz i objął kierownictwo działu poezji. [...] To właśnie Krzysztof kwalifikował do druku wiersze Borowskiego (więzionego już wtedy w Oświęcimiu; na polonistyce krążyła o nim głucha legenda, pełna żalu i niepokoju o jego losy), przysyłane z podkrakowskiej partyzantki utwory Jana Józefa Szczepańskiego, a także wiersze Jana Kamila Weintrauba, podpisane JKW, które przechowywał po śmierci autora”.

Właśnie w ramach „Drogi” ukazał się drugi – wydany w latach okupacji – tomik Baczyńskiego – Jan Bugaj *Arkusze poetycki Nr 1 Wydawnictwo Biblioteki rękopisów, Lwów 1939*. Rzecz jasna – ze względów konspiracyjnych – rok i miejsce wydania były fikcyjne.

3

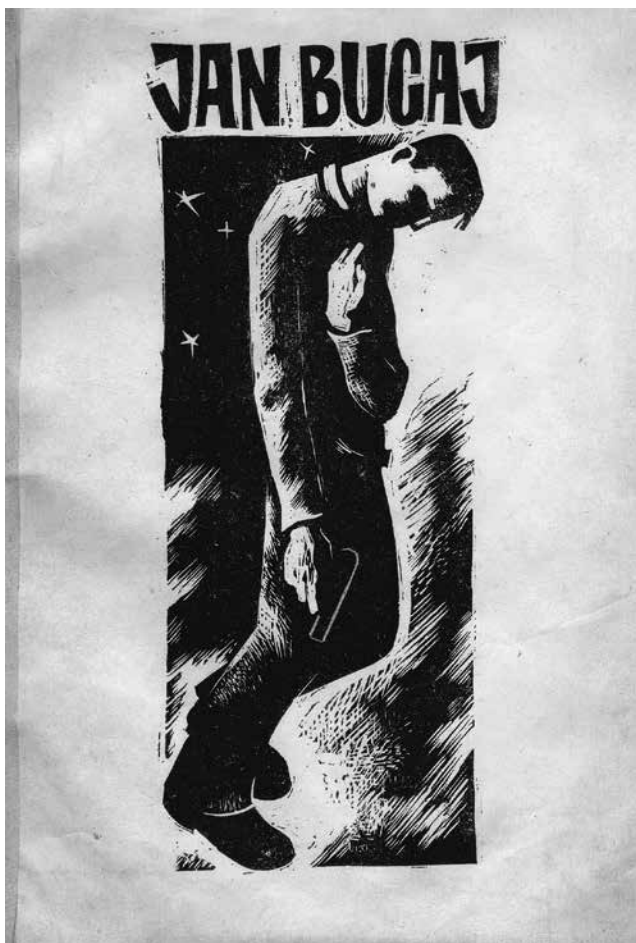
Zbliżająca się ofensywa sowiecka, po zwycięstwach pod Stalingradem i na Łuku Kurskim, a także lądowanie Aliantów w Normandii, budziły nadzieję, że wojna może się niedługo zakończyć. Klęską hitlerowców. W Warszawie spodziewano się wybuchu powstania. Atmosfera była gorąca. Tak wspominał Kazimierz Wyka swój pobyt w stolicy w czerwcu 1943 roku: „Warszawa już była, nie powiem w nastroju Powstania, bo to jeszcze nie, ale zmęczona, śmiertelnie zmęczona, jednocześnie zdesperowana, gotowa na wszystko. Ktoś, kto przyjeżdżał z prowincji, tę odmienną atmosferę warszawskiej od razu wyczuwał. Nie, to było miasto, któremu już nie było wszystko jedno”.

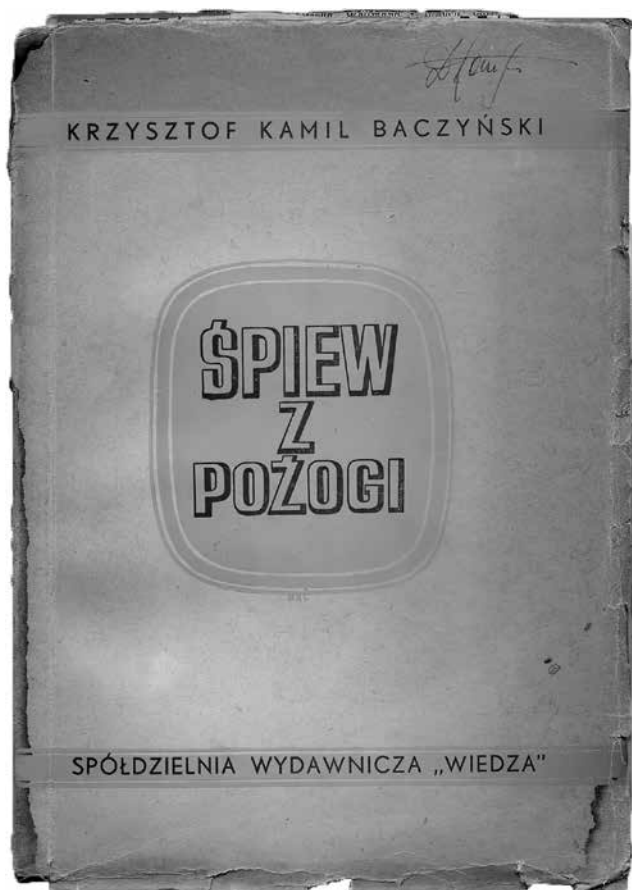
W takiej atmosferze Baczyński, wówczas żołnierz batalionu „Zośka”, czynił wiele, by w razie czego ocalić swój dorobek poetycki od zatury. Wspominał Stanisław Ryszard Dobrowolski: „Krzysztof – jak wielu innych – miał dość powodów do uzasadnionych obaw o losy swego, bardzo już bogatego, okazałego ilościowo twórczego dorobku. Jak i wielu innych, idąc za ich przykładem, robił odpisy swoich wierszy i lokował je w miejscach i u osób budzących zaufanie oraz rokujących nadzieję, że mu tam w razie czego – a wszystkiego można było wtedy oczekiwać – nie przypadną, szczęśliwie się zachowają dla przyszłych czytelników. Na tej zasadzie byłem i ja jednym z depozytariuszy jego niemal całego poetyckiego dorobku”.

Ale Baczyński miał jeszcze inne, bodaj ważniejsze, miejsce, w którym zabezpieczył swój dorobek. Jego kolega z kręgu „Drogi” – Juliusz Garztecki – był jednocześnie funkcjonariuszem Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej. Z tego tytułu w swoim warszawskim mieszkaniu, przy ulicy Kaniowskiej 12, na Żoliborzu, miał wmontowaną w podłogę skrytkę. Właśnie w tej skrytce ukrył notesy (zwane przez badaczy twórczości Krzysztofa – „kodeksami”) z wierszami Baczyńskiego.

Dopiero w lutym 1945 roku, a więc już po śmierci Krzysztofa w Powstaniu, Garztecki wydobyl te kodeksy ze skrytki i przekazał matce Krzysztofa – pani Stefanii Baczyńskiej. W oparciu o te teksty przekazane przez panią Baczyńską, Kazimierz Wyka przystąpił do przygotowania pierwszej powojennej edycji poezji Krzysztofa. A praca ta nie była łatwa. Jak wspominał Wyka: „Pani Stefania, matka Krzysztofa, która nie była łatwą osobą, tak powiem grzecznie, zgodziła się na współpracę ze mną, ale nie pokazywała mi ani jednego rękopisu Baczyńskiego, ani jednego tekstu kodeksów jego nie pokazała, tylko dawała mi odpisy sporządzane swoją ręką i jeszcze się wahała: dać?, nie dać?, dać nie dać? [...] Przypuszczam, że po prostu pani Stefania lękała się o przyszłe uznanie dla syna. Nie wiedziała, co z jego twórczości przetrwa, nie wiedziała, co otrzyma stempel no, bardziej długotrwały [...]”.

W rezultacie w roku 1947, powstał – przygotowany przez Wykę – tom Baczyńskiego *Śpiew z pożogi*. Wzbogacony o *List do Jana Bugaja* w charakterze wstępu. Późniejsze próby edycji Baczyńskiego spaliły na panewce. Aniela Kmita-Piorunowa napisała dyskretnie – „czasy były nie po temu”.





Napiszmy otwarcie: trudno było wymagać, by w latach stalinizmu mógł zostać wydany tom poezji wybitnego twórcy, należącego do Armii Krajowej.

W tej trudnej sytuacji, niedługo przed swoją śmiercią, Stefania Baczyńska testamentalnie uczyniła opiekunami dorobku Krzysztofa tak znakomite osoby, jak Jerzy Andrzejewski, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Turowicz i Kazimierz Wyka. Z tego grona jedynie Wyka miał merytoryczne przygotowanie i znał się na zasadach naukowych poprawnego edytorstwa.

Przełom – także w tej sprawie – przyniósł rok 1956. Po przemianach politycznych, jakie wówczas miały miejsce, Kazimierz Wyka i Aniela Kmita-Piorunowa podpisali z krakowskim Wydawnictwem Literackim umowę na edycję całości dorobku Baczyńskiego. Na rezultaty trzeba było czekać 5 lat. Bowiem przekazany przed śmiercią przez Stefanię Baczyńską jej krewnej – Anieli Kmita-Piorunowej zbiór poezji i prozy Krzysztofa znajdował się niekiedy w fatalnym stanie. Tak opisywał to Wyka: „Myśmy to dostali, o ile pamiętam, do rąk w stanie takiego – niezupełnie – śmiecia: nienumerowane, niejednokrotnie nie wiadomo było, co do czego należy, bez tytułów, na ogół bez początków i bez zakończeń. I trzeba było sięść i mozolnie, spokojnie, tak, jak każdy edytor, wczytać się w treść. Po wczytaniu się w treść, to się dało, tę prozę Baczyńskiego uporządkować”.

4

W tej sytuacji pracownica i ówczesny dyrektor Instytutu Badań Literackich PAN – Aniela Kmita-Piorunowa i Kazimierz Wyka przystąpili do wydania całego – wówczas dostępne – dorobku Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Rezultatem tej pracy był, wydany w roku 1961, w nakładzie 5000 egzemplarzy, tom: Krzysztof Kamil Baczyński: *Utwory zebrane*, opracowali Aniela Kmita-Piorunowa i Kazimierz Wyka.

Tom ten był wydany bardzo pięknie. Stroną zewnętrzną przypominał francuskie edycje „Biblioteki Plejady”. Drukowany był na papierze biblijnym, z miękką okładką obejmującą zawartość 931 stron.

Zachowane zostały przy tym wszelkie naukowe zasady edytorstwa. Poszczególne utwory opatrzone były obszernymi notami edytorskimi. Książka zawierała bibliografię tekstów o Baczyńskim. Tom ten wzbogacony był też o liczne, świetnie dobrane, fotografie Baczyńskiego, jego rodziców, a także ludzi im bliskich, pochodzące z różnych okresów ich życia.

Niedługo po pierwszej następowały kolejne edycje – tym razem już w dwóch tomach – a nakład wzrósł do 10 000 egzemplarzy. Po tej pełnej edycji następowały liczne książkowe wybory poezji Krzysztofa. Edycja Anieli Kmita-Piorunowej i Kazimierza Wyki urosła do rangi wielkiego wydawnictwa kulturalnego. Wyznawał Kazimierz Wyka: „Mówię całkiem serio: nie spodziewałem się w żadnym wypadku takiej kariery społecznej i takiej kariery czytelniczej tego młodego poety. [...] Przyszłość zrobiła tu olbrzymią niespodziankę, i to właśnie przyszłość ze strony tych młodych roczników, dla których historia jest prehistorią”.

To właśnie wydanie Baczyńskiego recenzowane było przez znakomitych krytyków. Dość wymienić recenzję Jerzego Kwiatkowskiego i Marii Podraza-Kwiatkowskiej zamieszczonej w „Pamiętniku Literackim” (1963, nr 2).

Twórczość Baczyńskiego, lub poszczególne jej utwory, stały się w tych latach przedmiotem zainteresowania i interpretacji wybitnych piór polonistycznych tamtego czasu. Dość przywołać – na zasadzie przykładu – nazwiska: Janusza Sławińskiego, Jana Błońskiego, Jerzego Kwiatkowskiego, Ireneusza Opackiego, Zdzisława Jastrzębskiego, Mariana Tatary, czy Jerzego Święcha.

Szczególne miejsce tu należy przyznać niezwykle cennemu tomowi wspomnień o Krzysztofie Baczyńskim i jego bliskich, opracowanego przez Zbigniewa Wasilewskiego, a wydanego trzykrotnie – *Żołnierz, poeta, czasu kurz... Wspomnienia o Krzysztofie Kamile Baczyńskim* (1967, 1970, 1979).

5

Czas najwyższy postawić pytanie; Jakie czynniki sprawiły, że poezja Baczyńskiego odniosła tak spektakularny sukces u czytelników polskich?

Odpowiedź na tak sformułowane pytanie nie będzie prosta i składać się powinna z kilku części. Po pierwsze, nie ulega wątpliwości, a upływ czasu to potwierdził, poezja Baczyńskiego była twórczością najwyższej próby. Po wtóre, szczególna rola przypadła tu krytykowi tej miary, co – Kazimierz Wyka. Sam ów krytyk tak mówił o swojej roli w poznaniu Baczyńskiego: „[...] to jest przygoda krytyczna dla mnie, jaka więcej nigdy się nie powtórzy. To jest jasne. Nie tylko ze względu na wiek, ale ze względu na to, żeby natknąć się w najcięższych latach grozy okupacyjnej na prawdziwy diament, pomóc – tylko pomóc, bo nic więcej się nie robiło, ażeby on załśnił, zabłyszczał – i nie pomylić się, nie pomylić się w tym, jaki on był!”.

Możemy dodać, że do sukcesu czytelniczego poezji Krzysztofa w istotnej mierze przyczyniły się i inne czynniki. Przede wszystkim jego związki z tradycją polskiego Romantyzmu, tradycją dobrze znaną i wysoko cenioną przez wielu Polaków. Prócz tego realizowany przez niego w życiu z całą konsekwencją romantyczny ideał – „poety-żołnierza”. A zwłaszcza bohaterska śmierć w obronie Ojczyzny w powstaniu warszawskim. Dla wielu czytelników istotne znaczenie miała przynależność Baczyńskiego do elitarnych formacji Armii Krajowej – batalionów „Zośka” i „Parasol”.

Odkrycie poezji Baczyńskiego – powtórzmy raz jeszcze – miało wyjątkowe znaczenie w dziejach literatury polskiej. Spełniło się marzenie poety wyrażone w wierszu *Pokolenie*, z roku 1943:

Gdy w boju padnę – o, daj mi imię
moja ty twarda, żołnierska ziemia.

Bal maskowy to opowieść o zdradzonej przyjaźni i niespełnionej miłości. To historia tragicznego wyboru między lojalnością a pożądaniem. Łączy w sobie wątki sensacyjne i romantyczne nasycone granicznymi emocjami wspólnie wyrażonymi w muzyce. Tu ujawnia się to, jak groźne konsekwencje dla realnego świata może mieć sama myśl lub zamiar, nawet bez jego realizacji” – tak o swojej wizji opery Verdiego – najnowszej premierze w Operze Śląskiej, mówiła reżyserka Anna Wieczur.

Giuseppe Verdi króluje w repertuarze Opery Śląskiej od chwili jej powstania, a więc już 79 sezon artystyczny. Nie mogło więc zabraknąć dzieła tego kompozytora w programie Festiwalu Otwarcia „Wracamy do gry”, którym bytomski teatr muzyczny świętuje powrót na macierzystą scenę po dwóch latach nieobecności spowodowanej wielkim remontem i modernizacją obiektu. Wybór padł na *Bal maskowy*, który dokładnie 65 lat temu, w grudniu 1958 roku po raz pierwszy zagościł na deskach Opery, odnosząc wielki sukces. Nie mogło być inaczej, skoro w obsadzie znaleźli się wielcy śpiewacy: Bogdan Paprocki, Andrzej Hiolski, Janina Rozelówna, Zofia Wojciechowska i Wiera Grabowska.

Od tamtej chwili minęło ponad pół wieku. Zatem jaki *Bal maskowy* zaproponowała Anna Wieczur? Przede wszystkim bardziej uniwersalny w swej wymowie, niż zakładało libretto Antonia Sommy. Osią dramatu jest zamach na króla Szwecji Gustawa III w 1792 roku w Operze Królewskiej w Sztokholmie, jakiego dopuszczają się jego przeciwnicy – oficerowie, którzy przygotowali i przeprowadzili zamach stanu na zbyte „oświeconego” władcę. Wydarzenia historyczne posłużyły Annie Wieczur do stworzenia dzieła, które miało odpowiedzieć na pytanie: „Czy zdarzenia przebiegają w określony sposób, ponieważ bohaterowie są marionetkami w rękach Przeznaczenia, czy też wiedza o przeznaczonym im losie determinuje ich zachowania...?”. Przedstawieniu nadała bardziej skondensowaną formę, a już od pierwszych taktych uwertury wprowadziła symbolikę przedstawiającą i uosabiającą Zło, którą konsekwentnie wykorzystywała w dalszych częściach spektaklu. By uzyskać zamierzony efekt Anna Wieczur wpisała wykonawców w ledwie zasugerowaną rzeczywistość opisaną w librecie, natomiast wyposażając każdą postać w wyrazisty kostium, który jednoznacznie określał daną postać. Wszystkie te zabiegi były możliwe dzięki znakomitej scenografii Matyldy Kotlińskiej, kostiumom Anny Chadaj i projekcjom Stanisława Zaleskiego. Całości dopełniało intrygujące światło w reżyserii Katarzyny Łuszczki.



fol. Krzysztof Białhiński

Wielka premiera

WIESŁAWA KONOPELSKA

W takim oto scenicznym entourage'u wystąpili bohaterowie *Balu maskowego* – a była to plejada najznakomitszych artystów, a wszyscy oni stanowią obecny zespół solistów Opery Śląskiej. Główną postać – króla Gustawa kreował Łukasz Załęski, partię Amelii wykonała Anna Wiśniewska-Schoppa, a w rolę Renato wcielił się Stanisław Kufluk. Trzy znakomite głosy brzmiały przejmująco nie tylko w ariach, ale także w duetach i tercjach. Każdy z artystów miał spore pole do wykazania się najwyższym kunsztem wokalnym i aktorskim, co uczynili perfekcyjnie, a publiczność każdy popis nagradzała gromkimi oklaskami. Niezwykłą kreację stworzyła także Gabriela Legun w roli Oskara – pазia króla Gustawa. Jej jasny sopran koloraturowy brzmiał nieskazitelnie, a gra aktorska zachwycała. Stworzyła czarującą postać skrzącą się dowcipem, a przy tym rewelacyjną wokalnie.

Również obsada pozostałych partii nie pozostawiała żadnych wątpliwości: Horn – Grzegorz Szostak, Ribbing – Zbigniew Wunsch, Sędzia Najwyższy – Maciej Komandera, Krystian – Kamil Zdebel, Służący Amelii – Michał Bagniewski.

Gościem specjalnym premiery była Małgorzata Walewska, dla której partia Ulryki – potężnej Wiedźmy jest jednym z popisowych ról w repertuarze artystki. Do niej należał pięknie plastycznie zakomponowany drugi obraz pierwszego aktu. Królestwem potężnej Ulryki jest mroczny świat podziemi, wśród splecionych korzeni drzew, gdzie każdy

przybysz czuje potęgę przepowiedni, jakie słyszy. Wyniesiona na podest Małgorzata Walewska w zamasyżystych szatach z wielkimi rogami na głowie, przywołująca swojego współnika – Lucyfera, góruje nad nie potrafiącymi poradzić sobie z własnymi namiętnościami bohaterami dramatu. Jej słowa są wyrocznią, która spełnia się w najmniej oczekiwanym sposób.

Na słowa uznania zasłużył także chór pod kierownictwem Krystyny Krzyżanowskiej-Łobody i zespół baletowy, którym kieruje Grzegorz Pajdzik. Chórzyści w *Balu maskowym* mieli do wykonania niezwykle trudne zadania, bowiem musieli wykazać się także zdolnościami aktorskimi i tanecznymi, a tancerzom z pewnością nie ułatwiał występów niezwykle ciekawie zaprojektowany kostium szczelnie okrywający ciało od stóp do czubka głowy.

Do sukcesu premierowego spektaklu *Balu maskowego* AD 2023 przyczynił się także ze wszech miar Tomasz Tokarczyk, który objął kierownictwo muzyczne i poprowadził premierowy spektakl. Wysilek artystów wspomagało zamontowane podczas remontu nowoczesne nagłośnienie, do którego z pewnością wszyscy muszą się przyzwyczaić – także publiczność.

Opera Śląska decydując się wystawić *Bal maskowy* przy udziale tak znakomitych realizatorów i wykonawców z pewnością wzbogaciła swój repertuar o kolejne wielkie dzieło Giuseppe Verdiego. Czy wiedziała o tym Wiedźma Ulryka? ■





Adam i Ewa w liściach figowych, „Raj utracony” K. Pendereckiego, reż. M. Znaniecki



Raj utracony, Joanna Freszel jako Ewa, „Raj utracony” K. Pendereckiego, reż. M. Znaniecki

„Raj utracony” i „Czarna maska” Pendereckiego

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Gdyby Krzysztof Penderecki żył, 23 listopada 2023 roku obchodziłby 90. urodziny. Mistrza nie ma od 29 marca 2020 roku, ale jego muzyka wciąż sprawia, że zapelniają się sale koncertowe i teatralne na świecie. Na przykład Tokyo Metropolitan Symphony Orchestra wykonała 19 grudnia 2023 roku w stolicy Japonii II Symfonię „Wigilijną” Pendereckiego oraz utwory Rachmaninowa i Kilara pod dyktando Antoniego Wita. Sinfonietta Cracovia pod dyktando Katarzyny Tomali-Jedynak miała tournée po Hiszpanii i Portugalii, wykonując jego dzieła. W stolicy Armenii, Erywaniu, odbył się „Penderecki Contemporary Classics Festival”. Wykonano na nim także m.in. utwór „Il tempo passa. Passacaglia” Joanny Wnuk-Nazarowej, która po zakończeniu dyktando NOSPR (2000–2018) zajęła się komponowaniem.

W Polsce przygotowano wiele wydarzeń w związku z tą okrągłą rocznicą. Zaznaczono ją na XI Międzynarodowym Festiwalu im. Krzysztofa Pendereckiego w Zabrzu wyjątkowym koncertem finałowym. Wykonano „Powiedziało mi morze snów... pieśni zadumy i nostalgii” oraz fragmenty niedokończonych opery „Fedra” pod dyktando Jurka Dytała. W Warszawie odbył się Festiwal Krzysztofa Pendereckiego, a w mieście urodzenia kompozytora zorganizowano koncerty w ramach „Dębickich korzeni”. Na finał festiwalu „Eufonia” w stolicy Polski zabrzmiała majestatyczna „Jutrznia” w wykonaniu 230 artystów, znakomicie poprowadzona przez węgierskiego dyrygenta Zsolta Nagy’ego. Specjalne koncerty odbyły się też w Europejskim Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego w Lusławicach („Polskie Requiem” pod dyr. Macieja Tworka), Filharmonii Krakowskiej (Penderecki – Górecki pod dyr. Alexandra Humali) i NOSPR w Katowicach (wersja półsceniczna „Czarnej maski”).

Teatr Wielki w Łodzi postanowił uczcić jubileusz premierą „Raju utraconego” i było to jedno z najważniejszych wydarzeń artystycznych ubiegłego roku w Polsce. Inspiracją dla kompozytora było literackie arcydzieło – poemat epicki Johna Milтона „Raj utracony”, opublikowany w Anglii w 1667 roku. Milton, wychowany w purytańskiej tradycji, przeciwstawiał się władzy kościelnej i królewskiej. Dzieło swojego życia napisał białym wierszem, bez rymów. Na kilkuset stronach jest wiele biblijnych, mito-

logicznych, historycznych, literackich i filozoficznych odniesień. Pisarz zastanawia się nad pochodzeniem zła, losami ludzkości i wolną wolą. Szatan w ujęciu Milтона jest wielkim buntownikiem, godnym przeciwnikiem Boga. Adam i Ewa czują się upokorzeni i myślą o samobójstwie, jednak Archanioł Michał zapowiada nadejście Mesjasza, który zbawi całą ludzkość. Pierwsi ludzie nie są wygnani przez Boga, lecz kierując się wolną wolą postanawiają odejść z Eden, a raj odnajdą w duszy.

Penderecki zaprosił do współpracy brytyjskiego pisarza Christophera Fry’a, aby pomógł mu stworzyć libretto opery. Kompozytor stwierdził: „Obok tekstu purytania [Miltona] umieściłem oryginalny tekst Biblii, sekwencję „Dies Irae” i chorał protestancki. Nigdy nie lubiłem ortodoksji, jednoznacznej z dogmatyzmem i nietolerancją” (K. Penderecki, „Labirynt czasu. Pięć wykładów na koniec wieku”, s. 68). Światem przedstawionym rządzi metafora, są wielkie słowa i tematy wieczne takie jak: dobro, zło, miłość, nienawiść.

Oglądając łódzki spektakl miałem jednak wrażenie, jakby zabrakło reżyserowi Michałowi Znanięckiemu głębszej refleksji. Skupił się na wielu efektach wizualnych, które czasem zachwycały, a kiedy indziej drażniły barokowym przeładowaniem. Na początku oszałamia rozbudowana scenografia Luigiiego Scoglio z podwojnymi projekcjami (z przodu i z tyłu) oraz jeżdżącym wielkim kołem przypominającym glob (z nawiązaniem do „Człowieka Witruwiańskiego” Leonarda da Vinci – nagiego mężczyzny w dwóch pozycjach). Później efekty zaczynają męczyć. Już w prologu widzimy pełzające po ziemi diabły, zamienione w węże. Penderecki wyraźnie zaznaczył, że jego dzieło nie jest operą, lecz „sacra rappresentazione” czyli nawiązaniem do tradycji średniowiecznego dramatu liturgicznego. Chór ma być głównie komentatorem jak w starożytnym teatrze greckim. Na scenę została wprowadzona także postać ślepego Milтона.

Prapremiera światowa odbyła się w Lyric Opera w Chicago (1978), a kolejna odbyła się w mediolańskiej La Scali (1979). W Polsce zmierzli się znakomicie z tym dziełem dwaj wybitni reżyserzy: Marek Weiss-Grzesiński (Teatr Wielki w Warszawie, 1993) i Waldemar Zawodniński (Opera Wroclawska, 2008).

Premiera łódzka została świetnie zrealizowana przez kierownika muzycznego Rafała Janiaka. Artysta wydobyl wszelkie nianse z tej muzyki, która sama w sobie jest niezwykle bogata i dramatyczna. Ślepy Milton jak Tejrzasz przestrzega przed tragedią i przypomina historię grzechu pierwszych ludzi oraz buntu aniołów przeciwko Bogu. Podobał mi się w łódzkim przedstawieniu pomysł ze złotym Drzewem Wiadomości Dobrego i Złego, na którym zawieszono były książki. Ewa zerwała jedną z nich i zaczęła ją „pożerać” wzrokiem. Warto przypomnieć, że Kościół katolicki ogłosił pierwszy Indeks Ksiąg Zakazanych w 1559 roku, a ostatni został oficjalnie zniesiony dopiero w 1966 roku przez papieża Pawła VI.

Metafizyczny temat pojawił się również w operze Pendereckiego „Czarna maska”, której prapremiera odbyła się na słynnym Festiwalu w Salzburgu w 1986 roku, przejęta później przez Operę Wiedeńską. Kompozytor zdecydował się na sztukę Gerharta Hauptmanna z 1928 roku. W pierwszej fazie twórczości Hauptmann był przedstawicielem naturalizmu („Tkacze”, „Szczury”). Tomasz Mann powiedział, że w jego późniejszych dziełach można odnaleźć „przecucie niepokojącego kosmiczno-metafizycznego przeznaczenia ludzkości”.

Temat „Czarnej maski” jest przerażający: to wizja czarnej śmierci z odniesieniami do wojny trzydziestoletniej. Akcja została umieszczona w Bolkenheim (obecnym Bolkowie koło Wałbrzycha). Żona burmistrza Benigna prowadzi salon, do którego zaprasza ludzi różnych wyznań i wprowadza w domu „ład religijny”. Wychodzą jednak na jaw skryte tajemnice, dochodzi do morderstwa, zarażona dżumą Benigna umiera, a burmistrz Schuller popełnia samobójstwo. Porażający jest finałowy taniec śmierci. Zupełnie inny kontekst można odczytać teraz, po zmierzaniu się współczesnego świata z pandemią koronawirusa. NOSPR w Katowicach przygotował wersję półsceniczną tego trudnego muzycznie dzieła z liczną obsadą. Reżyserii podjął się Georg Zlabinger, a znakomicie poprowadziła całość nowa dyrektorka artystyczna NOSPR Maria Alsop. Międzynarodowa obsada została wspaniale dobrana i czekam z niecierpliwością na nagranie audiowizualne. To było wielkie wydarzenie na europejskim poziomie.



ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Kiedy myślę o Bolesławie Luboszu (1928–2001), a łączyło nas nie tylko bliskie sąsiedztwo tarnogórskich domów rodzinnych, ale i wspólne długoletnie jurorowanie w gwarowym konkursie Marii Pańczyk, prawie zawsze przywołuję w pamięci jego ulubione słowo *brzym* – śląski odpowiednik *modrzewia*.

Gdy się zaś ostatnio z tego zwierzyłem znanemu czytelnikom naszego miesięcznika tarnogórskiemu poecie Krystianowi Krzemińskiemu, autorowi szkicu „Bolesław Lubosz – przypisy do biografii” z tomu „Świąty poetyckie Bolesława Lubosza” pod red. Mariana Kisiela i Katarzyny Niesporek (Wydawnictwo „Śląsk” 2018), on – jak zawsze przyjacielsko niezawodny – zasilił moje leksykalne asocjacje odpowiednimi cytatami.

I tak w poemacie historiozoficznym „Cztery pory odkupienia” (Wydawnictwo „Śląsk” 1990) mój krajan Bolesław napisał we wstępie: „Zacznijmy od zmartwychwstania tarnogórskich traw i drzew. Od Rept i Bobrownik przedzierały się w górę **brzymi** i cisy”. Z kolei w wydany w roku 2000 pod red. Floriana Śmiei w Missisadze (Kanada) wyborze wierszy zatytułowanym „Niedoskonałość” można znaleźć fragment: „Pelzające przylaszczki z góraliskim **brzymem**”.

Krystian Krzemiński wskazał mi jeszcze jeden cytat z *brzymem*, pochodzący z tekstu Marii Pańczyk „Śląski Łańcut” do muzyki Grzegorza Spyry: „U Pistulki się pogapisz, a pod **brzymem** wena mosz” (z wydanego w r. 1994 śpiewnika śląskiego „Pośpiewamy po naszymu” teźże Marii Pańczyk, z moim słowem wstępnym).

Ja natomiast mogę do tych przykładów dołączyć jeszcze *Spotkania pod Brzymem* – pszczyńskie święto kultury ludowej, *Mały Brzym* – poświęcony dziecięcym występom ludowym, nazwy paru obiektów na Górnym Śląsku, takie jak *Brzym* czy *Przy*

Brzym

Brzymach, a także hasło **brzim, brzym** ze s. 22 „Małego słownika gwary Górnego Śląska” Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec (Katowice 2000): „Por. *modrzyń, modrzyń* – „modrzew”: *W naszym kościele sóm ławki i bołazeria z brzima. Chciolbych wele chałpy posadzić dwa brzymy*”.

Dopowiem wreszcie, że Krystian Krzemiński z 9. części Luboszewego poematu historiozoficznego przysłał mi także wers nie z *brzymami*, ale z *modrzewiami*: „Ciepło drewna dobyte z wnętrza sosen i **modrzw**”. Jestem mu też wdzięczny za „**brzosty** winem odziane” z tomu „Niedoskonałość”, bo będą one przydatne w etymologicznej części dzisiejszego odcinka. A dlaczego?

Ano dlatego, że *brzost* – „gatunek wiąz” – etymolodzy umieszczają w tej samej rodzinie wyrazowej, do której należą *brzoza* czy *brzezina*. Pisał prof. Aleksander Bruckner przy hasle **brzoza**: „z dawn. *ber-za*, rus. *bierioza*, małorusk. *bereza*, w lit. *beržas*, niem. *Birke* (i *Borke*, „kora”), a nazwana od jasności kory, od pnia *berz* „łśnić”, lit. *berszti* „bieleje”, niem. (gockie) *berhts* „świeca”, ind. *bhurda-*. Od tego samego pnia pochodzi i *brzost*, ale to drzewo nie ma jasnej kory, więc nazwane od korku na powierzchni gałęzi, co *brzozę* i *brzost* wśród innych drzew wyróżnia” („Słownik etymologiczny języka polskiego”, Kraków 1927, s. 45).

A teraz hasło **brzoza** w słowniku prof. Wiesława Borysia: „**Brzoza** – nawiązuje do praindoeuropejskiego pnia *bhereg* – „błyszczący, biały”, pierwotne znaczenia „błyszcząca, biała”, drzewo nazwane więc ze względu na charakterystyczną jasną, błyszczącą korę. – Od tego *brzozowy, brzezina*” (Słownik etymologiczny języka polskiego, Kraków 2005, s. 43).

Ja zaś w tym momencie, przytoczywszy wywody etymologiczne z dwu znanych słowników, podzielię się z Państwem swoim przekonaniem, że leksykalny bohater dzisiejszego odcinka, czyli śląski *brzym*, również należy do powyższej rodziny wyrazowej, że też jest morfologiczną kontynuacją archaicznego rdzenia indoeuropejskiego *bhereg*. Oczywiście, *brzym*-*modrzew* nie ma białej kory jak *brzoza*, nie nawiązuje zatem do etymologicznego elementu białości. Myślę natomiast, że kryje w sobie znaczeniowy odcień szeroko pojętej błyszczącości. Jako jedyne drzewo iglaste z igłami opadającymi na zimę

tak właśnie mógł być *brzym* w procesie nazwotwórczym postrzegany przez naszych przodków.

A jego ogólnopolski wariant *modrzew*? – Tak o nim pisze w swoim słowniku prof. Borys: „Prawdopodobnie powstał przez skrzyżowanie niezachowanego chyba bezpośrednio wyrazu *możdzew*, prapokrewnego ze wschodniosłowiańską nazwą *jałowca* (ros. *możżevelnik, możżevel* od prasłowiańskiego *możdzew*) z inną nazwą *modrzewia* utworzoną od prasłowiańskiego przymiotnika *modr* (nasz *modry*) – „niebieski, ciemnoniebieski” (s. 335). I w tym wywodzie mamy więc skojarzenia kolorystyczne!

Na koniec o fonetycznym wariacie starego śląskiego słowa *brzym*, którą jest postać *brzim*. Myślę, że frekwencyjnie jest ona silniejsza od *brzymu* z „y”. Bo też jedną z najbardziej charakterystycznych cech fonetyki śląskiej jest zachowywane po „rz” pierwotne „i” („*brzim*” – jak „*grzyby*”, „*przyszedł*”, „*przyjechał*”, „*przygotował*”, „*krzyczeć*” itp.). A dlaczego pierwotne? – Dlatego że pod dzisiejszym „rz” kryje się prymarne miękkie „r”, utrzymujące się w większości języków słowiańskich (por. np. ros. czy słowackie formy *rieka, morie*). W językach polskim i czeskim natomiast w pewnym momencie ich dziejów element miękczący głoskę „r” wydzielił się w postaci dźwięku szczelinowego „ż”, a formy typu „*rieka*”, „*morie*” zaczęto wymawiać jak „*rżeka*”, „*morze*”. Na tym etapie ewolucji miękkiego „r” pozostali Czesi, a znakiem graficznym tego dźwięku jest u nich „r” z odwróconym daszkiem (a i w gwarach południowego Śląska można usłyszeć wymowę tego typu: „*morze*”, „*rżeka*”, „*trszy*”, „*trszynaście*”). W polszczyźnie ogólnej ten wtórny element szczelinowy „ż” był coraz silniejszy, aż wyparł zupełnie prymarne miękkie „r” i „rz” złożyło się ostatecznie w wymowie z „ż” (w zdaniu typu „*może pojadę nad morze*” w dwu skrajnych słowach słyszymy ten sam dźwięk „ż”; etymologiczne „r” w drugim wyrazie ujawnia się dopiero w derywacie *morski*).

To „rz” wymawiane w polszczyźnie jak „ż” było przez wieki miękkie – takie jak w śląskich postaciach fonetycznych typu *brzim, grzyby, przyjechał, krzyczeć*. W naszym regionie – powtórzmy – słychać je do dziś! W języku ogólnym „rz” stało się spółgłoską twardą, dlatego mamy w nim brzmienia *grzyby, przyjechał, krzyczeć*. ■

Historia Ridleya Scotta

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I Najnowszy film Ridleya Scotta „Napoleon” nie ma dobrej prasy. Nie tylko filmowi recenzenci, ale i historycy nie zostawiają na nim suchej nitki. Scott najwyraźniej nie lubi francuskiego „Boga wojny” i w filmie daje temu wyraz. Tytuł felietonu jest zatem mylący. Powinien brzmieć „Historia według Ridleya Scotta”. Tyle, że historia według Ridleya Scotta nie jest historią. Nie tylko w przypadku „Napoleona”. Czym zatem jest? Jest fantazją reżysera, którą mniej wyrobieni widowni biorą za obraz historii, a to przecież tylko obraz, zwykle efektowny, to prawda, ale jednak tylko obraz. Czego? No cóż, często właśnie fobii reżysera. Niekiedy efekciarstwa, często aktualnie modnych trendów kulturowych. Jakub Ostromecki w książce „Skrecona historia. Film a prawda historyczna” wspomina o doświadczeniach konsultantki historycznej „Gladiatora”, profesor Kathleen Coleman. Na porządku dziennym przy produkcji filmu były takie mejle jak: „Potrzebujemy kilku dowodów na to, że kobiety gladiatorki miały do sutfów przyczepione ostrza”. Coleman „nawnie myślała, że jej praca polega na weryfikacji anachronizmów, niedorzeczności, stereotypów i współczesnych mitów. Ridley Scott liczył się jednak z jej zdaniem coraz mniej, potrzebując konsultanta do żyrowania idiotyzmów”. Ostatecznie profesor Coleman poprosiła o wykreślenie jej z listy współpracowników. Trudno pewnie o porozumienie historyka z reżyserem, który „świadomie łączy historię z aktualnymi wydarzeniami”.

II Akcja innego filmu Ridleya Scotta „Królestwo niebieskie” dzieje się w czasach III krucjaty. Otóż – pomijając to, że w filmie Scotta jedyny duchowny chrześcijański został przedstawiony jako tchórz, hipokryta i człowiek zachęcający wiernych do przejścia na islam byle tylko ratować skórę, a masakra dokonana przez Saladyna pod Hittin została pominięta w ogóle, to... No właśnie, oto chrześcijański dowódca obrony Jerozolimy negocjuje z Saladynem warunki poddania miasta. Saladyn powiada – Nikt nie ucierpi... Chrześcijanin nie potrafi w to uwierzyć – powiada: Wszak

chrześcijanie, kiedy zdobywali Jerozolimę wyrznęli mieszkańców w pień... I odpowiada spokojnie Saladyn: Ale ja to nie oni. Ja jestem Saladyn... Saladyn – dodajmy, jeden z najokrutniejszych władców muzułmańskich – przez Scotta przedstawiony niemal jako dobroczyńca ludzkości.

III No cóż, z przykrością trzeba stwierdzić, że tego typu przekłamania znaleźć można nie tylko w filmach fabularnych. Ot, w serii „Wielkie Bitwy Historii” (AmerCom) do książeczki dodawano płytę DVD – bądź to z rekonstrukcjami historycznymi odległych w czasie zdarzeń, bądź ze zdjęciami dokumentalnymi gdy w grę wchodziła historia najnowsza. Całość dopełniały komentarze historyków-specjalistów. Jak przedstawiono krucjaty? Ograniczę się do jednego z epizodów z III krucjaty. Oto w pierwszej kłęczą rzędem pokonani krzyżowcy, a za ich plecami szykują się do ścięcia im głów muzułmańscy zwycięzcy; w drugiej sytuacji jest na pierwszy rzut oka identyczna, tyle, że to wojownicy islamu kłęczą, a ścinać będą im głowy krzyżowcy. Pierwsza ze scen, kiedy dekapituje się ludzi Zachodu obrazuje finał krwawej bitwy pod Hittin stoczonej w roku 1187 przez Krzyżowców z wojskami sułtana Saladyna. Jak komentuje Jonathan Phillips „Nie było litości dla Szpitalników i Templariuszy. Sułtan zadecydował o ich skazaniu na śmierć – bez wyjątku”. Dłaczego taka była decyzja Saladyna tłumaczy w filmie Tariq Ali, współczesny nam historyk arabski, autor książki o Saladynie. Powiada: „Saladyn podjął tę decyzję aby wywołać grozę – «Twierdzicie, że to wasi najlepsi rycerze. Proszę już ich nie ma». Druga sytuacja, to scena, w której widzimy rząd kłęczących wojowników Saladyna – a za nimi rycerzy krzyżowych. I znowu, ci drudzy za chwilę zetną kłęczącym głowy. To obraz krwawego epizodu, który miał miejsce w roku 1191 pod Akką. Zdobył ją król Anglii Ryszard I (stad jego przydomek Ryszard Lwie Serce) i wziął do niewoli ponad 2 tysiące żołnierzy Saladyna. Ryszard wysłał ultimatum do Sułtana – uwolni ich za okup w postaci 200 000 tysięcy złotych monet i zwrotu relikwi prawdziwego krzyża. Rokowania się przeciągały. Komentarz zachodniego historyka:

„Ryszard doszedł do wniosku, zapewne słusznego, że Saladyn wykorzystuje sytuację, by zmęczyć Franków (krzyżowców). Ogarniało Ryszarda zatem coraz większe zniecierpliwienie. Zrobił coś, co nawet, w tamtych czasach uchodziło za zbrodnię. Krytykowano go za to. Postępek Ryszarda tamtego dnia w Akce przeszedł do historii jako jeden z najokrutniejszych epizodów wszystkich krucjat. Muzułmański kronikarz tamtej epoki pisał: «Wróg wyprowadził jeńców, którym Bóg przeznaczył męczeństwo. Zabił ich z zimną krwią». Wspomniany już Tariq Ali zapewnia: „Do dziś mówi się o masakrze muzułmańskich jeńców”. Dr Jonathan Phillips tłumaczy: „Ryszard podjął tak drastyczne działania, ponieważ sądził, że nie ma wyjścia. W kategoriach militarnych to prawda. Musiał jeńców żywić i pilnować. Gdyby ich uwolnił zaatakowałby go ponownie. Musiał szybko i skutecznie rozwiązać ten problem. Dopuścił się okrucieństwa, ale mógł wreszcie ruszyć na południe, aby odzyskać święte miasto”. Czyli: śmierć zadana przez Saladyna – racjonalna, wszak chciał wzbudzić strach swoim okrucieństwem. Zaś postępek Ryszarda Lwie Serce – jego masakra muzułmańskich jeńców określa-na jest jednoznacznie jako zbrodnica.

IV W innym filmie Ridleya Scotta „1492” Krzysztof Kolumb otrzymuje możliwość przedstawienia swoich racji na Uniwersytecie w Salamance. Chce płynąć na zachód, żeby odkryć nową drogę do Azji. Grający Kolumba Gerard Depardieu deenerwuje się: „Tak długo nas okłamują, że Ziemia jest płaska jak stół, że jej krańców strzegą potwory”. Wybitny semiotyk i powieściopisarz, ale i mediewista, Umberto Eco zapewnia, że „[w]brew temu, co głoszą liczne legendy krążące w Internecie, wszyscy średniowieczni uczeni uznawali, że Ziemia jest kulą. Nawet uczeń pierwszej klasy liceum z łatwością wywnioskuje, że skoro Dante wkracza w głąb piekielnej otchłani i wychodzi z niej pod drugiej stronie, u stóp góry Czyścica, spoglądając na nieznanie sobie gwiazdy, to musi być w pełni świadomy, iż Ziemia jest kulista”. Pytanie – ilu widzów filmu Scotta o tym wiedziało? A ilu uwierzyło w średniowiecznych płaskoziemców u władzy?

Hybrydy (6)

TOMASZ BOCHEŃSKI

Mimo protestów miesięcznik „Nowa Polonistyka” ogłosił wyniki ankiety na słowo odchodzące. Część czytelników wycofała prenumeratę, bo ankietę mogli wypełnić tylko tegorocznym maturzystami. Najwięcej protestów przyszło od nauczycieli. Na liście trzystu należało krzyżkami oznaczyć słowa, których się nie rozumie, a zna, słowa, których się nie zna i nie rozumie, oraz słowa, których nigdy by się nie użyło. W wyniku tej selekcji wygrało, to znaczy przegrało, słówko *elitarny*. Na drugim miejscu znalazł się *demurg*. Na siódmym *wyrafinowany*, na dziesiątym *makatka*. *Zlew*, który niedawno w „Gazecie” wygrał ranking słów modnych był na trzydziestym, *dzban* – również niedawny zwycięzca – na osiemdziesiątym, tuż przed *istotny*. Na liście powinno się też znaleźć *dosłownie*, żeby wreszcie odeszło, ale się nie znalazło. Redakcja zamieściła komentarz do ankiety: „*Zastępujemy słowa odchodzące!* „Premium” zamiast „elitarny”, „na bogato” zamiast „wyrafinowany”!

Libera przetłumaczył *Odprawę posłów greckich* na polszczyznę współczesną. „Wy, którzy popolitą rzeczą władacie” przełożył na „Przywódcy i doradcy Rzeczypospolitej”. Sam pracuję nad translacją *Szewców*, innego odchodzącego dramatu, ale nie idę w tę stronę, w stronę *doradców*. Jeszcze nie mam pomysłu, jak przetłumaczyć niezrozumiałą tytuł. Trzeba bohaterom zmienić wymierający zawód. Może mogliby czeladnicy, nie czeladnicy to też złe słowo, lepsze – prekariat, może prekariusze mogliby układać betonową kostkę. A może zmienić szewcom też płęć? Niech to będą ofiary patriarchy, pielęgniarki albo recepcjonistki. A Saje-tan – diamdza jego szadz zaprzana – niech będzie Ordynatorem. Prokuratora Scurvy’ego na szczęście nie trzeba przekładać, bo jest ponadczasowy. A księżna Ticonderoga niech będzie trans. I od razu poszło mi z translacją. Kawałki *Prekariuszek* czytałem dzieciakom i wszystko rozumiały. Scena zabijania Ordynatora przez wyzwoloną bohaterkę wzbudziła entuzjazm. Pielęgniarkę wyposażylem w piłę do trepanacji. Aż doszedłem do końca dramatu, do wejścia

Towarzyszy, tzw. *nowych ludzi*, nie do końca zmechanizowanych. Niech to będą korpuludki, powiedziałem sobie. Ale korpuludki niwelujące rewolucję prekariuszek? Taki finał oznaczałby *perwersyjne*, przepraszam – dziwne zwyczajstwo patriarchy. Może niech to będą starzy ludzie ze starymi słowami, bezsilni, resztkami sił opierający się mechanizacji? Uznałem, że to beznadziejny pomysł i wtedy wymyśliłem. Sztuczna inteligencja, w finale *Prekariuszek* przychodzi sztuczna inteligencja.

Poszewki drukowane, z ziołami polnymi albo ptakami śpiewającymi, aż chce się pod nimi zasypiać. A gdyby z pościeli uczynić słownik, to lepiej by się spało pod słowami odchodzącymi czy pod przychodzącymi? Młodszy mogliby przed snem uczyć się z poszewki słów dawnych, a starsi nowych. Albo odwrotnie. W snach jedni i drudzy zagładaliby pod poszewkę czasu, i może wysniliby, kto przyjdzie w finale.



Przedostatni tramwaj zamiast w lewo skręcił w prawo, a potem jeszcze raz w prawo i tam się kierował, skąd przyjechał. Dokąd on jedzie? – rzucałem w stronę innych pasażerów, dobrze się bawiących, nikt poza mną się nie irytował. „Jeszcze nie karnawał, a już pijany”, śmiało się dwóch robotników po drugiej zmianie. „Skręci w Tramwajową i wróci na trasę”, studenci jadący z imprezy na imprezę nawet nie patrzyli przez okna, ale nie wrócił. Dwa siedzenia dalej grupa nastolatków dzieliła się skrętami i uśmiechała do mojej irytacji: „Robi większe koło”. I robił, a właściwie nadrabiał. Pędził między przystankami, z obowiązkowo zatrzymywaniem się na krótko. Na nowej trasie też ktoś wsiadał jak do swojego. I wszyscy poza mną się cieszyli półgodziną retardacją przed powrotem na właściwe tory. Za Stacją Jednorozców, tak nazwano przystanek w centrum, znów się mógł zakłysnąć i popłynąć w prawo, ale chyba wytrzeźwiał, bo ruszył po właściwej linii, prosto na Retkinię. „Przepraszam, mógłby pan przestać”. Czy to ja powiedziałem do pijanego, który podawał każdej dziewczynie nu-

mer telefonu? „Ej, sprawdź, już masz dziesięć nieodebranych połączeń”. Inni bawili się zaczepialskim i ja, zamiast się upominać, też się powinienem cieszyć tramwajem pijanym, pojechać na krańcówkę, siebie po drodze wyrzucić w mgłę i deszcz, i ruszyć do zajezdni, albo pod wiatr nie czekać na nic. „W taki deszcz wsiadać?”, usłyszałem już w drzwiach. Na do widzenia spojrzeliśmy sobie w oczy, ja miałem dom, znaki drogowe, rozkład jazdy, plany rozbudowy, oni mieli w oczach włóczkę, spóźnienie, rozbite latarnie i miasto Łódź dryfujące we mgle.

Mgła skierowała mnie w niewłaściwą stronę. W nocnym sklepie królował piątek. W całym kraju, tu także, kupowano głównie środki do zmywania tygodnia. Na tablicy ogłoszeń przybyło zdjęć zagubionych psów, jak zwykle po świętach i Sylwestrze. Psy szukały właścicieli z innej parafii, z innego miasta, z innej diecezji, właściciele nie szukali psów. Można było kupić przecenione fajerwerki, wino musujące, tęczowe żelki, a z lady wziąć sobie jakieś zdjęcie na pamiątkę, uśmiechniętego goldena albo kumatego wyżła, raczej z podejrzany rodowodem. „Przybłąkał się”, „znaleziono”, „bez obroży”, „od wielu dni”. Z takim zdjęciem dobrze byłoby pójść po kolędzie, może ktoś z parafian rozpozna, może widział gdzieś daleko. A jeśli pies tak jak ja nosi tatuaż i chip, wróci tam, gdzie musi wrócić.

W łódzkich grach miejskich uczestniczy coraz mniej osób. Za mało fikcji napisano przez półtora wieku, by starczyło na dłuższą zabawę, za mało na taką miejskość. Raz gdy wystawiono powieść Josepha Rotha w prawdziwym Hotelu Savoy, widzowie mylili piętra i pokoje. To był interaktywny spektakl, każdy z planem mógł wybrać sobie sekwencję scen. Ja też się pomyliłem i wpadłem z dwójkiem innych widzów do jakiegoś apartamentu, w którym rodzina z Katowic oglądała zdjęcia ze spaceru po Księżym Młynie. Byliśmy rozczarowani, ekran miał najwyżej dwadzieścia cali, niewiele było widać. Odważyłem się spytać: „To jest część spektaklu?” Choć oni mogli zadać nam to samo pytanie.

Pewna noworoczna rozmowa

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Tradycyjnie z Pawłem, inżynierem i pasjonatem historii, który mówi o sobie, że „jo starzyk, co mo 69 lot”, składaliśmy sobie życzenia sylwestrowe. A już za kilka dni rozpoczął nagle rozmowę o Górnym Śląsku. Nawiązał do wspomnień z wakacji nad morzem w 1977 roku. Wtedy usłyszał od mieszkańca Sopotu o „śląskiej Katandze”, czyli o szczególnym, nieuzasadnionym politycznym wyróżnianiu tego regionu. O jego wyróżnianiu gospodarczym i społecznym, także o wysokich górniczych pensjach, zasobnych sklepach, o sławnych „gieweksach”. O uwielbianiu Górnoszlązków przez ekipę Gierka. Był tą opinią oburzony. Jednak nic nie powiedział. Nawet kiedy przygodny znajomy powiedział, aby to wszystko przemyślał, kiedy wróci do „tego swojego Hanyslandu”. Po latach żałował, że swojemu rozmówcy nie powiedział, że Górny Śląsk to „wewnętrzna kolonia Polski”, region ustawicznie wykorzystywany. Że to ziemia ciężkiej pracy, uczciwej, żmudnej, i niestety objęta manipulacjami przez polityków. Ustawicznemu spychaniu Górnoszlązków na pozycje społecznie i kulturalnie peryferyjne.

A mnie Paweł powiedział jeszcze o „śląskiej krzywdzie”. I przyznam, że dziękował za moje teksty opublikowane na ten temat. A nagle wspomniał też swoją Mamę, która wprowadzała mnie od połowy lat 70. ubiegłego stulecia w istotę tradycyjnej rodzimej kultury regionalnej. Oprowadzała mnie wówczas po familokach, gdzie mieszały Jej przyjaciółki i znajome. A to był już pretekst do rozmowy o dawnych zwyczajach i obrzędach, o świętowaniu, o codzienności, a przede wszystkim o tym, że dawniej w tym regionie ludzie opierali się na „piyknym” systemie wartości. Te rozmowy etnograficzne obejmujące kilkaset osób, starci i starzyków, ale i młodsze wiekiem, były podstawą moich tekstów naukowych o religijności i znormalizowanych kulturowo zachowaniach. O prymacie Dobra na Złem, o zrozumieniu drugiego człowie-

ka. Bo tego uczy Ewangelia i lokalna tradycja. A Pan Paweł zadał pytanie: „Gdzie to wszystko jest? Pytom, kaj to jest?”. Rozumie, że czasy są inne, ale zarazem wyraził wręcz dramatyczną obawę o relacje rodzinne, sąsiedzkie, społeczne. Stwierdził, że ludzie tracą szacunek do drugiego. Powiedział: Co mnie obchodzi polityka. Przecież my możemy być dobrzy, życzliwi. Martwi Pana Pawła brak szacunku dla ludzi. Wskazał na prymat konsumpcji. Powiedział, że są to cechy doby współczesnej, doby globalizmu i prymatu tandetnej popkultury. Zgodził się z tym, rozumie, że współczesność jest trudna, ale zaraz wskazał, że przeszłość też była trudna. Ale inaczej, bo to i wojny, i przymusowe wcielanie Ślązków do niemieckiej armii, co tak przejmująco ukazuje monodram Alojzego Lyski „Mianujom mnie Hanka” w niezwykłym wykonaniu aktorki Grażyny Bułki i teatru Korez.

A w 1945 roku nadszedł czas „ruskiego miru”, czerwonego obozu w Zgodzie, okres stalinizmu, następnie realnego polskiego socjalizmu. Zamilkłem. A Paweł zaraz powiedział: „Tak było, no jednak ludzie wytrzymali i byli dobrzy”. Mój rozmówca wskazuje, że znów jesteśmy w realiach wojny, konfrontacji dwóch systemów. Rozumie, że trwa też proces zeświecczenia wielu form życia, ale i dostrzega ateizację. Wreszcie to, że uniwersalne wartości ulegają zawieszeniu, nawet porzuceniu. Lecz kategorycznie dodaje, że przecież my tu, na Górnym Śląsku, mamy z czego czerpać. Zarazem jednak ubolewa nad niskim stanem czytelnictwa o tej ziemi wśród swoich. Uważa, że jest wręcz dramatycznie niski. Zło bogactwa rodzimej kultury i nowej sytuacji kulturowej. Z rozrzewieniem wspominał jeszcze trudne lata stanu wojennego, kiedy człowiek człowiekowi był bratem.

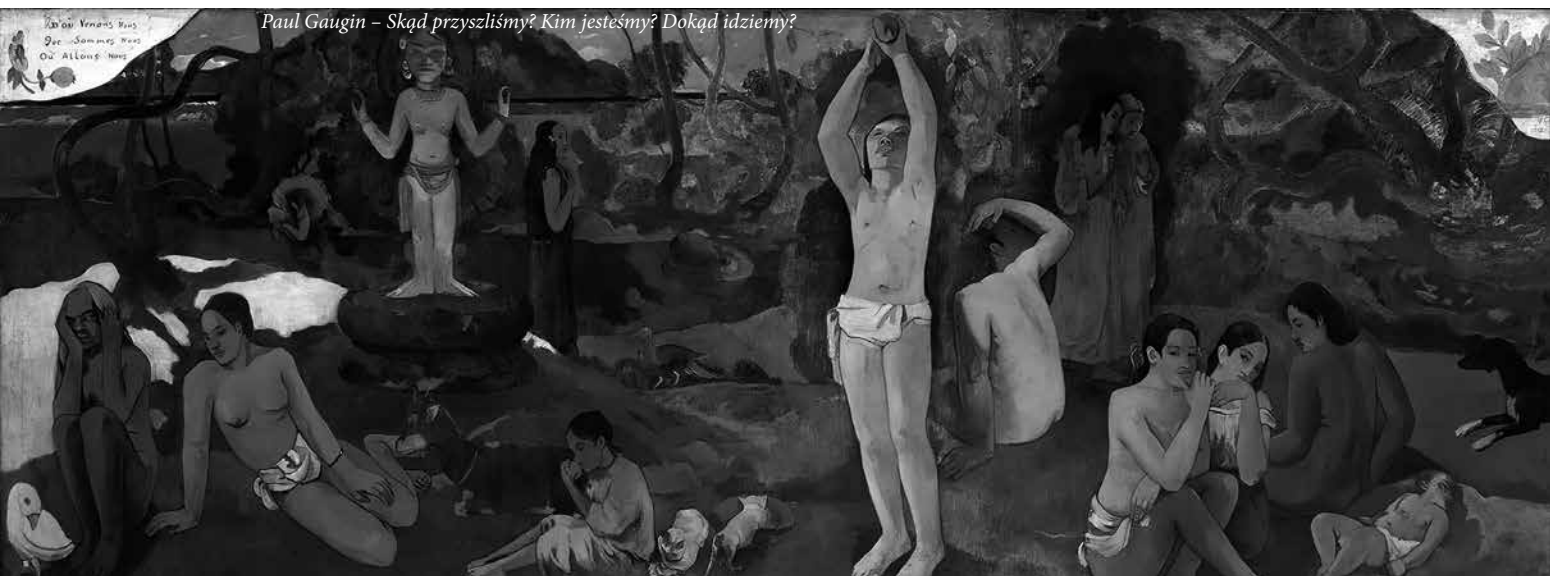
Zadałem pytanie: „Czyli co nas czeka, co mamy robić?”. Odpowiedź była prosta. „Myśleć, myśleć, a nie ulegać emocji, wygodnemu życiu. I nie żyć w takiej, jak to mówią w niektórych mediach «puszcze», gdzie rodzi się przeko-

nanie, że tylko ja mam rację. Oni nigdy (...) Egoizm i głupota”. W spokoju powiedział też, że nastał czas, że „Szczęśliwego Śląska nadszedł już czas”. Regionu, gdzie ludzie będą kultywowali tradycję i swoją mowę. Gdzie mieszkańcy będą wspólnotą, mimo różnic. Wspólnotą ludności rodzimej i przybyszów. Bo przecież w każdym poważnym dziele antropologicznym jest zawarta prosta myśl, iż w różnorodności tkwi bogactwo. To tkwi też w pracy Jana Pawła II *Pamięć i tożsamość*, która bywa nieraz fatalnie reinterpretowana.

A w naszym regionie muszą też być stworzone szanse prawdziwego nowego rozwoju. Kulturowe, społeczne, ekonomiczne. W tym mój rozmówca widzi szczególne zadanie dla wszystkich rodzimych mieszkańców tej ziemi i przybyszów. Przybyszów, którzy gościnnie byli tu przyjmowani. Po 1945 roku Kresowian, a potem poszukujących pracy, ale i „wibusów”. Z pasją mój rozmówca mówił, że jest to zadanie zwłaszcza dla tych, którzy deklarują swoją przynależność do narodowości śląskiej. Z pamięci cytował dane. A więc, że w Katowicach 17% deklaruje taką przynależność, czyli ponad 50 tysięcy osób; w Rudzie Śląskiej 97%, czyli ponad 100 tysięcy osób; a np. w Tychach 10,91%, czyli ponad 13 tysięcy mieszkańców, a więc w owym – jak dodał – socjalistycznym z woli budowniczych mieście. Taka decyzja części Górnoszlązków nie może być powodem do – jak powiedziano – zwały. Dlaczego? Bo wszyscy mamy swoją tożsamość, swoje wybory, swoje ambicje. A tu, na Górnym Śląsku, powinna nas przede wszystkim łączyć miłość do tej ziemi, do jej rozwoju.

Na zakończenie rozmowy nawiązał do obrazu *Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?* *Dokąd zmierzamy?* I o tym – jak powiedział – musimy myśleć i czytać na ten temat. Dlaczego? Bo musimy mieć wiedzę, by móc działać racjonalnie. ■

Paul Gauguin – *Skąd przyszliśmy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?*



Ostatnie pożegnanie

PATRYK KOMINEK

Syczeń, było dosyć zimno tego poranka. Żałobnicy wchodzą do kaplicy. Wewnątrz niej dzieje się teraz wielki smutek. Na zewnątrz jakby wszystko było w porządku, ale nie w środku. Tylko niektóre nuty pieśni przebijają się przez mury świętego miejsca i rozchodzą w zimowej scenerii pól uprawnych kostuchy. W środku niewiele cieplej niż na zewnątrz, toteż nawet ksiądz Adam, znany z długich uroczystości, tym razem się pospieszył. Dalsi bliscy odchodzą po cichu, zaraz po wyjściu na dwór. Ci bliżsi zostaną na dłużej, ale też odejdą. Dół już zasypany, kwiaty złożone, prawie wszyscy zniknęli. Chłodna cisza, przerywana śpiewem ptaków i powolnymi oddechami dwóch postaci na ławce, obok grobu. Bracia siedzą i oddychają, co widać po wydobywającej się parze z ust i nosa.

Ludzie mówią: zapatrzony i zamyślony. Tak więc siedzą: zapatrzony i zamyślony.

– Widzisz, Karol? Przywitała jeszcze nowy rok.

– Zbyszek, Zbyszek. Mogła przywitać jeszcze wiele nowych lat. To wciąż był młody wiek.

– Kto wie.

Dalsza cisza i zamyślenie. Słońce jest już trochę dalej niż w zenicie, ale mróz nie odpuszczał.

– Jakie były jej ostatnie słowa? – Karol pocierał ręce. – Słyszałem, że była przy niej w ostatnich chwilach.

– Nie mówiła dużo. Cały czas płakała.

– Za nim?

– Za nim.

– Jak on się nazywał?

– Merdek.

– Merdek, śmieszne imię. – Lekki uśmiech wkraść się na twarz Karola.

– Imię jak imię. Często merdał ogonem, to nazwała go Merdek i tyle – długo żył jak na psa.

– O ludziach tak nie mówią. Żył długo, dożył pięknego wieku, a nie żył długo jak na człowieka.

– Ale człowiek to nie jest pies.

– Prawda.

Zupełnie jakby wywołany do odpowiedzi, w oddali zaszczekał pies. Pewnie jakiś bezdomny. Hiena cementarna. Wiele się nie naje, nieboszczyki są za głęboko zakopane.

– Spójrz! – Obudził się nagle Zbyszek. – Widzisz tę reklamówkę obok kopca?

– Nie. Gdzie? – To pierwsza tak drastyczna zmiana siły nacisku na deski ławki, od kiedy usiadło na niej dwóch braci, wywołana poruszeniem Karola.

– Widzę!

– Przyniesiesz?

– Tak.

Karol wstał i przyniósł reklamówkę wraz z jej zawartością, która okazała się niezwykle ciekawa. Była w niej pełna, litrowa butelka czystej wódki. Nieotwarta. Nie wiadomo, jak się tam znalazła, czy już leżała tam od dawna, czy też ktoś ją podrzucił, fakt jest jednak dokonany, prawdziwa, zakorkowana, litrowa butelka, czystej, nieskazitelnej wódki znajdowała się w reklamówce, a teraz już w rękach braci. Znalezisko lekko poprawiło humor bohaterów, a wydawało się nawet, jakby słupek temperatury lekko unosił się do góry. Bez większej ceremonii, przystąpiono do konsumpcji.

– Opowiesz?

– O końcu?

– Wiesz, że znałem ją tylko w czasach młodości. Później nasze drogi się jakoś rozeszły. Tak naprawdę to ty ją lepiej znasz. Opowiedz, chociaż o tych ostatnich dniach.

– Dobrze – odparł Zbyszek. – Siedem dni, zanim nasza kochana siostra Basia odeszła z tego świata, w słusznym wieku opuścił ją ukochany pies Merdek. Umarł prawdopodobnie ze starości. Wtedy rozpoczęła się jej śmierć. Przez większość życia to był jej najwierniejszy przyjaciel. Wiadomo, odwiedzałem ją, ale nie tak często. Wracając do rzeczy, bardzo mocno przeżyła śmierć swojego ukochanego pupila. Każdy, kto ją wtedy widział, powiedziałby, że przybyło jej ze dwadzieścia lat, w ciągu tych kilku dni. Była zupełnie załamana, całymi dniami leżała w łóżku, przybita. Mówiła tylko o tym biednym psie i śmierci. Jego i swojej. Po prostu umierała, chciała umrzeć, czuła to całym swoim ciałem. Nie jadła wiele. Spisała testament, powiedziała jeszcze kilka słów i odeszła.

– Na pewno nie pamiętasz jej ostatnich słów?

– A czy to takie ważne? Nie pamiętam. Rozpaczałem, nie wiem, co powiedziała już na samym końcu. Mogę powiedzieć, co jest w testamencie, to pewnie interesuje cię bardziej.

– W sumie, nawet o tym nie pomyślałem, ale skoro już zacząłeś ten temat, to mów.

– Nie jest to nic wielkiego, ostrzegam. Na początku, chciała zapisać wszystko na schronisko dla zwierząt, ale szybko podjąłem się interwencji i skończyło się na tym, że powinniśmy się wszystkim podzielić po równo. Choć mówię, wiele tego nie pozostało.

– Weź moje.

– Nie, to twoja część.

– Nie zależy mi na niej.

– OK.

Mijała kolejna godzina, a wraz z nią upływała zawartość znalezionej butelki. Ptaki przestały śpiewać swoje piosenki, a słońce powoli zegnało się z otoczeniem. Zbyszek wziął kolejną łyk, zdając się, jakby chciał coś powiedzieć. Pies zaszczekał dwa razy i dalszą rozmowę kontynuował drugi brat:

– A pamiętasz, jak jeszcze była młoda?

– Pamiętam, tylko jak już opuściła dom rodzinny. W dzieciństwie, czy już trochę starsi, to ty miałeś z nią lepsze stosunki.

– No tak, mieszkałem z nią i z rodzicami, a ty jako najstarszy wyjechałeś za pracą do miasta.

– Nie przesadzaj, stary. Między nami jest tylko trzy lata różnicy a między tobą a Baszą pięć.

– To ona powinna nas zegnać, a nie my ją.

– Karol, proszę cię, przestań mówić o tych smutnych rzeczach, opowiedz lepiej, jak to było wtedy na wsi, jak wszyscy byli zdrowi i młodzi.

– Wiesz, jak wyjechałeś, u nas na wsi się pozmieniał. Ojciec nie posmutniał, że jego syn wyjechał, a wręcz na odwrót. Poczł się dumny, że wychował dorosłego syna, który potrafi poradzić sobie w świecie. Ja wtedy kończyłem technikum, kierunek ten sam co ojciec, stolarstwo. Zawsze fascynowało mnie, jakie piękne rzeczy można wyrabiać w drewnie. Basza też dzieliła tę pasję, jednak z uwagi na jej wiek i płęć ojciec niechętnie widział ją w warsztacie. Nie chciał, żeby zrobiła sobie nic złego. Za to zawsze pamiętał o niej. Nie wiem, czy pamiętasz, ale z resztek, jakie zostały z ro-

bienia mebli, robił takie małe drewniane ozdoby. Jak byliśmy zupełnie mali, to jeszcze razem chodziliśmy na targ je sprzedawać. Kiedyś zrobił ozdobę tak piękną, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem. Podarował ją naszej siostrze, szczęśliwa była niesamowicie. Zawsze się śmiała z tego, że podaruje ją swojemu pierwszemu.

– Temu Piotrkowi z sąsiedniej wsi?

– Nie wiem, pewnie tak, komu by innemu. Choć to nie był szczęśliwy związek.

– To prawda. O tym, że mieszkali obok, dowiedzieli się, gdy już wyjechała do miasta i tam go poznała. Nie byli ze sobą nawet rok. Potem już nigdy nikogo nie miała, tylko ukochanego Merdka.

– Weź już nie gadaj, polej lepiej.

I polał. Słońca już dawno nie było na niebie. W świetle księżycy można było dostrzec, że w butelce zostało może na dwa dobre łyki.

– Ale cudowne były te dni. Razem z Bašką chodziliśmy nad tę rzeczkę, wiesz tam przy lasku, takie małe jezioro, trochę głębiej, otoczone gęstą trzciną, prawdziwie intymne, dziewicze miejsce. Kawalek od nas, ale warto było. Wtedy latem, niejedno zresztą, słońce nigdy nie zachodziło, a szczęśliwe chwile zdawały się nie przemijać. A po drodze na rozdrożu rosła ta stara jabłoń, zawsze zebraliśmy kilka jablek, żeby mieć na potem. Raz tam nas przestraszył zaskroniec, to był ubaw, Basia tak się go bała! I te truskawki, co się kradło z jakiegoś poletka obok. Nigdy nie wiedziałem, do kogo należą. Takie słodkie, takie miękkie, można było je rozgnieść w palcach i smarować ciało jak kremem do opalania. Ach jak to miło się wspomina tamte wspaniałe czasy młodości.

– Wiem o czym mówisz, sam Ci to miejsce przecież pokazałem. I wiele mam z nim wspomnień. Wtedy oczywiście chodziliśmy tam tylko we dwojkę, Basia była jeszcze za mała, rodzice nie pozwalali, a pilnowali jej jak oczka w głowie. Dobrze, że też jej to pokazałeś. To jakby tradycja pokoleniowa. Szkoda, że nie uda się jej już nikomu przekazać...

– Wódka cię nie rozwesela bracie. Choć to prawda, nikt z nas nie miał za wiele szczęścia w tym życiu. Kończąc, później wyjechałem za pracą tak jak ty. Nic nie wyszło z tego stolarstwa, brałem takie prace, jakie były. Miasto okazało się kłębkim złudnych nadziei i rozczarowań. Pozostało karmienie się wspomnieniami utopijnych lat młodości. Nawet latem nie świeci to samo słońce, co świeciło wtedy. To wszystko minęło. To wszystko minęło ale niczego nie żałuję. Kurwa niczego!

– Uspokój się. Nie wydzieraj się, bo ludzie usłyszą. – Karol wpadł w samonakręcającą się rozpacz, Zbyszek musiał go uspokoić. Jak brat brata objął go swoim płaszczem i przytulił. Karol po ataku drgawki i kilku uronionych łzach uspokoił się. Pies za płotem zaszczekał trzy razy.

– Zbyszek choć. Dopijemy to i uciekamy, późno już jak diabli.

– Dobra – odpowiedział Zbyszek, pociągając duży łyk z butelki. Trzymał ją w obydwu dłoniach, później schował pod płaszcz, jakby chciał ją ogrzać.

– Zbyszek co robisz? Dawaj wódkę.

– Ogrzewam ją.

– Co ty pierdolisz? Dobra wódka to zimna wódka. Chcę ostatniego łyka.

– Już, dostaniesz. Ręce mi się trzęsą z zimna. Na pewno ją chcesz? Tobie już może wystarczy...

– Dawaj.

Karol przyłożył butelkę do ust i wypił do dna. Zbyszkowi napłynęły do oczu łzy. Chwycił brata za kołnierz i potrząsnął.

– Karol! Karol! Żyj!

– Żyję! – pijanym głosem odkrzyknął Karol.

– Karol, przepraszam cię. Nie mogłem inaczej. Ona mnie o to prosiła. Wybacz mi!

– Co? – jego głos załamywał się coraz bardziej.

Słońce kolejny dzień z rzędu podniosło się na nieboskłon i oświeciło boży świat. Ksiądz Adam po porannej modlitwie i śniadaniu udał się spełnić swoje obowiązki. Z parafii na cmentarz nie było daleko, dlatego zawsze chodził pieszo. Dziś nawet jakiś uroczy kundelek przypałał mu się do nogi i biegł razem z nim. Ksiądz otworzył skrzydła cmentarza i codziennym zwyczajem przeszedł się do kaplicy. Nim tam dotarł, zobaczył coś, co go zamurowało. Przed kaplicą krzyżem leżał, obrócony twarzą do śniegu przed budynkiem człowiek. Drżąc, podbiegł do niego, wołał, wołał i wołał, poruszał ciałem. Wołanie zamieniło się w krzyk, gdy przy jednym z grobów, zobaczył drugiego człowieka leżącego tak samo sztywno.

– Zegnaje ksiądz, że prawie zaraz po wejściu na cmentarz, zobaczył pan dwa trupy: jeden przy kaplicy, a drugi przy świeżym grobie?

– Tak, to tego samego dnia. Pogrzeb. Był pogrzeb. Tak, dwa. Ja, ja, ja myślałem, że żyją. Ja nie wiedziałem.

– Proszę się uspokoić, wszystko będzie dobrze – sierżant Mateusz, podszedł do księdza i położył mu rękę na ramieniu – nie podejrzewamy księdza. Zrobiliśmy sekcję zwłok, wiemy wszystko. Jeden z nich zmarł z zimna, drugi natomiast został otruty przez tego pierwszego. Znaleźliśmy przy nim resztki trucizny, jak również jej ślady na rękach. Chcemy porozmawiać z księdzem, bo ksiądz był tam pierwszy.

– Dobrze. Tak więc on, on leżał krzyżem. Nie tak, że padł. Krzyżem, tak jak leżą pokutnicy.

– Rozumiemy. Powiedział ksiądz, że przy każdym z ciał znalazł listy.

– Tak. Przeczytałem je.

– To też wiemy, wyszło z odcisków palców, jak i już to ksiądz mówił. Jeden list należał do jednego z braci, a drugi do drugiego. Wygląda na to, jakby jeden z tych listów był pisany w dniu, kiedy popełniono zbrodnię. My też je czytaliśmy i sytuacja jest dla nas całkowicie jasna, znamy motywację sprawcy, poznaliśmy też wnętrze ofiary.

– A ja panie sierżancie, jak mogę przerwać, nie rozumiem tego. Nie potrafię tego zrozumieć.

– Proszę kontynuować. Po to też między innymi księdza wezwaliśmy, zdajemy sobie sprawę, że może ksiądz inaczej na to patrzeć.

– Jak bardzo ciężko, ale próbuję, próbuję zrozumieć tego pierwszego. Jest czyn, ale jest jakaś skrucha, nagła, tyle emocji w człowieku na raz. Ten list to jakby pożegnanie ze wszystkim, prośba o wybaczenie, o zrozumienie. Ale to człowiek okropny. Jak można było coś takiego zrobić. Nie musiał. Już, muszę odetchnąć.

– Może wody?

– Nie trzeba. Ten drugi. Ten list wyglądał, jakby nigdy nie miał ujrzeć światła dziennego, lub miał zostać wrzucony do trumny. Ten czyn, ten okropny czyn. Jak można było coś takiego zrobić. I... i... i nic. Tutaj nic. Brak jakiegokolwiek skruchy. Boję się, co jeszcze w badaniu laboratoryjnym wyjdzie na tym kawałku papieru. Jak można było? To wszystko w nim, tyle lat, tyle lat i to wszystko w nim i nic. Ojciec! Gdzie jesteś w takich momentach? – Ksiądz Adam wstał gwałtownie od stołu.

– Proszę księdza, proszę się uspokoić.

– Trzyście lat, trzyście lat, tylko trzyście lat...

Ksiądz Adam jak człowiek porażony jakąś traumą z pustym wzrokiem oddalał się w kierunku drzwi, coraz ciszej wypowiadając pod nosem.

– Trzyście lat, trzyście lat, trzyście dni pokuty na trzyście lat. Muszę pokutować, tyle dni na tyle lat, albo i tyle lat, trzyście lat...

– Proszę księdza, proszę zostać, chcę zapytać się jeszcze o ten kawałek...

– Powiem sierżantowi tylko jedno – normalnym głosem powiedział ksiądz Adam, wychodząc. – Dusza tych ludzi nie zostanie zbawiona.

Ferdynand Goetel i jego „powieść o węglu”

JACEK OKOŃ

Ferdynand Goetel (1890–1960) był przed wojną uznawany za koryfeusza polskiego życia literackiego. Piastował wówczas funkcje i godności prezesa Związku Zawodowego Literatów Polskich, prezesa polskiego PEN-Clubu, wszedł do Polskiej Akademii Literatury. W sferze jego bliskich znajomości pozostawał np. John Galsworthy i Gilbert Keith Chesterton. Zanim Polska zdążyła odzyskać niepodległość w 1918 roku, jego życie było wypełnione wieloma dramatycznymi wydarzeniami: internowaniem i pobytem w Turkiestanie, wcieleniem do Armii Czerwonej, dezercją i ucieczką – przez Iran i Indie – do Anglii, skąd powrócił do Polski. Jego pierwszą pracą etatową było stanowisko sekretarza na Akademii Górniczej w Krakowie. Tam wszedł w środowisko kadr zarządzających kopalniami państwowymi w polskiej części Śląska i w Zagłębiu, ludzie górnictwa, dyrektorów, inżynierów, przemysłowców, „którzy opiekowali się Akademią”. Przodkowie pisarza (i jego brata Walegogo, który został później dziekanem wydziału górniczego i rektorem AGH), byli górnikami niemieckimi, którzy przywędrowali do Polski i znaleźli zatrudnienie w kopalniach soli w Wieliczce i Bochni (dopiero ich ojciec nieco „spolszczył” nazwisko z Göttel na Goetel, podobno w proteście przeciw *Kulturkampfi*).

W okresie pracy na AGH Ferdynand Goetel nabył wiedzę wystarczającą do napisania powieści z fabułą osadzoną w środowisku górniczym. Pomysł zrodził się w roku 1923. Tak powstała powieść *Anakonda*, o podtytuł *Powieść o węglu*.

W roku 1934 w „Gazecie Polskiej”, gdzie drukował reportaże ze Śląska, ujawnił genezę książki: *pomysł powstał już dziesięć lat temu, gdy – pracując w jednej z instytucji naukowych, zbliżonych do górnictwa – zetknął się po raz pierwszy z ziemią «czarnych diamentów», czarnych domostw, czarnej pracy i czarnych pieniędzy. Powieść nie dochodziła jednak do skutku przez długie lata, pomimo iż bardzo leżała mi na sercu, a jeśli chodzi o problem, konstrukcję i intrygę, była przemyślana niemal do końca. Dlaczego się tak stało, trudno mi z całą ścisłością odpowiedzieć. Swojego czasu mówiłem sobie, że nie znam dostatecznie terenu i mam zbyt mały zakres fachowej wie-*

dzy i doświadczenia, aby rozpocząć tak szczególne dzieło. Skądinąd jednak wiedziałem, że zdobycie tej wiedzy nie jest zadaniem zbyt trudnym, a bystre oko i trzeźwa głowa znaczą u pisarza więcej niż studium i lektura.

Decyzja poprzedzona została spotkaniami z Wojciechem Korfantym, który także nakłaniał pisarza do podjęcia tematyki śląskiej. Przy okazji tych spotkań Goetel zwiedził kopalnie Flora i Grodziec w Zagłębiu Dąbrowskim.

Taki był początek tej przygody, która – jak się okazało – miała w życiu pisarza ciągnąć się aż po kres ziemskiej wędrówki i zakończyć się dopiero po jego śmierci. Od 1934 roku był na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim wielokrotnie, poszukując tu i tam wiedzy, która posłuży jako tworzywo. Na rok przed śmiercią powrócił do tych lat, wspominając w wywiadzie prasowym: *Pojechałem wtedy na kopalnię Giesche, zahaczyłem o Interessen-Gemeinschaft Flick i spędziłem dłuższy okres w kopalni Czeladź w Zagłębiu. Przystąpiłem do pisania. Szukając tytułu przejrzałem w konsulacie Stanów Zjednoczonych w Warszawie spis głównych holdingów amerykańskich. Spodobała mi się nazwa ‘Anakonda’. Nie wiedział przy tym, że holding o takiej nazwie, właśnie zakupił kopalnię Giesche, wchodząc na rynek polski. Spowodowało to różne perturbacje prawne, które wszakże nie miały dla Goetla złych konsekwencji.*

Powieść została ukończona w roku 1938. Jeszcze przed rozpoczęciem druku odcinkowego miała miejsce emisja adaptacji radiowej (sluchowiska) z udziałem Stefana Jaracza, Kazimierza Junoszy-Stępowskiego i Aleksandra Zelwerowicza. Druk odcinkowy osiągnął dopiero półmetek, gdy Hitler napadł na Polskę. W czasie wojny zaginęły wszystkie kopie maszynopisowe.

Niektóre spośród licznych trudności, na jakie Ferdynand Goetel w życiu napotykał, spowodowane były kontrowersyjnymi lub ryzykownymi wyborami życiowymi, czynami moralnie lub politycznie dwuznacznymi. Na początku lat trzydziestych w jego publicystyce pojawiły się poglądy i koncepcje polityczne, określane jako faszystowskie lub wręcz faszystowskie. Teksty te zostały przez niego zebrane i wydane w 1938 roku w książce *Pod znakiem faszystów*.

Czesław Miłosz wspomina o tym w *Roku myśliwego*: „[Goetel] tuż przed



Ferdynand Goetel (z prawej) jako prezes polskiego PEN Clubu wita na dworcu w Warszawie Johna Galsworthyeo, 1930

wojną zaczął wychwalać system korporacyjny, przyjęty przez faszystowskie Włochy”. Kadry dla eksperymentu ustrojowego widział Goetel w obozie legionowym, sanacyjnym. Marek Klecel pisze, że z „tez [tej książki] pisarz sam się szybko wycofał jeszcze przed wojną (...) pod wpływem wydarzeń w III Rzeszy, *Anschlussu* Austrii, *Kristallnacht*, uznając ją za swoją największą życiową pomyłkę”. W czasie wojny prowadził garkuchnię dla literatów, wydawał podziemne pismo „Nurt”, odmówił podpisania volkslisty. Oceniając wojenny okres działalności Goetla, Jerzy Giedroyc napisał, że tenże „zachowywał się w czasie okupacji znakomicie”. Wielkie kontrowersje wzbudził jednak już wówczas (tj. w czasie wojny) fakt, że na prośbę okupantów zgodził się na udział w komisji PCK dla zbadania grobów oficerów polskich, odkrytych w miejscowości Katyń koło Smoleńska i publiczne świadczenie, poparte znalezionymi tam dowodami, że zbrodni dokonali Rosjanie.

Tuż po wojnie, jako niewygodny świadek historii, ścigany był listem gończym przez NKWD i UB. Prokuratura przesłuchiwała w jego sprawie kilkudziesięciu pisarzy, m.in. Marię Dąbrowską, Zofię Nałkowską, Jerzego Andrzejewskiego, Jana Parandowskiego, Mieczysława Jastruna, Jarosława Iwaszkiewicza, Czesława Miłosza, Juliana Przybosa, Stefana Kisielewskiego, Juliana Krzyżanowskiego, Kazimierza Wykę. Przesłuchiwani wyrażali się o koledze pozytywnie, próbując zachować osobistą przyzwoitość, bez narażenia się przy tym na kłopoty. Marek Radziwon, omawiając stosunek Jarosława Iwaszkiewicza do tej sprawy i przytaczając opinie niektórych twórców, zakonkludował: „Wszyscy pisarze zeznający w sprawie, bez względu na przedwojenne sympatie polityczne, partyjni czy bezpartyjni, starali się Goetla bronić”.

Jako człowiek tropiony i zniechęcony przez nowe władze był Goetel zmuszony ukrywać się. Spędził rok w klasztorze karmelitów bosych w Krakowie, unikając aresztowania, mimo dokonanego tam przez UB przeszukania. Wkrótce potem opuścił potajemnie kraj, posłużony się fałszywym paszportem wydanym na nazwisko obywatela holenderskiego Jana Mentena. Trafił do Włoch, do armii Andersa, gdzie został oczyszczony z zarzutu kolaboracji z wrogiem.

Zarzuty (przedwojennego faszystowania i wojennej kolaboracji) powracały czasem przy różnych okazjach emigracyjnych, rzucając z pewnością cień na bieżącą wiarygodność pisarza. Były to wszakże raczej indywidualne niechęci, nie opinia środowiska. Dziś w dyskursie naukowym na temat Goetla zwraca się uwagę na fakt, że tezy nieszczęsnej książki gloryfikowały raczej przedwojenny sanacyjny autorytaryzm, a nie realny faszyzm, i nie miały wymiaru politycznego, a raczej stawały diagnozę zachodzących wtedy w Polsce zjawisk społecznych (prof. Rafał Habielski).

Po roku 1956 nie udało się przywrócić jego twórczości czytelnikom krajowym, czego przyczyną jest być może fakt, że Antoni Słonimski, który powrócił z emigracji i zajął wpływowe stanowisko przewodniczącego Związku Literatów Polskich, dostosował się do obowiązującej wtedy w PRL negatywnej narracji, nie podejmując prób rehabilitacji kolegi po piórze. Pozycji organizacyjnej i towarzyskiej sprzed wojny nie udało się już Goetlowi odzyskać, choć uczestniczył w spotkaniach emigracji polskiej i środowiska pisarzy na obczyźnie, wydawał książki, publikował artykuły, wygłaszał pogadanki, piastował kilka funkcji, m.in. wybrano go prezesem Związku Podhalan w Wielkiej Brytanii. Prof. Habielski twierdzi, że w środowisku emigracyjnym Goetel „nie był pisarzem szczególnie wykluczonym”. Towarzyszyła mu tam raczej dobra sława. Wiesław Wohnout wspominał w 1976 roku na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”: „My tutaj zachowaliśmy o Goetlu najlepszą pamięć, jako o świętym, prawdomównym pisarzu, człowieku nieposzlakowanie uczciwym”.

W Anglii mozolnie Goetel odtwarzał swą powieść górniczą, posiłkując się ocalałymi odcinkami gazetowymi i własną pamięcią. Gdy praca była ukończona, rozpoczął się w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” kolejny już jej druk odcinkowy. Czytelnicy pytali, kiedy wydana zostanie w zwykłej formie książkowej. W odpowiedzi pisarz zamieścił w tej samej gazecie inserat, ogłaszając początek subskrypcji i prosząc o nadsyłanie pieniędzy na druk:

Zwracam się przeto z apelem o do-pomożenie mi w tej sprawie, tym bardziej dla mnie istotnej, że wydanie książki umożliwi mi dalszą pracę literacką. Nie uciekałbym się do tego apelu, gdyby nie cały mój dorobek pisarski i przekonanie, że pisząc nadal jestem Wam potrzebny.

Książka ukazała się dopiero w 1964 roku, w cztery lata po śmierci pisarza. Jest to właściwie powieść o dyrektorze kopalni, jego problemach i pomysłach. Mentalnie fabuła przynależy do literatury dwudziestolecia międzywojennego. Gdy bowiem książka ukazała się drukiem w Londynie, zawarta w niej problematyka nie przystawała zupełnie do rzeczywistości krajowej, gdzie górnictwo stanowiło fundament socjalizmu, a ukazana w niej rzeczywistość już nie istniała. Był to w kraju czas powieści Gustawa Morcinka i czas zarządzania górnictwem przez Jana Mitręę.

Powieść *Anakonda* nie weszła wtedy w obręb świadomości społeczeństwa polskiego, bowiem na autorze ciążył tzw. zapis cenzorski, czyli nie tylko nie wolno było wydawać w Polsce jego książek, ale nawet nie należało wymieniać w prasie jego nazwiska. Została wydana w Polsce dopiero w roku 2014, czyli pół wieku po wydaniu londyńskim.

Z czasem, na tle dziejących się w przemyśle polskim przekształceń własnościowych, w tym także zmian w górnictwie, pomysły Goetla zawarte w tej książce mogą stanowić co najmniej przedmiot poważnego dyskursu ekonomiczno-politycznego. Główny bohater książki, dyrektor kopalni „Józef” w Sosnowcu, jest tam *porte-parole* Goetla. Wobec przejmowania przemysłu polskiego przez obce koncerny, pisze memoriał do władz, sugerując swe oryginalne propozycje innych rozwiązań. Czytamy więc:

Doświadczenia moje poczynione w Zagłębiu na przestrzeni kilkudziesięciu lat, wsparte doświadczeniem mojego ojca, prowadzą do takiej oto prawdy: rozpiętość nożyc obejmujących z jednej strony interesy tych, którzy dobywają węgiel i uważają się za jego przyrodzonych właścicieli, a z drugiej tych, którzy posiadli tytuł własności z przypadku, jest nazbyt już wielka. Gorączka, z jaką akcje naszych przedsiębiorstw przechodzą w ręce coraz to innych spekulantów spowodowana jest ucieczką przed odpowiedzialnością za oszukańczość cywilizacji, która humanistyczne ideały postępu przemieniła na bezduszne ułatwienia mechanizmu życia. Jesteśmy narodem młodym, nie mamy drapieżnej przebiegłości wielkich partnerów i w grze z nimi zawsze coś musimy stracić ze swego stanu posiadania. Nie wiem, czy sami jesteśmy już dość przygotowani do gromad-

go prowadzenia gospodarki narodowej w należytym ładzie. Konieczna byłaby tu odrodzona wiara w człowieka i potrzeby wyższego rzędu. Wydaje mi się jednak, że pewne uzdrowienie stosunków panujących dziś w kopalniach Zagłębia i związanych z nimi przemysłach nastąpić może drogą stopniowego społecznego własności.

Wielu zapewne powie, że nic tu dodać, nic ująć. Wielu znacznie się przynajmniej zastanawiać. Nikt nie odejdzie od tej lektury z uczuciem obojętności. Los polskiego górnictwa leżał Ferdynandowi Goetlowi na sercu. Odtwarzając mozolnie książkę po wojnie, powracał do swych własnych marzeń o „szklanych domach”, do problemów dawnych, jak gdyby nieświadom mijającego czasu. Inne miał nadzieje, pisząc ją przed wojną.

Goetel już przed wojną odżegnywał się stanowczo od jakichkolwiek konksji z innymi autorami podejmującymi temat górniczy, więc nie tu należało poszukiwać inspiracji: *Książki Morcinka, a potem Kadena rozgniewały mnie... Prześlizgiwały się one obok głównej kwestii, tzn. »pracy od podstaw«*. A trzeba wiedzieć, że wśród tych podobnych tematycznie książek, których wydanie poprzedziło nieznacznie pracę nad powieścią „Anakonda” i które „rozniewały go”, były już tak ważne pozycje jak Juliusza Kadena-Bandrowskiego „Czarne skrzydła” (1925) czy nagrodzona dwutomowa powieść Gustawa Morcinka „Wyrąbany chodnik” (1931–32) i popularna do dziś nowela „Lysek z pokładu Idy” (1933).

Goetel widział podobne problemy inaczej. Okoliczności życia i dramatyczne losy pisarza nie pozwoliły tej książce ukazać się wtedy, gdy naprawdę była potrzebna i mogła jeszcze wiele w górnictwie zmienić, poprawić. Tuż przed śmiercią, zakończywszy wreszcie proces odtwórczy, zwierzył się w wywiadzie: *Ta powieść to była zmora mojego życia. Nazwałem ją »złą powieścią«*. Zmarł w 1960 roku w trakcie prac nad zgromadzeniem środków finansowych dla jej wydania, chory na jaskrę, zażywający biedy, bez kontaktu z Krajem.

W wolnej Polsce przywrócono mu pośmiertnie wszystkie prawa cywilne i obywatelskie. Szczątki sprowadzono z Londynu do Polski w 2003 roku, czyli po czterdziestu trzech latach od śmierci, i pochowano z honorami (jako b. prezesa PEN-Clubu) na cmentarzu na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem. Mowę pogrzebową wygłosił urzędujący wówczas prezes polskiego PEN-Clubu, Władysław Bartoszewski, kończąc ją znamienymi słowami: „...żegnaj naszego Prezesa w latach 1927–1933, o którego trudnych losach wiedzieliśmy i pamiętali. I pamiętać będziemy”.

Ἀπόκρυφος Γέροντας

Δίλημμα

Postbizantyjskie listy amforowe
z zachowaniem oryginalnej obwiedni przedłożył

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Ἀξίωμα

Metodo, Panno Młoda,
nie buduj za wysoko
nadzieją miłości wzajemnej,
bo nie wiesz nic o niej pewnego.
Któryż śmiertelny był tam, kędy przeszła?
Któż posłyszysz, gdy wróci jej echo,
by znakiem zwodniczym,
przepleść
górze

dołem?
Widzisz ją, gdy o świecie
bezglóśnie zanika na fali odpływu,
wypełniwszy wprzódy amforę pragnieniem...
Walcz, by mieć zawsze kogoś do kochania
i nie na wzajemnej polegać ułudzie,
bo nie masz, krom śmierci, pewnika,
co mógłby podźwignąć nadzieję.
Szpakom wybacząj i ludziom,
by w mrokach nie wygasła
górna miłość: Twoja!
Tylko ona się liczy,
tylko o niej wiesz
na pewno
- jeśli jest -
że jest.

Κλεψύδρα

Te listy przestrożne zrozumiesz za późno.
Zawczoraj, gdy miastu mogły nieść ratunek,
widziałeś pergamin, nie dostrzegłeś liter.
A wtedy została jeszcze odrobina czasu,
by ściany naszego uchronić namiotu.
Tamci mieli pół dnia pieszej drogi,
zbliżali się nieśpiesznie...
Gdy byli już blisko,
policzyłem siły.
Naszych było
więcej!
Cóż
z
tego,
że obrońcy
ciężkie mieli zbroje,
a tamci puste nieśli jeno kosze?
Cóż warta odwaga, coż honor rycerza,
gdy zdrada się czai u wezglłowia wodza.
Odłóżcie tarcze i miecze, oni są bez broni!
Najemni heroldowie ogłoszą, co rozkażesz,
Przekupne wyroczenie wieszczą eudajmonię.
Oni biegli nocą. Rozzuli rzemienie sandałów.
Oni nocą nadbiegli. Rozpletli kosze na sznury.
Obrońcom zabrakło ledwie jednego oddechu.
Z dumnego włodarstwa ostała się klepsydra.

Ακαλοκάγαθία

Gdy Metoda Olimpij
pomoże przetrwać godziny rozpaczny,
pozyska jej wdzięczność dozgonną.

W pisanym przyjaźnią wachlarzu
zdobędzie miejsce na zawsze.

Sama też to zapamięta,
że już nigdy nie zdoła
wsparcia Oli odmówić,
bo z tej listy skreślenie
wykreśli ją
z każdej.

Ale

- gdy Hektora Metoda
w ciężkim podniesie zwątpieniu
- niech nigdy nie przypomina mu o tym
i sama niechaj zapomni. Na zawsze.

Łacniej się wtedy uchroni przed
listopadowym chłodem
ciężko zranionej
męskości.

Bo
wielki bohater
i nędzny słabeusz
w tym jednym są równi:
nic w proch tak ich nie zetrze,
nic tak nie pognebi, jak fałszywe dobro
i niedobra prawda, i prawdziwe... piękno.

Κλέφτης

Szpaki - złodzieje, co kradną czereśnie!

Król kazał nauczyć ptaszyska moresu.

Trudno je było przegonić z ogrodów,
łatwo - wyrznąć drzewa owocowe.

Następnego roku szpaki poleciały
do innego królestwa.

A poddani nie mieli czereśni ani nawet pestek.

Ω

Przyjdzie nam kropkę
postawić ostatnią,
nie wiedząc,
co w życiu
omegą było,
a co omikronem.
Nie pojęliśmy w porę,
że wilk jest ledwie alfą,
a człowiek omegą
wilkości.

Τελε.ία

Nie
martw.

Nie dzieje nic.
Na kropce kula świat.
Na hardych głów
spiętrzone
równiny
zwali
cień.

Nie bój,
nie pada już.

To tylko potop.
Czterdziesty mija dzień.
Jak mamy teraz osłaniać
nasze nici złote przed
Nieodwracalną

Átropos?

Ánthrōpos?

Bo w ostatecznym rachunku
- jako głoszą kostery -
liczy tylko
to

•

Ciało wewnątrz – i zewnętrznie (1)

RYSZARD TWARDOŃ

Przy braku jednolitej koncepcji życia i istnienia, wśród wielu różnorodnych stylów myślenia i działania, sprawa ciała wydaje się być łatwiejsza w pojęciowym ujęciu niż opis Ja. Zakłada się na ogół, że rozstrzygającą wiedzę o sobie cielesnym człowiek osiąga poprzez ciało zewnętrzne, dostępne wiedzy przedmiotowej i drugiej osobie. W drugim przypadku dostęp do ciała uzyskujemy, by tak rzec, „od środka”, poprzez doświadczenie wewnętrzne, trudniejsze w zamianie na przedmiot poznania. Jeżeli chodzi o moje ciało, uchwytne od wewnątrz w formie przeżyć i doznań, to przekaz ten z reguły oddalony jest od tego, co dostarcza na temat ciała wiedza przedmiotowa. Prawda ciała subiektywnego rodzi się z odczuć, obserwacji i indywidualnego doświadczenia, w nim znajdując źródło informacji o sobie samej. Nie będąc jeszcze przedstawione, a jedynie odczuwane i przeżywane odśrodkowo, w formie, by użyć sformułowania Gabriela Marcela, „nieinstrumentalnej łączności”¹, cielesny byt wyłania się z samego centrum „ucieleśnionej ludzkiej podmiotowości” (określenie E. Levinasa), tej „ucieleśnionej podmiotowości”, która przejawiając i wyrażając, nie uruchamia jeszcze „sobą” podziału na „Ja” i „nie-Ja”. Można rzec, że ciało jako moje zachowuje dopóty swój podmiotowy sens i nieredukowalną do przedmiotu wartość, dopóki pozostaje bytem niezapośredniczonym i „beziemnym”, pozbawionym pojęciowego i sztywnego gorsetu identyfikujących – pozytywnych czy też pejoratywnych – obiegowych nazw.

Ciało nauki z kolei jest ciałem bezosobowym czy, może lepiej, ponadosobowym. Będąc prawdą ciała „dla wielu”, jest relacją dyskursu „ucieleśnianiającego” ideę ciała jako takiego – sprawozdaniem o „jednym z wielu” istniejących w przestrzenno-czasowym uniwersum historycznych ciał, i dlatego składa się głównie z tego, co poprzez empiryczny i teoretyczny opis stało się powszechną własnością ogółu wszystkich, kiedykolwiek istniejących wcielonych istot. Unosząc się „ponad teraźniejszością”, prawda nauki jest zlepkiem wielu uniwersalnych, powtarzalnych przekonań

biologicznych, fizjologicznych i antropologicznych, dostosowanych do schematu ogólnego i nieprzemijającego wzorca funkcjonowania bytów korporalnych ożywionej przyrody. Drogi postępu wiedzy o ciele „ponadosobowym” i „ponadczasowym” wiodą w ustalonym przez naukowy dyskurs kierunku, jednak bez określonego punktu końcowego. Choć droga ta nie ma kresu, to nie ulega zmianie obietnica prawdy pełniejszej i bardziej adekwatnej wiedzy o ciele².

Uzasadnione jest tutaj wprowadzenie pojęcia ciała-podmiotu, w odróżnieniu od ciała-przedmiotu. Nadwyżka, jaką zawiera indywidualne ciało w stosunku do teorii i wiedzy ukazującej ciało ogólne, pokazuje różnicę między „żywym”, upodmiotowionym i doznającym siebie ciałem a, jeśli tak można powiedzieć, ciałem uchwyconym i ustatystycznionym w określeniach i terminach nauki, więc w pewnym sensie „martwym”; między prawdą ciała zamkniętą w subiektywności Ja – sprawozdaniem z „tu i teraz” samouzewnętrzniającego się ucieleśnionego bytu – a prawdą ukonstytuowaną w systemie obiektywizujących relacji, którą pojmuje inteligencja, ustanawia język i przekazuje wiedza i kultura. Tym samym na przeciwko wcielonego bytu, którym my jesteśmy, wewnętrzności prześwitującej z żywej, odradzającej się wciąż na nowo mowy zachowań, wrażeń i odczuć, wychodzi każdorazowo „ciało czyste” – produkt ponawianego wciąż odczytywania przez myśl ukazujących się „wszędzie i nigdzie” korporalnych bytów ożywionej przyrody, które kreślą ciąg nieskończonych somatycznych przekształceń, będących krótkim podsumowaniem czasu gatunkowego, w których to przekształceniach uczestniczyli przodkowie tych istot: organicznych wcieleń, w łonie których mógł się pojawić i rozwinąć w przeszłości późniejszy cud istnienia: świadomość.

*

Pozostawmy na boku na razie temat ciała „obiektywnego”, opisywanego wielokrotnie przez różne dyscypliny filozoficzne, antropologiczne, socjologiczne, medyczne czy popularnonaukowe. Wrócimy do niego celem pod-

sumowania naszych rozważań pod koniec tekstu. Chciałbym dalej przyjrzeć się subiektywnemu ciału i zapytać: Na ile pojmujemy własny kostno-mięsno-neuralny byt? Na ile my sami umiemy w codziennych sytuacjach przekuć odczucia i emocje doświadczane w ciele w sensownie obrazy i intencje? Mówiąc najprościej: Na ile rozumiemy własne cielesne bycie? Dlaczego to, co dzieje się pod jego „powierzchnią”, jest często tak trudne do identyfikacji i precyzyjnego nazwania? A że jest niejasne i nie poddaje się łatwemu wyrażaniu, tego każdy z nas niejednokrotnie – jako jego „mieszkaniec” poszukujący lokalizacji i przyczyny zaburzeń w momencie przeszywającego bólu czy dysfunkcji – z pewnością doświadczył. Często drobna konfrontacja ze „zdysfunkcjonalizowanym” ciałem wystarczy, aby uprzytomnić sobie, jak dalece ulegamy iluzji idei obiektywności i pozorom uświadomienia sobie wewnętrznej cielesności. Wielce przeceniamy możliwość przedmiotowej konkretyzacji i nazywania słowem tego, co odczuwamy w sobie.

Bo oto kciuk lewej ręki zaczyna drżeć. Ból w brzuchu. Ból dobiegł z okolic żołądka czy nerek? Dopadł mnie z boku czy – zastanawiam się – tyłu? A może „przyszedł” z nadbrzusza czy też poniżej i bliżej dolnej części kręgosłupa? Piersiowego czy lędźwiowego...? Nieoczekiwany paraliż dolnej wargi i ułkucia zapierające dech w piersiach. W skroniach pulsująca krew powiększyła żyły. Na policzku pojawił się czerwony liszaj, który w ciągu kilku godzin rozlał się od czoła różowym kolorem, znajdując ujście w małżowinie ucha. Nawiedzające mnie bóle „wędrują” od barku albo łokcia w dół, w stronę lewej nogi. W międzyczasie „somatyczne przykrości” narastające w okolicach pępka przeszły w stronę wyrostka, a może... pęcherza? Przed zaśnięciem wystąpiło wdęcie żołądka i nieoczekiwane, irytujące swędzenie w palcach u nóg. Na dodatek rwanie w poduszkowej części stopy i ostre pieczenie w okolicach odbytu. Poruszony tą budzącą lęk egzystencjalną sytuacją, pytam sam siebie:

Co to wszystko znaczy i jaka jest tego przyczyna? O co w tym wszech-

ogarniającym i przenikającym mnie cielesnym wszystkim chodzi? Czego chce, do cholery, to pulsujące, piekące, uciskające, bulgoczące, gorączkujące, wyrzuszające się i swędzące czy palące, rwące czy też „kłujące” ciało? Dlaczego krążenie krwi w głowie przechodzi z cichego w głośne szmery i trwożliwe morskie poszumy? Dlaczego boli lewa ręka, a nie prawa, i dlaczego kłuje, a nie szarpie? Dlaczego wczoraj atakowało z taką agresywnością, a dzisiaj jest spokojne, ciche – jak gdyby go nie było. A może te kłucia sięgające do „bytowego imentu” i akustyczne objawy mają bardziej złowieszczy i skryty charakter i cel...? Być może te podzielone na osobne symptomy i dziejące się z różną intensywnością w czasie wewnętrzne wydarzenia, sygnalizują nadchodzący zawał serca...? (Przedstawiłem najlepiej jak umiałem swoje problemy zdrowotne ortopedzie, reumatologowi, dermatologowi, proktologowi i kardiologowi. Językowe egzorcyzmy medyków uczyniły moje cielesne niedomagania mniej dolegliwymi, gdyż, jak się mówi: dolegliwości ciała odpowiednio nazwane zdają się być już w połowie wylezione. Popadając jednak z kolejnymi wizytami w osłabiające i demoralizujące powątpiewanie co do właściwej oceny i kontroli podskórnych zjawisk, rozczarowany kolejną lekarską diagnozą i przepisany mi środkami, szukam gorączkowo nowego medyka i lepszych, skuteczniejszych lekarstw i porad. Ktoś doradza mi znanego specjalistę i jego zalecenia. Ktoś inny składa wielokrot-

ne przysięgi na swojego medycznego guru, chiropraktyka, który wyleczył go jak nikt inny wcześniej z chronicznych dolegliwości niekonwencjonalnymi zabiegami i zalecaniami. Po jakimś czasie specjaliści i ich diagnozy oraz zachwalane przez nich rady i środki, tracą uspokajająco-wyzwalającą psychiczną moc i chemiczną uzdrawiającą niezawodność).

W takich opisanych powyżej „cielesnych przypadkach”, w podobnych momentach, w alarmujących uwagę chwilach bólu i cierpienia wyłania się z niepamięci nasze zapomniane cielesne bycie. Nieprzebrana kawałkade okraszonych aurą naukowoci, uspokajających medycznych orzeczeń o naszym wewnątrzcielesnym – po jednej stronie, po drugiej – duszące oddech ponure chmury domysłów i podejrzeń w stosunku do niego – obcy codziennej myśli świat. Prowokowany doznaniem porządek orzecznicy trzusi się, aby owym jeszcze nienazwanym, hałaśliwym, czyhającym pod skórą, trwożliwym zjawem bez twarzy przydać nazwę i odebrać groźbę niepojętości. Aby nadać imię niepokojącym żywiołom i podporządkować własnemu systemowi zrozumiałości i uspokajającej aksjologii. Myśl porywana na morzu cielesnego niepokoju to w jedną, to w drugą stronę, kieruje niecierpliwie ster ku najbliższemu zaspokajającym potrzebę nadziei i bezpieczeństwa brzegom tradycyjnych domysłów i ogólnodostępnych cielesnych wierzeń, osiadając „na najlepszej wyspie wiary, jaką udało się znaleźć”³.

*
Co w istocie z tego wynika? Sytuację tę przedstawiłem w specyficzny, osobisty sposób, ponieważ z jednej strony chciałem przypomnieć fakt, że z istot żywych tylko my jesteśmy świadomi własnej cielesności. Tylko my potrafimy nadać znaczenie wewnętrznym zjawiskom i bodźcom. Docierając do umysłu mową nerządów i procesów tylko człowiek może opisać, próbować zrozumieć i wykorzystać w celu poprawienia zdrowia i nastroju. Z drugiej strony – chciałem, byśmy zadali sobie pytanie, na ile my sami potrafimy wewnętrzne ciało określić i rozjaśnić znaczeniem. Ponieważ niemal wszystkie cielesne zdarzenia i zjawiska, poza nielicznymi, takimi jak puls czy bicie serca, dzieją się poza naszą świadomością, konfrontowani nagle z biologiczną rzeczywistością mało z tego, co się w nas dzieje, rozumiemy. O tym, że naszego żywego ciała nie można zobaczyć, tak jak można spostrzec leżącą na stole książkę, że nie można go podzielić na widzialne i zrozumiałe jakości, formy i barwy, tak jak to czynimy, analizując zewnętrzny świat – nie trzeba przypominać. Śmiem twierdzić, że na ogół nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak mnóstwo zdarzeń i czynności, trwałych i chwilowych, będących poza wpływem świadomej woli, rodzi się i zamiera w życiu naszego ciała. Jak wiele dyskretnych, pobudzających nasz umysł, a częściej niepobudzających go, replik i interakcji dokonuje się bezszelestnie w każdej sekundzie i minucie w wielokomór-



kowym oceanie? A w grę wchodzi zachodzące różnorodne molekularne, komórkowe, neuronalne i metaboliczne zdarzenia i pobudzenia. Na całe szczęście wszystkie dziejące się w ciele procesy zachodzą bezgłośnie, inaczej zgiełk produktywnej gorączkowej aktywności liczonych w biliony komórkowych fabryk byłby nie do zniesienia dla naszego ucha.

Gdyby można było jednak usłyszeć ową kakofonię biliona koincydencyjnych interakcji i wysyłanych sygnałów, zarządzeń, poleceń oraz próśb przekazywanych od i do mózgu neuronkanałami w stronę bliskich i najdalej położonych organów, tkanek i zapodziałych na krańcach somatycznego kosmosu komórek? Gdyby można było wzmocnić do słyszalności te cichuteńkie, intensywne i szybkie rozdrabnianie i rozkładanie, transportowanie i przemienianie, syntetyzowanie i wydalanie materii, to „wyzwalanie” z rozmacie powiązanych chemicznie cząsteczek energii, to kontrolowanie i dostrajanie bytu w sytuacji zmienności „somatycznych warunków” w celu zapewnienia niezawodności i trwałości wewnętrznego procesu – niechybnie pochwycilibyśmy uchem głośnie trzaski zamykanych i otwieranych zastawek i komór serca, rozkurcze i skurcze ciągnących się wzduż ciała mięśni; usłyszelibyśmy rozszerzające się i kurczące regularnymi rytмами przepływu powietrza hałaśliwe płuca i wcale nie ciche, przenoszone z jednej komórki do drugiej zakończeniami synaptycznymi elektryczne „informacyjne” wyładowujące się bodźce; dosłyszelibyśmy wreszcie szmer płynącej, raz wolno, raz wartko, w różne strony krwi – słowem: ujrzelibyśmy tę niestrudzoną, podtrzymującą naszą egzystencję, pełną fertyczności, przemienności i interakcyjności biologiczną strukturę.

Myśląc o cielesnym byciu, musimy uznać fakt, że wewnętrzne układy i procesy nie są po prostu przyczepione do siebie jak klocki lego. Nie można nadal rozważać osobno – powiadają badający ciało uczeni – płuc i serca, wątroby i nerek, żołądka i jelit. Narządy w stanie życia „nie są po prostu zbliżone, ale oddziałują na siebie i współdziałają dla wspólnego celu...” – wołał już XIX-wieczny francuski biolog Georges Leopold Cuvier. I dorzucił, że w ciele „nie ma takiej funkcji, która by nie potrzebowała pomocy i współdziałania niemal wszystkich pozostałych”⁴. Nie wchodząc w anatomiczno-biologiczne szczegóły i historyczne rozważania, powiedzmy tak: w świetle naukowych, ważnych do dzisiaj ustaleń o ciele powinowactwo i istotowość wcielonego

istnienia wyraża się nie w różnorodności zewnętrznych form, w widzialnych, morfologicznych zewnętrznych strukturach i typologiach, grupujących różnice i klasyfikacje widzialnej przyrody, lecz w wewnętrznych powiązaniach i współistnieniu narządów. Koncepcja somatycznego samostanowienia mówi nam, że o formie, cechach i zachowaniu wcielonego bytu decyduje jego wewnętrzna organizacja. To na jej poziomie organy podlegają funkcjom. To ona łączy elementy organizmu w ontyczną całość, w której wszystko, co jest, jest ze sobą „sensownie” i „logicznie” powiązane i ściśle między sobą współpracuje – rozmieszcza je wewnątrz i na powierzchni tak, by stawić mogły czoła wyzwaniom zmiennego środowiska. Dostrzeżenie prawa współistnienia oraz ustanawianych przez tęże wewnętrzną organizację jawnych bądź dyskretnych korelacji między organami a wewnętrznymi elementami prowadzi do przyjęcia powszechnego w dzisiejszej nauce poglądu, iż wcielonym życiem rządzi ukryte przed wzrokiem wnętrza, niewidzialne funkcje zawiadują widzialnymi narządami, subtelne wewnętrzne powiązania i dyskretne fizjologiczne relacje rządzą materialnymi strukturami i zewnętrznymi kształtami.

Innymi słowy, musimy, myśląc o własnym ciele, stwierdzić, że żyjemy w samostwarzającym się byciu, że dynamicznie reagująca biologia i fizjologia zawsze były z nami. I to niezależnie, czy byliśmy tego faktu świadomi czy też nie. Mamy do czynienia z wcieloną formą życia o trudnej do pojęcia i wyrażenia, uwarunkowanej miliardami lat ewolucji, złożonej, pełnej współzależności i interakcyjności strukturze, o nieprostej do określenia liczbie współdziałających i współpracujących ze sobą części i procesów. Co więcej, a wiemy to z prowadzonych w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat badań i eksperymentów, w wewnątrzcielesnej empirii współistnieją pluralistyczne porządki bycia i stawania się, pobudzania i hamowania, budowania i niszczenia, porządki odwracalne i nieodwracalne, związane z tradycyjną biologią i fizyką oraz z nowoczesną dysypatywną fizyką, chemią molekularną i neurologią zajmującą się złożonością życia i jego konstruktami nielinowymi. Nasz wcielony byt posiada możliwość tworzenia złożonych struktur i układów oraz ustanawiania między układami i częściami skomplikowanych i różnie uwarunkowanych, nie do końca wyjaśnialnych relacji i nieprzewidywalnych w swych działaniach skutków.

Wcielony byt – „miejsce” ustruktrowane naturalnymi potrzebami i intelektualnymi dyskursami, w którym społeczeństwa i moralności, „kultury i relacje odciskają swój ślad”⁵ – konstituuje w nauce o korporalnym życiu taki rodzaj współdziałania, współzależności i wewnętrznej koordynacji, w którym różnica pomiędzy narządami, funkcjami oraz fizjologicznymi stanami nie jest różnicą transcendentnej istoty czy gatunku, lecz różnicą stosunków na gruncie samego ożywionego bytu. Inaczej to wyrażając: nasze żywe ciało jest różnicą sposobu wewnętrznej organizacji poszczególnych funkcjonalnych układów i części, „w którym energia – powiada Erwin Laszlo – bezustannie jest zużywana na podtrzymanie relacji, zachodzących pomiędzy częściami systemu oraz na zapobieganie unicestwieniu owych części. Jest to stan dynamiczny, a nie stan inercji i śmierci”⁶. Innymi słowy, oczom XIX i XX-wiecznych naukowców ukazało się wcielonem w ciało życie samoorganizujące i objawiające siebie, zdolne do zestawiania i pozyskiwania, rozdzielania i magazynowania, samoodtworzenia oraz pomnażania materii; odsłonił się proces, w którego komórkowym miąższu i ciepła zasiedlania, zagęszczania i kształtowania ożywionej i nieożywionej materii, zestawiania i rozdzielania oraz magazynowania energii, w stających się ze sobą i reagujących na siebie fizycznochemicznych porządkach i cząsteczkach, związkach i pierwiastkach – w tym wszystkim wyłoniła się korelacyjna, wyprowadzająca życie z chaosu biologiczna moc, zdolna stawić czoła entropii, przypadkowości i popędowi śmierci, „którego zadaniem jest, jak pisał Freud, sprowadzanie życia organicznego z powrotem do stanu martwego”⁷.

Przypisy:

1 G. Marcel, *Tajemnica bytu*, przeł. M. Frankiewicz, Kraków 1995, s. 125.

2 zob. E. Husserl, *Filozofia jako nauka ścisła*, przeł. W. Galewicz, w: *Filozofia współczesna*, red. Z. Kuderowicz, Warszawa 1983, s. 190.

3 J. Taylor, *Czarne dziury: koniec wszechświata*, przeł. M. Kalinowski, J. Piesiak, Warszawa 1985, s. 19.

4 cyt. za: F. Jakob, *Historia i dziejczność*, przeł. K. Pomian, Warszawa 1973, s. 153.

5 Ch. Shiling, *Socjologia ciała*, przeł. M. Skowrońska, Warszawa 2010, s. 219.

6 E. Laszlo, *Systemowy obraz życia*, przeł. U. Niklas, Warszawa 1978, s. 59.

7 S. Freud, *Poza zasadą przyjemności*, przeł. J. Prokopiuk, Warszawa 1994, s. 82.

Spółeczny stan natury

TOMASZ SŁUPIK

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle. Polskie społeczeństwo cierpi na olbrzymi deficyt zaufania zarówno w relacjach społecznych, jak i międzyludzkich. Tylko co dziesiąty z nas angażuje się w jakąkolwiek działalność społeczną poza kręgiem własnej rodziny czy towarzyskim. W stosunku do ludzi, którzy odnieśli sukces ekonomiczny, formułujemy niesprawiedliwą bardzo często ocenę: „pewne ukradli”. Politycy w rankingach zaufania społecznego plasują się na ostatnich miejscach. W przeważającej mierze skupieni jesteśmy na własnym sukcesie zawodowym, finansowym lub naszego najbliższego otoczenia. To, co dzieje się na naszym osiedlu, w naszej dzielnicy lub mieście obchodzi nas w niewielkim stopniu. Najlepszą ilustracją takiej właśnie postawy jest frekwencja w wyborach samorządowych, która kształtuje się w przedziale od 30 do 40%. Kolejny przykład społecznej obojętności to budżety obywatelskie, które stały się trwałym narzędziem obywatelskiej partycypacji w naszych miastach, jednak w głosowaniach nad projektami, które często dotyczą naszego najbliższego otoczenia, bierze udział tylko co piąty z nas. Nikła jest świadomość tego, że od samorządu terytorialnego, jak również naszego zaangażowania w jego działania, w przeważającej mierze zależy jakość naszego codziennego życia. To, czy w sposób zadowolający będzie działało przedszkole, szkoła, dom kultury, basen, czy chodnik będzie równy, zależy właśnie od decyzji i skutecznego działania władz samorządowych. Zaangażowanie we wspólnotę dzielnicową czy miejską to możliwość kształtowania polityki od równo przystrzyżonego trawnika, przez zrównoważoną politykę transportową, po duże skomplikowane inwestycje miejskie, istotne dla rozwoju miejsca, w którym mieszkamy, uczymy się, pracujemy.

Kolejną przestrzenią, w której panuje niemal dosłownie rozumiany Hobbesowski stan natury, są polskie drogi, a precyzyjniej rzecz ujmując jeżdżący po nich polscy kierowcy. Nie ma właściwie tygodnia, kiedy nie byłibyśmy informowani o kolejnej tragedii spowodowanej przez pijanego, czy będącego pod wpływem narkotyków zabójcę za kółkiem.

Statystyki pijanych kierowców mogą budzić nasze przerażenie. Są to setki tysięcy osób złapanych (w ciągu roku) przez policję, które prowadzą pod wpływem alkoholu, w konsekwencji będąc rzeczywistymi lub potencjalnymi sprawcami groźnych wypadków. Polskie drogi to często miejsce, gdzie „szybciej”, „brawurowo” i „bardziej bezczelnie” wobec innych uczestników ruchu stanowi niepisana reguła. Obcokrajowcy poruszający się po naszych drogach przecierają oczy ze zdumienia, że w tak konsekwentny i – co za tym – idzie niosący niebezpieczeństwo dla innych użytkowników dróg czy pieszych sposób można łamać przepisy



ruchu drogowego, nie mając świadomości, do jakich, często tragicznych, konsekwencji tego typu zachowania mogą doprowadzić.

Nasze relacje w pracy również dalekie są od modelowych. Często słyszymy o mobbingu, czy wprost przemocy stosowanej przez przełożonych w stosunku do swoich podwładnych. Nie są to pojedyncze przypadki. Według specjalistów zjawiska te mają charakter systemowy, dotyczą całych firm, a nawet branż gospodarki. Zatrudnianie pracowników na umowy śmieciowe lub czasem bez jakiegokolwiek umowy, płacenie pracownikom najniższej krajowej, a reszty „pod stołem” – praktyki te nie są zjawiskiem marginalnym, czy rzadkim w polskiej rzeczywistości ekonomicznej. Wyzysk, niepłatna lub niskopłatna praca po godzinach, to również codzienność wielu polskich pracowników i pracowniczek. Obraz, który wyłania się z analiz polskiego rynku pracy, przy dość znikomym kompetencjach kontrolnych Polskiej Inspekcji Pracy nie napawa optymizmem.

Wydawać by się mogło, że rodzina, dom są oazą spokoju i harmonii. I tu dla Ciebie, drogi czytelniku, nie mam dobrych informacji. Przemoc fizyczna, psychiczna, ekonomiczna, szczególnie wobec kobiet i dzieci, są na porządku dziennym. Można by przypuszczać, że spożycie alkoholu w PRL-u osiągnęło swój szczyt. Niestety aktualne statystyki pokazują systematyczny wzrost konsumpcji alkoholu po 1989 roku. W ubiegłym roku, każdy obywatel naszego kraju (od niemowlaka po staruszkę) statystycznie wypił ponad 10 litrów czystego spirytusu. Kilka milionów obywateli naszego kraju to ludzie uzależnieni od alkoholu, nie trzeba się zbyt długo rozwodzić nad tym faktem. Skutki społeczne, ekonomiczne, czy koszty opieki medycznej rosną w zastraszającym tempie. Tylko ekonomiczny wymiar zjawiska nadużywania alkoholu kosztuje nas, jako podatników, kilkadziesiąt miliardów złotych (absencja w pracy, koszt opieki medycznej, wypadki komunikacyjne, wypadki w pracy etc.). Kwota ta jest większa niż wydatki polskiego państwa na badania naukowe, rozwój i sektor szkolnictwa wyższego.

W konsekwencji w sferze publicznej obserwujemy agresję słowną, a czasami nawet fizyczną, zdziczenie obyczajów, odzieranie z godności przeciwników politycznych czy grup mniejszościowych. Inteltektualiści i dziennikarze załamują ręce i biadola, że pęknięcie polityczne, światopoglądowe w Polsce coraz bardziej się pogłębia i żyjemy nie w jednym kraju, ale w dwóch różnych. Mamy osobne obiegi informacyjne, skrajnie różne gusta estetyczne, inne autorytety, wykluczające się mity i wyobrażenia zbiorowe na swój temat. W tym wypadku ryba nie psuje się od głowy. Organizm społeczny w całości zainfekowany jest przez nieufność, wrogość, zawiść, resentment w relacji człowieka do człowieka i jednej grupy społecznej wobec innej, czy nawet całych klas społecznych. Przecież klasa ludowa dyszy szczerą nienawiścią wobec klasy średniej, zaś ta druga pogardza – kierowana poczuciem wyższości – tą pierwszą. Czy w takich warunkach możliwa jest jakaś umowa społeczna? Mam nadzieję, że nie jest to tylko pytanie retoryczne.

Zrozumieć Śląsk!

ZBIGNIEW LUBOWSKI

– *Przyszłość wykorzystuje przeszłość, aby lepiej zrozumieć teraźniejszość* – tak brzmiało przesłanie dwóch niekonwencjonalnych widowisk muzyczno-estradowych pod hasłem „Zrozumieć Śląsk”. Zaprezentowano je w zeszłym roku w hali widowiskowej PreZero Arena Gliwice. Multimedialne spektakle sceniczne (z wykorzystaniem sztucznej inteligencji) przedstawiono śląskiej publiczności w maju i w listopadzie.

Organizatorami obu imprez były dwa katowickie stowarzyszenia kulturalne – Pokolenie i Inicjatywa, które zdołały pozyskać finansowe wsparcie kilku znaczących firm przemysłowych ze Śląska. Widzowie mogli wcześniej dowiedzieć się, że widowiska prezentują: *sto lat historii regionu, skarby ukryte pod ziemią, trzech cesarzy, trzy powstania śląskie, dwie wojny światowe, dwa totalitaryzmy, dwa wielkie kryzysy gospodarcze, a także przesuwające się granice państwowe śląskich ziem*. Trzeba przyznać, że takie intrygujące komunikaty upowszechniane przez pomysłodawców całego przedsięwzięcia wzmagały tylko zainteresowanie gliwickimi imprezami.

9 bloków tematycznych

Spory rozmach realizacyjny miało widowisko listopadowe, w którym wykorzystano duże telebimy, widoczne nawet z najodleglejszych punktów rozległej hali. 150-minutowa impreza została podzielona na 9 zróżnicowanych bloków tematycznych. Początki scenicznej opowieści sięgały jeszcze czasów sprzed okresu industrializacji regionu. Potem zademonstrowano kolejne etapy dziejów, w tym zwłaszcza powstań śląskich, dramatycznego kryzysu ekonomicznego, tragedii II wojny światowej, mrocznych i radośniejszych chwil powojennych. Nie zabrakło również wątków całkiem współczesnych.

Rozbrzmiewały dźwięki muzyki symfonicznej, folkloru, rocka, bluesa, a nade wszystko – hip-hopu. Teksty utworów stanowiły w wielu wypadkach swoistą ilustrację wydarzeń z historii Śląska. Trudno wymienić wszystkich muzyków i wokalistów (piosenkarzy), którzy pojawili się w Gliwicach. Było wśród nich sporo rodowitych Ślązaków i Zagłębian. Przyjechali jednak także artyści z innych zakątków kraju.

Artyści i... sztuczna inteligencja

Lista wykonawców objęła m.in. Artura Rojka, Krystynę Prońko, Kasię Moś, Grubsona, Czesława Mozila, Małgorzatę Ostrowską, Piotra Roguckiego, a także śląskie orkiestry dęte z kopalń: Marcel, Rydułtowy, JasMos, Sośnica oraz z Huty Łabędy. Publiczność miała też okazję posłuchać Sosnowieckiej Orkiestry Dętej i orkiestry AUKSO. Specjalnie z Kielc dotarł zaś do Gliwic raper Liroy, który epatował słuchaczy – zgodnie z formułą swojej twórczości – dosadnymi wulgaryzmami, charakterystycznymi przecięź dla hip-hopu. Na widowni zasiadało sporo widzów w młodym wieku, dla których takie dźwięki stanowią – jak powszechnie wiadomo – chleb codzienny.

Oprócz piosenek w programie imprezy umieszczono utwory instrumentalne, zawierające dźwięki prawdziwych maszyn przemysłowych, jak przystało na śląskie realia. Nie wszystkim to się jednak podobało. Wielce kontrowersyjny charakter miały wyświetlane na telebimach animacje (wizualizacje), stanowiące przejaw sztucznej inteligencji. Dla niektórych widzów był to – jak dobitnie podkreślano – przerost formy nad treścią. Zdobywcze najnowszej technologii nie są jeszcze akceptowane przez wszystkich odbiorców, co wyraźnie pokazuje życie.



fol. Jeremi Aszszow

Połączonymi orkiestrami dyrygował Łukasz L.U.C. Rostkowski

Prawo inżyniera Mamonia

Entuzjastycznymi brawami nagradzono znane i popularne piosenki, w tym – dla przykładu – „Beksę” w wykonaniu Artura Rojka, „Psalm stojących w kolejce” w ekspresyjnej interpretacji Krystyny Prońko czy też „Szklaną pogodę”, zaśpiewaną z pasją przez Małgorzatę Ostrowską. Wynika to zapewne ze słynnego prawa inżyniera Mamonia, pamiętnego bohatera filmowego „Rejsu” w reżyserii Marka Piwoworskiego. – *Mnie się podobają te melodie, które już raz słyszałem* – przekonywał Mamon (kreowany sugestywnie przez Zdzisława Maklakiewicza), kierując swoje słowa do pozostałych pasażerów wiślańskiego statku. W gliwickiej Arenie nie było uczestników rzecznej wyprawy, ale za to byli widzowie z całego dosłownie Śląska. Tak liczne audytorium rzadko wypełnia gliwicką halę! ■

Kolorowy fotoreportaż z listopadowej imprezy opublikowaliśmy w styczniowym „Śląsku”.



fol. Jeremi Aszszow



fol. Jeremi Astaszow



fol. Jeremi Astaszow

Najbardziej widowiskowe fragmenty gliwickiej imprezy "Zrozumieć Śląsk" były spontanicznie rejestrowane przez widzów z telefonami komórkowymi



Morze cudzego cierpienia

WOJCIECH LIPOWSKI

Pamięć rzeczy minionych. Kto jeszcze obdarza je uwagą? Czy powrót do faktów, zdarzeń już nieobecnych w naszej codzienności może stać się świadectwem służącym teraźniejszości, doświadczeniu czasu, w którym zostały zmagazynowane sprawy przeszłe? Może zdarzyć się, że tak. Przecież to, co za nami można spróbować powtórzyć, skoro zostało zapamiętane i zapoznane, powtórzyć, rozwinąć, nadać nowy sens i znaczenie. Ten proces jest szczególnie ważny, jeśli ktoś chce zachować zdolność do tworzenia wspomnień. W szczególnych przypadkach pielęgnowanie tego materiału służy utrwaleniu prawdy, tworzywa pamięci, chodzi bowiem o to, by coś przetrwało nawet najcięższe próby i traumatyczne doświadczenia człowieka. Nie da się żyć bez bagażu pamięci. Bez niej trudno również stać mocno na gruncie prerażającej teraźniejszości, gdy traci się wszystko za sprawą agresywnej, wyniszczającej wojny.

Tego wieczoru siedzieliśmy na piasku. Wszędzie było go pełno. Stanowczo za dużo. Przesypywał się między palcami niczym upływający czas. Czuliśmy, że z każdą umykającą drobiną coraz mniej także zwykłego człowieka życia. „Było takie miasto nad morzem. Teraz go nie ma. Morze pozostało, ale miasta nie ma” mroczne motto towarzyszy tej historii. Mieszkała w nim Maria ze swoją rodziną, gdzieś na przedmieściach. Jak wielu innych. Na pewno chodziła po tym piasku, patrzyła na morze, marzyła, myślała, może śmiała się, czasem długo obserwowała linię horyzontu. Teraz już po wszystkim. Nad Morzem Azowskim nie ma Mariupola. Przetrwało tylko morze. Niemy świadek tragedii mieszkańców Miasta Marii.

Próbujemy oddać atmosferę dojmującego spektaklu, sklejonego z fragmentów pamięci, wspomnień, strachu, przerażenia, pustki i cierpienia. *Morze zostanie* w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu na podstawie dramatu Oleha Myhajlova, w reżyserii Kostiantyna Vasiukova to tylko próba przekazania bólu po stracie, traumie, gdy nagle spada na głowę ludzi wojna. To zachęta nie do współczucia, ale współodczuwania. Spektakl jest owocem współpracy sosnowieckiej sceny z teatrem Publicyst w Charkowie

w ramach programu rezydencji artystycznej dla twórców i twórczyń z Białorusi oraz Ukrainy organizowanego przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego. Dramat miasta i jego mieszkańców przybrał tu formę poetyckiej opowieści nie tyle o wojnie, co pamięci.

Autorzy wykorzystali twórczy aspekt motywu pamięci, skupiając się w ciągu scen na znaczeniach ogólnych kolejnych zdarzeń niż na ich dosłownej wymowie. Uzyskany efekt pozwolił nawarstwiać się niejako następującym historiom, tasować tworząc referencyjny obraz myśli bohaterów chroniących się przed niebezpieczną teraźniejszością w złudnym azylu pamięci. Ten niepewny schron przed rosyjskimi rakietami, czołgami, żołnierzami nie obronił nikogo. Zniszczono niemal wszystko: życie setek tysięcy ludzi, ich domy. Pozostały gruzy, cmentarze. Garstka tych, którzy przeżyli wiedzie egzystencję niemożliwą. Historia Marii to okrutna postapokaliptyczna przypowieść, dla której pamięć nie jest instancją ostateczną. Na końcu jest bowiem niezmiernie cierpienie.

Jak zatem czytać dramat Myhajlova, tropić jego symboliczne zakamarki, odczytać poetyckie tajemnice ukryte w inferalnych obrazach? Najprostszym tropem wydaje się opowieść o parze ludzi granych przy użyciu delikatnie muskanych strun wrażliwości przez Beatę Deutschman i Krzysztofa Korzeniowskiego. Poprowadzili swoje

role prosto, z dystansem a jednocześnie przejmująco. Pomiędzy wspomnieniami, snami śnionymi na jawie a brutalną powszedniością snuje się historia ich życia pokiereszowanego przez kolejne bombardowania. Przeciskając się między poustawianymi wszędzie krzyżami symbolizującymi groby ludzi, którzy zginęli z rąk rosyjskich oprawców, budują takie życie, jakie jest w tej sytuacji możliwe. Zredukowana do niezbędnych elementów scenografia Poliny Kuznetsovej podkreśliła napięcie i niepokój. Skrajne ubóstwo, brak niemal wszystkiego, wegetacja gdzieś obok cmentarzyska, nie zabiła na szczęście człowieczeństwa. Co prawda zimno sprawia, że na opał idą książki, ale tylko rosyjskich autorów, to jednak scena ich palenia robi na wszystkich przejmujące wrażenie, jak zawsze, gdy w popiół obraca się dobro intelektualny ludzkości. Kto wie, czy to nie najbardziej wymowny obraz zdegradowanego humanizmu. Cóż to jednak za porównanie, skoro niemal cały świat ocalałych ludzkich istnień obrócił się w proch. Pozostały wspomnienia jedyne lekarstwo, które niestety nie zaleczy pustki, braku bliskiego człowieka. Należy jednak podkreślić, że wspomnienia bohaterów tej opowieści, sam fakt ich posiadania, uczynienia z nich sposobu przeżywania przeszłości jako ratunku przed cierpieniem, nie prowadzi do utraty poczucia rzeczywistości, wręcz ją wyostrza.



fol. Jeremi Astaszow



Zjawi się na szczęście zbłąkana gęś, która zostanie ocalona, bo właściwie nie jest gęsią, ale żywym wspomnieniem czegoś dawnego, nieobecnego, zbłąkanego, może dziecka, które żyje we wspomnieniach obojga. Mirosława Żak, która wcieliła się w tę postać przekonująco ukazała siłę wspomnień przeszłości, jaką wywołała jej zjawiskowa obecność. Może to jeden z symboli przywiązania do spraw najważniejszych, wierności, siły, jaka tkwi w poranionym narodzie, walczącym z najeźdźcą. Nie brakuje odniesień i do tego motywu. Kostiantyn Vasiukow wprowadził do spektaklu epizody codzienności nadmorskiego miasta-ruiny w postaci sekwencji z oddziałościami agresora, gdy brutalnie pacyfikują napotkanych ludzi a na ich mundurach błyszczą namalowane fluorescencyjną farbą „Z”. Tomasz Muszyński oraz Piotr Zawadzki w bardzo realistyczny sposób ukazali brutalność, wyższość, agresję i butę żołnierzy dokonujących zniszczenia Mariupola.

Ważną dominantą przedstawienia jest nieustanne poczucie zagrożenia, niepokoju. Nawet wyjście po żywność może stać się ostatnim, skoro trzeba biec pod ostrzałem, poruszać się zaminowaną drogą, czy mierzyć ze snajperami ukrytymi w każdym miejscu. To jednak nie sceny realistyczne do bólu pozostają w naszej pamięci. Istotniejsza w wymowie jest warstwa symboliczna, poetycka tego utworu scenicznego. W jego centrum mamy bohaterów, którzy są celem cudzego działania, na-

cisku sił, które formują ich bytowanie, okoliczności, w jakich ono się realizuje. Wydaje się, że autorzy *Morza* wyrazili w ten sposób oskarżenie pozorów uczestnictwa, bierności innych wobec ogromu dokonującego się zła. Brzmi to jak okrutny banał, wyświechtany frazes, ale dlaczego nie, skoro wszyscy już chyba zostaliśmy wprowadzeni w ten okrutny, niszczycielski bieg zdarzeń i patrzymy nań z różnych, często pasywnych perspektyw.

Miało być o morzu. Jest ono obecne niemal bez przerwy na wizualizacjach Pawła Szymkowiaka i Denysa Beliajewa. Z lewej i prawej strony sceny. Nie można się od niego uwolnić. Podąża za nami niczym złowrogie memento. Czystość i przestrzeń, ogrom i głębia, tworzą kontrapunkt dla ruin, zniszczenia, pustki. To poetycka glosa, poszerzenie perspektywy interpretacyjnej zdarzeń, których jesteśmy świadkami. Odbywa się ona z pozycji dwóch kobiet: jednej ubranej w białą suknię ślubną, drugiej w czarny kostium. Grają je – co też ważne – Kateryna Vasiukova i Nina Zakharova aktorki z Charkowa, które po wybuchu wojny znalazły się w Polsce. Może to projekcja senna głównej bohaterki, gonitwa jej niespokojnych myśli, urywanych, zmęczonych nalotami? Metafora całości prowadzonych tu przemyśleń? Cytat, fragment z całą zawartą tam estetyką kontrastu, buntu, ścierania się dwóch przeciwstawnych sił? Może wszystko po trochu? Czy wobec cudzego cierpienia, niszczycielskiej wojennej traumy

nie załamuje się czasem nasze myślenie o świecie fundowane na tradycji i zapoznanych autorytetach? Może to właśnie chcieli zakomunikować nam tego wieczoru autorzy tego teatralnego traktatu o potrzebie pamięci wobec śmierci, wojny toczącej się w tutaj, gdy nagle gubimy drogi, które wiodły w stronę niezawodnych narzędzi europejskiej kultury, ku poszanowaniu wielowiekowej tradycji.

Gdzieś pośród opowiedzianych tego wieczoru na scenie historii pojawia się wiersz Ivanny Skypy-Yakubovej z obrazem pokoju i kobiety, niosącej w dłoniach nieszczęście, które kładzie pośrodku stołu niczym ciepły bochenek chleba. Ciężki i doskonały. Pośród głębi tytułowego morza, które jest niemyim świadkiem wszelkich nieszczęść, pozostając na styku bezkształtności i formy, który przecież symbolizuje, między życiem a śmiercią umiejscowione zostało niewyczerpane źródło. Można się w nim zanurzyć. I tak chyba trzeba czytać tę przejmującą przypowieść. Morze zostanie, niezmiennie początkiem życia i jego kresem. Każdy powrót nad brzeg to zmierzanie w stronę spraw najważniejszych: pamięci, miejsca, tożsamości, spokoju. ■

Oleh Myhajlov
Morze zostanie
 reż. Kostiantyn Vasiukov
 Teatr Zagłębia w Sosnowcu
 Premiera 4 listopada 2023

90. urodziny Stanisława Janickiego

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Zawsze się wyróżniał i zaskakiwał. Czym? Wieloma atutami i poczynaniami, w tym zwłaszcza charakterystycznymi ciemnymi okularami w studiu telewizyjnym, umiejętnością snucia barwnych opowieści o „Starym kinie”, a przede wszystkim charyzmą filmowego erudyty i wybitnego znawcy przedwojennych filmów polskich.

Bielskie Centrum Kultury im. Marii Koterbskiej było pod koniec zeszłego roku miejscem niezwykłego benefisu Stanisława JANICKIEGO, obchodzącego swoje dziewięćdziesiąte urodziny. Impreza w stylu „retro” przyciągnęła do stolicy Podbeskidzia mnóstwo znanych artystów i twórców, a także przyjaciół jubilata z różnych stron Polski. Tłumnie wypełniona widownia BCK zgromadziła miłośników artystycznego talentu i popularyzatorskich umiejętności Mistrza – pisarza, historyka kina, reżysera, scenarzysty oraz wykładowcy akademickiego.

Publiczność z zainteresowaniem słuchała prowadzonej przez dziennikarkę Ewę Wojciechowską rozmowy z uroczym gawędziarzem, obdarzonym znakomitą pamięcią. Z rozrzwinięciem wspominał czasy swojej młodości i wieloletniej działalności zawodowej, nie tylko w TVP. Wyjaśnijmy, że Stanisław Janicki pochodzi z Czechowic-Dziedzic. Urodził się tam – co szczególnie zasługuje na uwagę – w dniu Święta Niepodległości RP w 1933 roku.

Filmowy ekspert

Od lat mieszka jednak w Bielsku. Półki w pokojach w jego mieszkaniu są dosłownie zastawione książkami, płytami i filmami. Jest wśród nich m.in. najnowsza książka Jubilata „Marzenia filmowe Andrzeja Wajdy”, wydana w roku 2023.

– *Zamach w Sarajewie na austriackiego arcyksięcia Ferdynanda w 1914 roku był wspaniałym materiałem na film, jakby specjalnie dla mnie. Ale w czasach PRL wszystko było na „nie” w podobnych sprawach – zwierzył się niegdyś autorowi Andrzeja Wajda.*

Trudno się temu dziwić – Janicki jest przecież absolwentem dziennikarstwa (specjalizacja filmowa) na Uniwersytecie Warszawskim. Legitymuje się tytułem doktora nauk humanistycznych, który uzyskał na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu.

W latach 1967–1999 był autorem cyklicznego programu telewizyjnego „W starym kinie” (najdłużej emitowany magazyn filmowy w dziejach TVP). Opowia-

dał z rzadko spotykaną pasją o dawnych filmach przedwojennych reżyserów: Juliusza Gardana, Mieczysława Krawicza, Józefa Lejtesa, Henryka Szaro czy Michała Waszyńskiego.

Telewizowie mogli dzięki niemu obejrzeć w akcji sławnych aktorów z tamtych lat: Eugeniusza Bodo, Adolfa Dymśkę, Jadwigę Smosarską czy Aleksandra Żabczyńskiego.

Miłość niejedno ma imię

W roku 2018 Stanisław Janicki poślubił swą koleżankę z Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, gdzie wspólnie prowadzili w przeszłości zajęcia akademickie ze studentami. Sławny historyk i znawca kina był już wtedy po osiemdziesiątce. Poznał Elżbietę kilkadziesiąt lat wcześniej (jego pierwsza żona, Ewa, zmarła w roku 2011). Uroczysty ślub na Zamku Sułkowskich w Bielsku-Białej został odnotowany przez liczne media.

– *Prasa potraktowała nasz ślub jako sensację. A ja naprawdę nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Rozumiemy się, kochamy, szanujemy i to jest najważniejsze. Kiedy ktoś, tak jak ja, ma wciąż apetyt na życie, to nie powinno dziwić, że nie chce go spędzać samotnie, pragnąc mieć u boku ukochaną osobę. Wiek naprawdę nie ma tu nic do rzeczy – mówił Janicki.*

Powróćmy jak za dawnych lat

Pomysłodawczynią i reżyserką benefisu Jubilata była Magdalena Piekorz, która ze wzruszeniem dziękowała Mistrzowi,

że okazał się w jej życiu inspiracją w wyborze zawodowej kariery. Podczas bielskiego spotkania wyświetlano fragmenty starych filmów fabularnych rodzimej produkcji.

Rozbrzmiewały też przedwojenne szlagiery muzyczne. Wokalistom towarzyszyła grupa muzyków pod kierownictwem skrzypka Krzysztofa Maciejowskiego. Nie mogło zabraknąć ulubionej piosenki bohatera wieczoru – popularnego utworu *Miłość ci wszystko wybaczy* w wykonaniu Izy Połońskiej.

Na scenie pojawili się m.in. śpiewający aktorzy bielskiego teatru – Adam Myrczek i Wiktoria Węgrzyn-Lichosyt. Nostalgiczne wspomnienia Janickiego ubarwiały melodyjne przeboje w stylu „retro” – *Powróćmy jak za dawnych lat*, *Umówiłem się z nią na dziewiątą*, *O czym marzy dziewczyna* oraz szlagiery z repertuaru Marii Koterbskiej – *Deszcz i Patrzy w oczy taki ktoś*. Sporą niespodzianką dla Jubilata była przygotowana specjalnie na tę okazję piosenka *Dzieci starego kina* z tekstem Alicji Maciejowskiej. Spontanicznym oklaskom nie było końca!

Miłym gestem wobec Jubilata były potem jeszcze sympatyczne życzenia złożone mu przed przedstawicielami władz samorządowych Bielska-Białej. Podkreślono, że Stanisław Janicki jest od lat cennym symbolem wizerunkowym miasta, stanowiącym wręcz jego wizytówkę artystyczną. ■



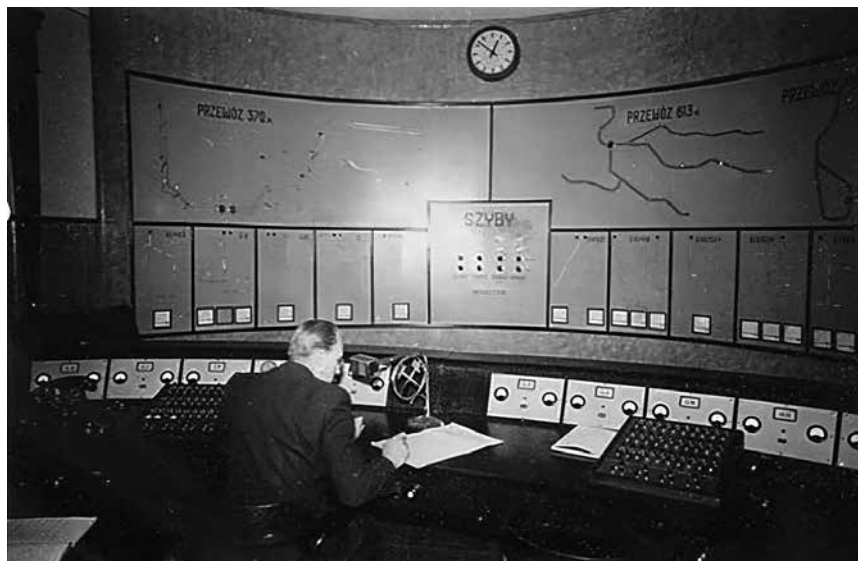
Magdalena Piekorz wyraziła słowa artystycznego podziwu dla dokonań Stanisława Janickiego

Dla sprawnego zarządzania ruchem zakładu górniczego oraz monitorowania zagrożeń w kopalniach służą dyspozytornie ruchu. Podstawowym wyposażeniem dyspozytorni początkowo była łączność telefoniczna oraz urządzenia alarmowo-informacyjne do rejonów prowadzenia robót górniczych.

Rozwój urządzeń dyspozytorskich w górnictwie miał swoją historię i powstawał w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. W tamtych latach organizacja dyspozytorni pozostawała decyzją samych kopalń. Pierwsze dyspozytornie, które powstały w kopalniach: „Wujek”, „Łągiewniki”, „Miłowice”, „Generał Zawadzki” i „Grodziec”, były zaprojektowane i wykonane przez własnych pracowników i posiadały indywidualne rozwiązania techniczne.

Pierwszą profesjonalną dyspozytornię kopalnianą wybudowano w 1959 roku w kopalni „Wujek”. Dyspozytornia znajdowała się budynku dyrekcji, pomiędzy gabinetami dyrektora a naczelnego inżyniera. Wybór miejsca był uzasadniony bliskością osób kierujących ruchem kopalni. Dyspozytornia została wykonana z inicjatywy dyrektora kopalni Franciszka Wszółka i przy współudziale inżynierów: Edwarda Trojaka, Bogumiła Polacza, Andrzeja Głazka, Stefana Zagórskiego oraz Ernesta Procka.

Z oddaniem do użytkowania tej dyspozytorni wiąże się ciekawa historia. Na otwarcie dyspozytorni w lipcu 1959 roku przyjechał na kopalnię „Wujek”, goszczący w Katowicach, Sekretarz Generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Nikita Chruszczow wraz z Władysławem Gomułką oraz I sekre-



Dyspozytornia kopalni „Wujek”, lata 60.

Pierwsza dyspozytornia

STEFAN GIERLOTKA

tarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR Edwardem Gierkiem i ministrem górnictwa Janem Mitręgą.

Kiedy Nikita Chruszczow przyjechał na kopalnię „Wujek” i był podejmowany przez dyrektora Franciszka Wszółka został zaprowadzony do nowej dyspozytorni. Po objaśnieniu

jej działania i możliwości komunikacji głosowej ze wszystkimi rejonami wykonywania robót w kopalni, Nikita Chruszczow zaproponował dyrektorowi, że chce przez głośnomówiące sygnalizatory pozdrawić wszystkich górników na dole kopalni.

Chruszczow podszedł do mikrofonu i w języku rosyjskim powiedział: *Zdies' Nikita Siergiejewicz Chruszczow. Ja pozdrawlajaju was szachtory w nizu!* (Tu Nikita Siergiejewicz Chruszczow. Pozdrawiam was górników na dole).

Po chwili ciszy z dołu przyszła zwrotna odpowiedź w czystym języku rosyjskim:

My, górnicy, też pozdrawiamy was Pierwszy Sekretarzu Nikito Siergiejewiczu Chruszczow i życzymy miłego pobytu w Polsce i na Śląsku.

Usłyszawszy to zdanie, wypowiedziane w czystym języku rosyjskim, Chruszczow zapytał dyrektora Wszółka, skąd górnik zna język rosyjski. Dyrektor Wszółek odpowiedział: „Nie wiem”. Wtedy znów Nikita Chruszczow podszedł do mikrofonu i zapytał: „Skąd ty znasz tak dobrze język rosyjski?”

Górnik: „Znam język rosyjski, bo ja przez 6 lat siedziałem w łagrze pracy na Syberii”.

Chruszczow: „Jak to i za co?”

Górnik: „Jestem Ślązakiem i byłem w Werhmachie”.



Stół dyspozytorski z kopalni „Wujek” w zbiorach Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze

Chruszczow: „To ty jesteś Polak czy Niemiec?”

Górnik: „Jestem Ślązak i wielu Ślązaków było w Wehrmachcie i walczyło z Armią Czerwoną”.

Chruszczow do Gomułki: „Gdzie ja jestem? W Polsce czy w Niemczech?”.

Wtedy gospodarze zaczęli tłumaczyć Chruszczowowi, że wielu Ślązaków służyło w Wehrmachcie i to było normalnością na Śląsku.

Chruszczow: „Ja wiem, kto jest Polak, a kto Niemiec, ale Polak w Wehrmachcie tego *nie panimaju* (nie rozumiem).

W tym momencie przez urządzenia dyspozytorskie włączył się do dyskusji znów górnik z dołu.

– „Towarzyszu Chruszczow! Ja jestem Polakiem, jestem obecnie członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jestem komunistą!”.

Chruszczow: *Ja niczego tu nie poniał* (niczego tu nie zrozumiałem).

Wówczas dyrektor Franciszek Wszolek dla uratowania sytuacji zaproponował, że bez wódki na trzeźwo tego się nie zrozumie. Otworzył drzwi dyspozytorskie i zaprosił gości do swojego gabinetu.

Kilka tygodni po wizycie Chruszczowa na Śląsku, z jego inicjatywy, przybyła na kopalnię „Wujek” druga delegacja z ZSRR, żeby zobaczyć dyspozytornię. W jej skład wchodziła już grupa radzieckich inżynierów. Delegacji przewodniczył dowódca Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego marszałek Kliment Woroszyłow. W czasie pobytu w kopalni Władysław Gomułka wręczył w imieniu Polski pełną dokumentację techniczną dyspozytorskiej, bowiem marszałek postanowił budować takie dyspozytornie dla potrzeb Armii Czerwonej i rosyjskich kopalń. Wtedy też Woroszyłow otrzymał od Gomułki tytuł Honorowego Górnika. Nikt wówczas nie wiedział, że ten sam Woroszyłow, dwadzieścia lat wcześniej, podpisał się obok Stalina w rozkazie rozstrzelania polskich oficerów w Katyniu.

Prace nad opracowaniem standardowego już dla wszystkich kopalń urządzenia dyspozytorskiego rozpoczęto w Głównym Instytucie Górnictwa w końcu 1959 roku. W wyniku tych prac powstało pierwsze urządzenie dyspozytorskie typu PUD/G-59, które posiadało dwustanowiskowy stół dyspozytorski z aparatami telefonicznymi i sygnalizatorami oraz magnetofon do rejestracji meldunków o zagrożeniach. Powstawały kolejne modernizacje dyspozytorskie i wdrożenia na wszystkich kopalniach.

Kolejne modernizacje łączności dyspozytorskiej już z obwodami iskrobezpiecznymi zostały opracowane w 1978 roku w Ośrodku Badawczo Rozwojowym SMEAG w Katowicach. W 1980 roku opracowano w EMAG-Katowice system dyspozytorski MSD-



Kopalnia Wujek – otwarcie dyspozytorskiej w 1959 roku

80, który stał się standardowym wyposażeniem kopalnianych dyspozytorskich oraz dla działów tępaków w końcu XX wieku.

Stół dyspozytorski pierwszej dyspozytorskiej z kopalni „Wujek” i jej wyposażenie można dzisiaj zobaczyć w zbiorach Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze.

czekolada z majonezem

JAKUB JAKUBIK

Ciągle w tym samograj

zwą mnie umrzykiem
i musiałem trzy razy
to słowo poprawiać
bo autokorekta
nie przewiduje
wynaturzeń
rodzaju
męskosobowego

bo automobil
wyraża tyranie frenetycznego zabarwienia
tęczy
w tafl dinozaurzych fekaliiów

i choć nie interesuje mnie
kultura słowa
to umrzyczka brzmi bardziej jak coś
na co można by przedłożyć
społeczną korektę
bo to co męskożywotne
umiera w kąpieli
pleśni kieleckiej

zjadam od lat
grzyb koloru łak
i wciąż jestem
kwiatkiem wśród traw

zzieleniałem ze złości
na własne upośledzenie
i pcham myśli pod kosiarkę
grafomańsko wierząc
w dopaminowy strzał twórczy

i choć wszystkie eminemy świata
wywalczyły emancypacje przez słowo
to w usosie zamiast porsche
widzę karetkowe nosze

niestety za upuszczanie krwi
na podłogę
państwo nie gwarantuje
dziesięciopaku czekolady

Gorzka 98%

dziadek robi w pieluchy
i ojciec też
trudno nie myśleć o tym
przy jedzeniu
czekolady
bo oboje mają pokój
wychodzący na
kuchnię

Widok z okna na północ, w tle las

Szanowni sąsiedzi,

k którzy kochaliście się
naprzeciwko mojego okna
w deszczowy majowy dzień.
z zapalonym światłem
za delikatną koronkową firaneczką.
Zobaczyłem w was ludzi,
którzy pragną,
kochają,
wzdychają
i tak jak ja,
kończą szybko.

Z wyrazami szacunku
znudzony sąsiad

PS. jakbyście mogli mniej na siebie krzyżeć
i przestać charkać jak styrlały łos
to wam upiekę murzynka
i dorzucę trochę majonezu

Nie jestem szowinistą

jestem feministą
ale w sumie
to czuje się
niechciany

bo feministki
wcale o mnie
nie walczą

chciałabym dla niej
golić nogi
ubierać się
w jakieś ciekawe
fatałaszki
całować długo
i
brać głęboko
ale jestem chłopem
i do tego hetero

Oda do młodości

jak powiedzieć ojcu
że jestem
po rozszerzonej matmie
dobry z fizyki
i
chujowy z chemii
byłem w
Hiszpanii, Islandii, Norwegii
i
między nogami
chwałą mnie na
studiach
ganią
że jestem stoikiem
?
jak powiedzieć ojcu
że przepłaciłem
to głową
strzelającym kolaniem
i
narko tykami
jak powiedzieć ojcu
że minęło
siedem lat
i mógłby już

umrzeć

Terapia komórkami macierzystymi

kiedy wkładałem kluczyki
do mojego porsche
przejechałem się
na kanapce z
czekoladą
i wylądowałem
na lotnisku w Toszku

Zjesz?

choć babcia gada
nieustannie
i mnie to nieustannie
wkurwia
to dobrze wiem
że zaszłyła
żeby każde słowo wysłuchiwać
z pełną uwagą

Lista zakupów

moja babcia zawsze pisze
majones
i się zastanawiam
czy to dlatego że
owies
kres
czy dlatego że
ubezdźwięcznienie
objęło również
łemków

Wyznanie miary

boże mam szczerą nadzieję
że jesteś
że mogę na ciebie liczyć
ale narzędzia do wierzenia
które dałeś są dla mnie
niewiarygodne

Pamiętaj

pamiętaj, że za każdym razem, kiedy rezygnujesz z
wzięcia prysznic
zabijasz
co najmniej dwie albo trzy

Telewidz

wielka tragedia trwająca wiele lat jest dobrą przykrywką
bo zabrania innych i usprawiedliwia tylko jedną traumę

Czasem zastanawiam się czy ten ojciec leżący
który swoim życiem stał za dobrem i był świadectwem świata, który może być przyjazny
czasem się zastanawiam czy ten ojciec obudziłby się z oburzenia gdyby my puścić porno
mogło być jakie interracial albo trans

Gardena

pamiętam jak kiedyś
dziadek z ojcem
kłócili się o
nawadnianie ogródka
myślałem wtedy, że
ktoś straci głowę
i
jeden stracił pamięć
a drugi tkankę mózgową
więc
chyba miałem racje

Okrzyk na cześć pasów bezpieczeństwa

najgorsze społeczne naciski
to te na pęcherz

Mam znajomych w sądzie

receptory śmierci
rozpoczynają procedurę
zaprogramowanego zniszczenia komórki
struktura się rozpada
cieszą się fagocyty
ciało zostaje doszczętnie wchłonięte
wszystko zostaje w człowieku
by odżyć na nowo

tylko człowiek
buntuje się przed końcem
bo w niebie eutanazja
to persona non grata

Babciu, wieżo z kości słoniowej

tylko szyldy oddzielają
domowe od darmowego

fot. Tomasz Bienek



80-latki do pióra!

Poloniści emerycy piszą lub nie piszą

JERZY PASZEK

Wszyscy się starzejemy, ale kiedyś 70 lat było naszym kresem, a dziś egzystencja (i to wcale nie tak groźna wegetacja) wyraźnie się przedłuża do średniej europejskiej 80 kilku wiosen. Kazimierz Wyka mawiał, że trzeba długo żyć na emeryturze, by wykorzystać podydaktyczny dystans na swoją własną i wreszcie dobrze przemyślaną twórczość! Ale nie cała społeczność polonistyczna zgadza się z takim planem czy projektem! Na jednym biegunie umieszczam Henryka Markiewicza, który do samego końca, a miał prawie 91 lat, pisał odręcznie (bo dość niezgrabnie próbował posługiwać się laptopem) artykuły i szkice polemiczne, które następnie ukazywały się w jego książkach, na drugim zaś biegunie mieści się 90-letnia Maria Podraza-Kwiatkowska, która na emeryturze nie ogłosiła ani jednej nowej własnej książki, z wyjątkiem zbioru dawniejszych artykułów, a w tym i tego, pisanego z mężem, Jerzym Kwiatkowskim, o Magnuszewskim, Berencie i Kadencie-Bandrowskim z roku 1961 (*Labirynty – kładki – drogowskazy. Szkice o literaturze od Wyspiańskiego do Gombrowicza*. Kraków 2011). Wśród takich polonistów, którzy na emeryturze uchylają się (zapewne z różnych powodów) sięgania po pióro czy laptop, mogę wspomnieć o Józefie Bachórze (rocznik 1934), Eleonorze Udalskiej czy Edwardzie Polańskim (oboje obchodzili swoje 90-lecie). Nie wiem, czy mieli już dość belferki, bo chyba nie podjęli bardziej atrakcyjnej (finansowo) działalności, jak to uczynił duński polonista Peer Hultberg, przechodząc od specjalistycznych prac filologicznych do praktyki freudowskiego psychiatry.

Trudno oczywiście wprowadzać jakoś sensowne podziały pomiędzy emerytami, którzy parają się wiedzą o literaturze do końca życia. Najpierw zajmę się 3 reprezentatywnymi sylwetkami. Będą to Maria Janion, Henryk Markiewicz oraz Michał Głowiński (zmarły w 2023 roku w wieku 88 lat). Otóż najbardziej rzeczowa, rzetelna i „rzemieślnicza” wydaje mi się postawa Markiewicza. Co prawda lubił tworzyć limeryki (zwłaszcza na cześć Wisławy Szymborskiej i Teresy Walas), prezentować an-

tologie lekkiej Muzy, w których wiersze wychodziły spod piór krakowskich, śląskich, poznańskich czy wrocławskich profesorów (1. *Zabawy literackie krakowskich uczonych*. Kraków 2007; 2. *Igraszki literackie polonistów. Antologia*. Wybrali H. Markiewicz i M. Rusinek. Kraków 2012), ale nie porzucił poważnych prac, z których za najważniejszą uważam *Przygody dzieł literackich* (Gdańsk 2004). Jeśli bowiem Janion namawiała nas do zajmowania się głównie arcydziełami (zob. jej studium *Teoria literatury ze stanowiska teorii arcydzieł. Historia literatury a historia idei* w tomie *Odnawianie znaczeń*. Kraków 1980, s. 301–319), to Markiewicz podniósł rzucaną wszystkim polonistom rękawicę, charakteryzując „dzieje sławy” 7 polskich mistrzowskich dzieł: *Pana Tadeusza*, *Pana Jowialskiego*, *Ballady*, *Lalki*, *Wesela*, *Pałuby* oraz *Kosmosu*.

W swoich analizach jest krakowski badacz nad wyraz szczegółowy i dba o kompletny zestaw ważniejszych opracowań krytycznych, recenzji czy ulotnych opinii słynnych osób. I tak, przykładowo, omawiając dramat Słowackiego, nie pominie broszury Michała Bałuckiego z roku 1867 (*Kobiety dramatów Słowackiego*), pracy Adama Ważyka z roku 1955 (*Przemiany Słowackiego*) czy wstępu Eugeniusza Sawrymowicza do szkolnego wydania *Ballady* (9 wydań!), gdzie pojawia się, bo musi się pojawić (rok 1953!), taki passus: „Konflikty klasowe, ucisk ludu i mieszczaństwa przez panów feudalnych, samowola despotycznych władców, zbrodnia jako droga do osiągnięcia korony – wszystko to stanowi najistotniejszą ideową treść *Ballady*” (H.M., 89–90). Ba – opisu- jąc recepcję powieści Prusa – zacytuje (H.M., 253) nawet Kazimierz Szczukę i jej esej *Nuda buduaru* z tomu *Kopciuszek, Frankenstein i inne* (Kraków 2001), gdzie znana z audycji telewizyjnych feministka powiada, iż tożsamość Izabeli faktycznie nie istnieje, jest ona jedynie miejscem pustym, skupiającym męskie pożądanie! Mniemam, że takie przeglądy sądów i luźnych myśli (provokacji!) na temat 7 wspaniałych autorów i ich utworów przyczyniają się do lepszego zrozumienia przez czytel-

nika nie tak łatwych i jednoznacznych (*Kosmos* Gombrowicza nawet dla Jana Błońskiego i Artura Sandauera nie staje na wysokości *Ferdydurke* czy *Trans-Atlantyku*) dzieł naszej literatury.

Janion na swoje 80 urodziny wydała sławny i osławiony tom *Niesamowita Słowiańszczyzna. Fantazmaty literatury* (Kraków 2006, cyt. ed. III z 2022 roku). Nie muszę dodawać, że jednym z okazów czy przejawów niesamowitości wierzeń naszych przodków był wampir, któremu autorka poświęciła swoją poprzednią wielką księgę: *Wampir. Biografia symboliczna* (Gdańsk 2002). Proponując (innym!) zajmowanie się filologią, edytorstwem i objaśnieniami lingwistycznymi naszych arcydzieł, sama Janion – czego nie da się ukryć! – zajęta jest „smacznymi” marginaliami czy to *Dziadów*, czy to *Króla-Ducha*, nie zapominając o młodzieńczych prozach Kra- sińskiego, tych spod znaku „gotycyzmu opinogórskiego” (M.J., 83–88). Tak więc okazuje się, że czytając *Popas w Upicie* Mickiewicza trzeba również przyjrzeć się zмумifikowanemu trupowi Sicińskiego (M.J., 137), bo mamy do czynienia z „trupem wydziedziczonym”! Mickiewicz ponoć w roku 1833 „polecał



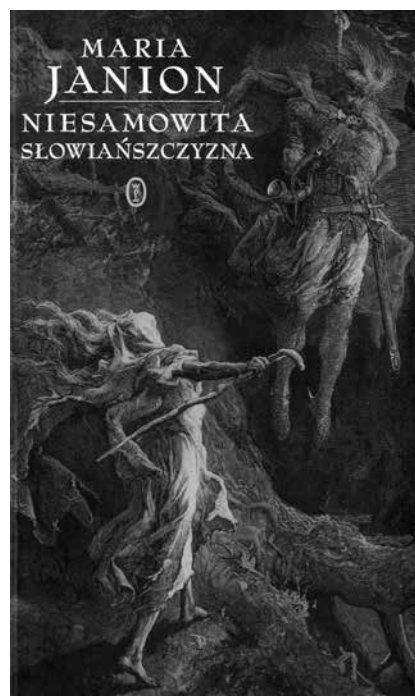
przyjaciołom do czytania jako jedyną rzecz zajmującą *Die Seherin von Prevorst* (M.J., 69). W przypisach autorka wyjaśnia, że chodzi o tom pt. *Jasnowidzka z Prevorst. Spostrzeżenia względnie wewnętrznego życia człowieka, tudzież przenikania świata duchów do naszego świata*, wydane w Sztutgardzie i Tybindze przez Justyna Kerner. W dwóch tomach z ośmiu rycinami. Tłomaczone przez Wincentego Topor Matuszewskiego. Warszawa 1832–1833 (oryginał pochodzi z roku 1829). Jak bez poznania tych 2 tomów można pisać o wampirach i duchach, uczestniczących w ludowych rytuałach jesiennych? Oto pytanie dla przerażonych poliglotyczną erudycją Janion laików! Bo niemieckie dzieło Knera czyta po francusku, gardząc spolszczeniem.

Michał Głowiński wybrał inną drogę aniżeli jego rywale, czyli Janion i Markiewicz (nb. cała ta trójka pracowała w Instytucie Badań Literackich PAN, a uczoney krakowski równocześnie wykładał przez prawie 44 lata na Uniwersytecie Jagiellońskim problemy teorii literatury). Głowiński mając 80 lat opublikował książkę, podsumowującą jego pasję demaskatora nowomowy z czasów PRL-u (*Zła mowa. Jak nie dać się propagandzie*. Warszawa 2016), obszerny zbiór krótkich opowiadań i szkiców literackich (*Papuga i ratlerok*. Warszawa 2019) oraz dużą księgę pt. *Tęgie głowy. 58 sylwetek humanistów* (Warszawa 2021; nb. wydzie jeszcze i dopełnienie tej pracy). Portrety znajomych Głowińskiego tworzą pewną klamrę w libellach, dotyczących niełatwego jego życiorysu: wiele z tych tajemnic ujawnił w książce *Kręgi obcości. Opowieść autobiograficzna* (Kraków 2010; nb. mam egz. z ceną dedykacją: „Jerzemu Paszkowi – na pamiątkę lat dawnych. Michał Głowiński. Katowice, 27 stycznia 2010”). Można się tylko domyślać, ile faktów ze swojego życia ukazywał w szeregu opowiadań i małych próz: *Czarne sezony* (Warszawa 1998), *Magdalenka z razowego chleba* (Kraków 2001), *Historia jednej topoli i inne opowieści* (Kraków 2003), *Kładka nad czasem. Opowieści z Miasteczka* (Kraków 2006). „Trzecia droga” Głowińskiego – jak widać – jest ścieżką, prowadzącą od arcydzieł (zajmował się poezją Leśmiana i Tuwima, a także *Ferdynurka* i *Ozimina*) do biografii, gdyż nie tylko *Kręgi obcości* przybliżają nam tajemnice jego życia (był Żydem, gejem i cierpiał na agorafobię), ale i *Tęgie głowy* wskazują tych, których lubił, oraz tych, których jedynie cierpliwie tolerował.

Po pewnym namyśle doszedłem do przekonania, że istnieje dodatkowo czwarta kategoria 80-letnich polonistów, którzy nie powiesili na kołku piór i laptopów. Nazwałbym ich **adoratorami** albo **adherentami** jednego autora (bo termin

monoman chyba jest tu niestosowny!). Przykładami mogą być Stanisław Pigoń, zajmujący się Mickiewiczem (zob. jego tom pt. *Zawsze o Nim. Studia i odczyty o Mickiewiczu*. Kraków 1960) lub Juliusz Wiktor Gomulicki, słynny edytor *Pism wszystkich Norwida*. Współcześnie mamy prof. Zdzisława Jerzego Adamczyka (rocznik 1936), który w serii „Pism Zebranych” Stefana Żeromskiego oprac. 5 tomów beletrystycznych, 6 kolekcji epistolograficznych, 3 grube książki pism publicystycznych oraz 2 (w druku III) cykle na nowo, i to bardzo wszechstronnie objaśnionych, zapisów diariuszowych autora *Przedwiośnia*. Tomy 24–26 (2015–2017) noszą tytuły: *Pisma raperswilskie. Wspomnienia i sylwetki, Publicystyka. 1889–1919, Publicystyka. 1920–1925*. Obliczyłem, że wolumin o tematyce raperswilskiej jest wyposażony w 154 stronicę uwag edytorskich oraz pewnie na tyleż stronic rozciągają się przypisy dolne, zajęte przez wyjaśnienia, dotyczące kwestii biograficznych osób, o których jest mowa w tekście głównym. Czyli do rewelacyjnego tomu autorskiego (*Manipulacje i tajemnice. Zagadki późnej biografii Stefana Żeromskiego*. Warszawa 2017) – książka powstała na podstawie nowych faktów z życia pisarza i jego rodziny, jakie Adamczyk ustalił przygotowując edycję *Listów*, opublikowaną w latach 2001–2010 – należy dodać 5 lub 6 (tom III *Dzienników* w druku) woluminów, w których uczoney kielecki od roku 2015 do 2023 ukrył **swoje własne** bardzo rozległe i pracochłonne teksty.

Kończąc moje „gerontologiczne” wywody i dociekania, chcę powiedzieć, iż należy się pogodzić z faktem niepisania i bolesnej absencji polonistów po przeżytych 70 czy 80 latach. Wszak ze starością witają nas najróżniejsze niedogodności i pułapki egzystencjalne, a przede wszystkim choroby. Dobrym przykładem może być Aleksander Wilkoń (1935–2022), który zamierzał kontynuować opis języka kolejnych okresów literackich (zdążył scharakteryzować styl zabytków średniowiecza, renesansu i baroku), ale coraz gorzej widział, więc i badania źródłowe, i tworzenie syntez przeszły już do sfery marzeń! Swoją długowieczność znakomicie natomiast wyzyskał Konrad Górski (1895–1990), który oprac. edycję krytyczną *Pana Tadeusza* (Wrocław 1969), wykorzystując do niej *Słownik języka Adama Mickiewicza* (Wrocław 1962–1983, t. 1–11 pod red. Górskiego i Stefana Hrabca), a w latach 1975–1990 opublikował m.in. tomy: *Tekstologia i edytorstwo dzieł literackich* (Warszawa 1975), *Jan Kasprówic. Studia* (Warszawa 1977), *Mickiewicz. Artyzm i język* (Warszawa 1977), *Rozważania teoretyczne. Literatura, muzyka, teatr*. (Lublin 1984), *Mickiewicz – Towiański* (Warszawa 1986),



Adam Mickiewicz [Biografia] (Warszawa 1989). Po śmierci toruńskiego uczonego wydrukowano jeszcze: *Pamiętniki* (Toruń 1995), *Teatralia z lat 1938–1983* (Toruń 1999) oraz *Literaturę i katolicyzm* (Lublin 2004). Czyli wniossek nasuwa się sam: nawet ćwierćwieczny pobyt na emeryturze badaczom arcydzieł nie przeszkadza w dalszym pisaniu i wytrwałym opracowywaniu wybranych utworów poetów, prozaików i dramaturgów.

Podział polonistów pisujących do ostatnich swoich dni wyglądałby więc następująco: 1. badacze-**admiratorzy arcydzieł**, 2. badacze-**anegdotarze**, 3. badacze zmierzający do **autobiografii**, 4. **adoratorzy** jednego pisarza. Po tej pierwszej grupie zawsze można oczekiwać jakiegoś niespodzianki. Bo *Przygody dzieł literackich* mają ukrytą strukturę perswazyjną: najpierw dwaj panowie (Tadeusz i Jowialski), ale jakże ulotne jest tu ich „panowanie”; potem dwie okrutne damy (Balladyna i Izabela), które łączy motyw „zepsutej lalki”, przy czym u Prusa pojawia się i „zepsuta laleczka” córki Heleny Stawskiej, i „zepsuta lala” arystokratyczna, za nic mająca parweniuszy; po panach i damach Markiewicz proponuje *Wesele*, by przejść gwałtownie do katastrofalnej nocy poślubnej (*Patuba*) i pornograficznych (mocniejszych niż w utworze pt. *Pornografia*) scen małżeńskich w zakopiańskich daczach. Nie muszę dodawać, iż jako twórca serii „Blask Arcydzieł” należę do klasy 1, rzadko pisując o aspektach politycznych beletrystyki czy też spoglądając na siebie okiem Narcyza (to zostawiam libelli *Autobiografia filolomaniaka*). A na wszelki wypadek zajmuję się jakże odmienną i stale mniej zaskakującą dwójką prozaików: Berentem i Żeromskim.

Według definicji słownikowych ultradźwięki to fale o częstotliwości niedostępnej dla ludzkiego ucha, są one poza naturalnymi możliwościami percepcyjnymi człowieka. Ultradźwięki właśnie tworzą tytuł najnowszej prozy Macieja Bieszczada, co oczywiście ma wymiar metaforyczny, ale odwołuje się do istoty rzeczowego zjawiska fizycznego, którą jest niesłyszalna obecność. Jak to ma przełożenie na świat przedstawiony w małych prozach Bieszczada i co łódzki twórca chce przez to powiedzieć?

Nasze rozważania, podobnie jak książkę, niech otworzy motto zaczerpnięte z poezji Julii Hartwig: „Zaświeciło słońce / Jaskrawe krzykliwe szalone / Uciekało przed nawałą naciągających chmur / Próbowało coś przekazać tym krzykiem / Ktoś w napięciu nadstawił ucha / Ktoś inny przechodził nic nie zauważając / Cała tragedia dokonała się gdzieś wysoko / gdzie nie sięga słuch śmiertelnych”. Cytat pochodzi z utworu *Nieuważni* i – jak już się domyślamy – stanowi zaczytny prozatorski impresyjny autor *Ultradźwięków*, który do „nieuważnych” z pewnością nie należy. Maciej Bieszczad z niezwykłym skupieniem przygląda się rzeczywistości i jakimś artystycznym nadmysłem potrafi wnikać w szczelinę między doczesnością a wiecznością, czyli tam „gdzie nie sięga słuch śmiertelnych”, by literacko „nagrać” owe „ultradźwięki”, owe krzyki, głosy, naszepty płynące z drugiej przestrzeni. Łódzki artysta słowa dał się już poznać jako wprawny tropiciel zaświatowych znaków w swoich tomikach poetyckich. Przywołajmy w tym kontekście takie tytuły zbiorów jak *Kołatanie* (2019), *Niteczka* (2020), *Miejsce spotkania* (2022). W zbiorze form prozatorskich *Ultradźwięki* widzimy, że autor czuje się znakomicie także na tym polu twórczego doświadczenia. Krótkie opowiadania mają w swej zmetaforyzowanej warstwie odnośniki do rzeczywistości, która nie poddaje się naocznemu ujęciu, ale obserwacja pewnych charakterystycznych przejawów bytu rodzi myśl przebijającą się ku absolutnemu wymiarowi istnienia.

Z takim opisem spotykamy się choćby w tekście *Czarodziejskie kule*, kiedy to ojciec tłumaczy synowi widok nocnego nieba: „[...] Aldebaran to ten, którego dziś nie widzisz, ale któregoś dnia rozblysznie dla ciebie sam, wtedy nie będziesz musiał wyteżać wzroku”. Bieszczad pozostawia swych czytelników w Kantowskim zachwycie, w podziwieniu i czci wobec transcendencji. Podążamy za wypowiedziami bohaterów i z pomocą sugestywnej narracji nagle konstatujemy, że patrzymy ich oczami. Dialogi postaci, pytania i odpowiedzi, rozgrywają się w naszej wewnętrznej przestrzeni ducha, odkrywając pokłady utajonej wrażliwości na metafizyczne fale istnienia, na niesłyszalne i niewidzialne „ultradźwięki”.

Nieodległy szmer zaświata

KSIĄŻKI

Przeto szczerą choć jeszcze niepewną odpowiedzią dziecka na pytanie ojca „A która część nieba najbardziej ci się podobają?” będą słowa: „Chyba ta niewidzialna”. Bieszczad nic już nie dodaje. Puentując w ten sposób opowiadanie, nie tylko usuwa swych bohaterów w cień, ale otwiera przestrzeń dla naszego indywidualnego namysłu, zachęca do kontemplacji nocnego nieba. Uniwersalny wymiar tekstów sprawia, że możemy je nałożyć na każdy czas i miejsce, możemy w nich osadzić siebie. Jest to tym bardziej możliwe, że narracja jest często prowadzona w pierwszej osobie liczby mnogiej, co włącza odbiorcę w tok myśli autora.

W głębokiej warstwie rozumienia tekstu twórca zwraca uwagę na zagrożenia, które szkodzą duchowemu czuwaniu. Diagnozę współczesnego człowieka cierpiącego na specyficzne schorzenie odnajdziemy w miniaturze *Echolokacje*, która wpisuje się w zagadnienie przywołane tytułem całego zbioru: „Cierpiemy na nieuleczalną głuchotę. Przenikają nas sygnały wysyłane od stuleci. Nasze miasta i fortyfikacje zdobywane są przez złowrogie ekspedycje fal. Ulegamy im, zapraszamy je do domów. Zасыpiamy z nimi, jemy, razem się wesełimy”. Wydaje się, że Bieszczad podaje uwspółcześnioną wersję *Sonetu IV* Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, w którym to barokowy autor pisze o wojnie, jaką w przestrzeni duszy „[...] srogi ciemności / Hetman i świata łakome marność / O nasze pilno czynią zepsowanie”. Czy jest wobec nich jakaś siła przeciwstawna? Czy są „ultradźwięki”, które zatrzymają „złowrogie ekspedycje fal”? Tak. W kolejnych akapitach *Echolokacji* czytamy: „Delfiny, podwodne anioły, znają nasze i ich zamiary. Lgną do nas mimo krzywd, jakich mogą doznać. Wyśpiewują nasze tajemnice, wyjaśniają utracony sens w obecności rozbudzonego ptactwa. Zgodnie z anielską naturą eskortują nas na sam próg”. Zaświatowy „próg”, który jawi się na horyzoncie życia, sygnalizowany



TOMASZ PYZIK

wany jest właśnie poprzez „ultradźwięki” słyszalne metafizycznym zmysłem w objawach natury. Tekst Bieszczada wydobywa zaświatową walkę o ludzkie dusze, naświetla istnienie sił dobra i zła, które toczą wojnę o nasz przebyt po żywocie. Kwestia eschatologiczna staje się tłem najnowszej prozy poetyckiej autora *Ultradźwięków*, a najważniejszy sens jaśnieje w ciągu znaczeniowym wizją rajskiego przebytu. To już nie jest „utrącony sens”. Nowy charakter sensu ujawnia finałowa wypowiedź dialogu będącego osią narracji opowiadania *Nic się nie kończy*. Syn mówi do umierającego ojca: „Usiądziemy potem przy jednym stole. Mama, ty i ja, cała rodzina. Nie będziemy mieli innych domów, innych bogów, poza jednym, o d z y s k a n y m [podkr. – –T.P.]”.

Maciej Bieszczad udowadnia swą twórczością, że jest pisarzem wtajemniczonym. Każda kolejna pozycja książkowa tego autora potwierdza, że potrafi on ze świata rzeczywistego wyłuskać przejawy metafizycznych „ultradźwięków”, które współistnieją z tym, co jest widzialne i słyszalne. Sięgając po prozę lub poezję Bieszczada, możemy być pewni, że w głębinie znaczeń świata przedstawionego odbija się metaprzebieżnię zarysowaną intensywnym wsłuchaniem się w to, czego doświadcza bohater opowiadania *Pisarz*. Jest wysoce prawdopodobne, że za postacią obserwowaną przez narratora kryje się sam autor, gdyż nie są mu obce „dźwięki i interwały niedostępne dla niewtajemniczonych uszu”.

Wczytajmy się więc z prozatorskie miniatury zamknięte w zbiorze *Ultradźwięki*. Być może dzięki nim usłyszymy wokół siebie nieodległy szmer zaświata. ■

Maciej Bieszczad, *Ultradźwięki*, Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezyna, Szczecin, Bezrzecze 2023, s. 54.

Blanche, żonie księcia Gwidona Henckel von Donnersmarcka, napisała już tyle, że ponowna próba zmierzenia się z jej pogmatwanym życiorysem wymagała sporej odwagi. Małgorzata Gutowska-Adamczyk, autorka powieści *Podróż do miasta światła* oraz książki popularnonaukowej „Paryż, miasto sztuki i miłości w czasach belle époque”, nie schorzyła przed tematem. Wiedziała, że powstać znanej także pod nazwiskami Teresy Lachman czy La Paivy, małżonki jednego z bogatszych niemieckich arystokratów, to świetny materiał literacki na stworzenie bestselleru. Wyposażona przez reasercherkę Martę Orzeszynę w odpowiednią wiedzę historyczną, autorka luki biograficzne postanowiła wypełnić swoją pisarską wyobraźnią, ale trzymając się dziejowych i geograficznych realiów.

Już tytuł powieści *Jej wysokość kurtyzana*, opublikowanej w warszawskim Wydawnictwie Prószyński i S-ka w 2023 roku, zapowiada, że czytelnik niewyspecjalizowany, nieszukający wyzwań intelektualnych, lecz lektury lekkiej i rozrywkowej, będzie miał do czynienia z tym, co lubi; przełamaniem tabu i skandalizującymi opisami. Upewnia go w tym podtytuł: „Prawdziwa historia kobiety, która z nierządu uczyniła sztukę”. Nie są to puste obietnice. Prozaiczka wiele stron poświęciła na opis dochodzenia bohaterki powieści do opanowania ars amandi, dzięki doświadczeniom rajfurkom. Pierwszą z nich jest, jeszcze w Moskwie, Zinaida Prokofiewna. Kontynuatorką jej dzieła, już w Paryżu, jest Madame Cochard, wprowadzająca Teresę także w praktyczne tajniki najstarszego zawodu świata.

Według pisarki dwie doświadczone mentorki wskazały młodej mężatce żydowskiego pochodzenia, Teresie Lachman, żonie skromnego moskiewskiego krawca, drogę do wyrwania się z okowów nudnego życia i ubóstwa poprzez sprzedawanie swoich wdzięków bogatym mężczyznom. „Skarbonka kobiety znajduje się między jej nogami, więcej niczego nie potrzebujesz” – namawiała ją bez ogródek Zinaida. Najlepszym miejscem do realizacji ambitnych celów początkującej kurtyzany był Paryż, do którego, porzuciwszy męża i dziecko, bohaterka powieści wyjechała.

Autorka, żeby urozmaicić konstrukcję powieści, zastosowała dwutorową narrację trzecioosobową. W jednej relacjonuje chronologicznie życiowe przypadki kokoty w Moskwie, Paryżu, Londynie i Lizbonie. Te rozdziały rozdzielane są fragmentami poświęconymi Katarinie Slepocow, drugiej żonie Gwidona Henckel von Donnersmarcka, napotykającej w komnatach pałacowych Świerklańca namacalną obecność zmarłej Blanki, źródło niepokoju. Rozbicie czasowe miejsc akcji doskonale spaja różnorodne wątki obszernej powieści.

Technika pisarska Małgorzaty Gutowskiej-Adamczyk nie jest zbyt wyrafinowa-

Przypowieść o kurtyzanie

KSIAŻKI

na. Opisy wyglądu postaci ograniczają się do przedstawienia cech anatomicznych, skąpych niczym w policyjnym rysopisie. Sposób ukazywania emocji, przeżyć czy rozmyślań bohaterów ociera się o behavioryzm. Dlatego na frazę opowieści składają się krótkie zdania, równoważniki, co ułatwia pisarce szybkie przenosiny w czasie miejsc akcji. Co za tym idzie słownictwo nie jest wyszukane, zwłaszcza w dialogach kurtyzan pełnych trywialnych zwrotów. Chociaż trzeba przyznać, autorka mężnie unika wulgaryzmów, nawet w opisach erotycznych, które jednak trudno zaliczyć do literacko wybitnych, jak przykładowo łóżkowe baraszkowanie Hertza z Teresą: „Najpierw okrył pocałunkami całe jej ciało, a gdy już prężyła się, gryząc palce i marząc, aby wreszcie podążył do celu, bo gorąca i drżąca wagina nie mogła się go doczekać; całując ją i delikatnie liżąc, doprowadził do szpanu rozkoszy”.

Silną stroną powieści Gutowskiej-Adamczyk jest wartka akcja, pełna nieoczekiwanych zwrotów, potoczyste dialogi odsłaniające emocje bohaterów. Jednak akcenty fabuły rozłożone są nierównomiernie. Wiele uwagi pisarka poświęca uwodzeniu przez Teresę kompozytora Hertza. Erotyzm odgrywa w tych scenach większą rolę niż muzyka. Mniej miejsca na stronach książki zajmuje seksualne usidlenie biednego jak mysz kościelna markiza Albina Francisco Araujo, ukazanego jako oszusta dybującego na majątek kurtyzany. Jedyńą korzyść, jaką Teresa wniosła z tego związku był tytuł markizy La Paiva, którym chętnie się szczyliła na salonach paryskich, podobnie jak nowo przybrany imieniem Blanki.

Właśnie jako Blanche, kobieta już trzydziestoletnia, poznaje dwudziestoletnia, pruskiego młodzieńca Gwidona Henckel von Donnersmarcka. Erotycz-



RYSZARD BEDNARCZYK

ne przyciąganie zbliża ich do siebie nie mniej niż pieniądze oraz zainteresowanie bankami, akcjami giełdowymi czy inwestycjami w przemysł. Wspólne działania pary pomnażają ich bogactwo. Zawierają ślub. Blanka staje się właścicielką pałacu w Paryżu, gdzie urządza elegancki salon. Ale to nie koniec uśmiechu fortuny. Gwidon zauroczył postacią Blanki buduje dla niej elegancki pałac w rodowych włościach w Świerklańcu, gdzie zamieszkują po wydaleniu z Paryża z podejrzeniem szpiegostwa dla Prus.

Autorka, czego dowodzi charakterystyka Blanki ukazana w powieści, nie darzy swojej bohaterki nadmierną sympatią. Przedstawia ją wprowadzając jako kobietę inteligentną, zaradną, przebiegłą, która poznała życiową niedolę, doznała upokorzeń, może dlatego jest damą bez serca, skrajnie wyrafinowaną w dążeniu do bogactwa w usidlaniu bogaczy. Niechętna macierzyństwu skłonna jest jedynie urodzić potomka hrabiemu. Czy potrafiła naprawdę kochać? Trudno osądzić na podstawie tej książki. Sam Gwidon przedstawiony jest w nieco lepszym świetle, aczkolwiek bardzo stereotypowo jako nowoczesny przedsiębiorca zapatrzony w zyski przynoszone przez kopalnie, huty i gospodarstwa rolne. Interesowność pomieszana z erotyką spoila jego związek z Blanką. W oparach literackiej fikcji gubi się historyczna prawda o Teresie Lachman i Gwidonie Henckel von Donnersmarcku, mimo zdemaskowania przez autorkę plotek o zakonserwowaniu ciała kurtyzany w formalinie i jej śmierci podczas konnej jazdy. ■

Małgorzata Gutowska-Adamczyk, Jej wysokość kurtyzana, Prószyński i S-ka, Warszawa 2023, s. 579.

Polski film i fotografia nowego wieku na tle kultury wizualnej. *Widma, antropocienie, sztandary* Justyny Hanny Budzik, obszerne opracowanie poświadczające dużą erudycję autorki, stanowi istotne ogniwo spajające kulturę wizualną i jej wytwory ze współczesną myślą filozoficzną w łonie meta-dyskursu humanistyki. Przywołane są trzy kategorie interpretacyjne: widma, antropocienie i sztandary, które stają się określeniami-wytrychami dla zerknięcia z odmiennego punktu widzenia na obraz filmowy i fotograficzny i tarzyszącą im rzeczywistość.

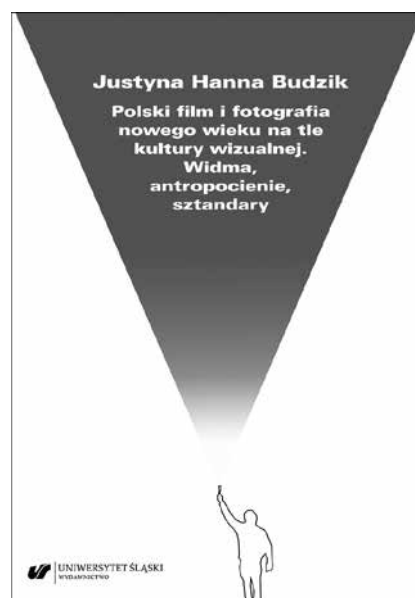
Filmoznawczynie, dobierając starannie materiał badawczy, zwraca uwagę w swych analizach i wnioskowaniach na zjawiska i procesy, które zarówno w prezentacjach fotograficznych oraz audiowizualnych (współczesny film polski po roku 2000, choć autorka stosuje dla obydwu kategorii w celu większej przejrzystości frazę „[...] nowego wieku”) nie były, jak dotąd, szerzej komentowane na rodzimym gruncie.

Obfitym podglebiem dla całości wywodu, w którym zasadniczy fundament stanowi myśl amerykańskiego teoretyka kultury, Nicholasa Mirzoeffa, jest otwierający rozdział teoretyczny, w perspektywicznym skrócie rzucający snop światła na zakres poruszanej tematyki, uzasadniając wybory, dobór i selekcję materiału. W rozdziale tym badaczka naświetla czytelnikowi koncepcję tomu, uzasadnia logikę wywodu i wyjaśnia, dlaczego z bogatego repertuaru współczesnej myśli filozoficznej „nawiedzającej” humanistykę swoją refleksję oparła na trzech filarach: widmach, antropocieniach i sztandarach.

W rozdziale kolejnym (*Widma: nawiedzone czasy i miejsca*), odnoszącym się do konceptu widmontologii, intelektualną osnową konstruowanej przez Budzik opowieści są idee francuskiego filozofa Jacques’a Derridy (hantologie). Czymże jest to określenie kojarzące się z duchami, zjawami? No właśnie. Tutaj otwiera się nietypowa a zarazem ożywcza koncepcja: rzeczywistości obleczonej w figurę metaforycznego ducha. Tworu, który nie jest ani obecny, ani nieobecny, ani martwy, ani żywy. Jak to rozumieć? Budzik przy pomocy obrazów przybliżyła nam tę myśl, ukazując zwłaszcza, jak dzisiejsze czasy nękane są przez cienie przeszłości i widma przyszłości, oraz jaki wpływ na obecną rzeczywistość mają relikty i pozostałości historii, uparcie rozpychając się w naszym życiu, obnażając kruchość i mimowolność pamięci. A stąd już tylko krok ku hantologicznemu Zeitgeistowi i nostalgii

Cienie przyczajonych widm

KSIAŻKI



JERZY ORAWSKI

za utraconymi, nie zrealizowanymi przyszłościami.

Ekspertka wyjaśnia jednak, czym różni się nawiedzenie (obrazów) od nostalgii i stylizacji retro i że te kategorie są niezbieżne. Rozwija te pojęcia ze szczególnym uwzględnieniem pracowanego resentymentu i pojęcia retro krytycznego, któremu, jak stwierdza, najbliższe jest do obrazów „kina nawiedzonego”. Pierwotny koncept Derridy, poszerzony przez Simona Reynoldsa i Marka Fishera, autorka rozbudowuje o własne spostrzeżenia, czerpiąc również z ustaleń wypracowanych na gruncie rodzimej duchologii (Olgi Drendy).

Materiał filmowy i fotograficzny, który badaczka rozpatruje w kategorii widm to obrazy nurkujące w czasy PRL Budzik przygląda się zwłaszcza takim realizacjom, gdzie ukazane jest socrealistyczne, urbanistyczno-mieszkalne dziedzictwo tamtego okresu. Znikające lub odwrotnie, będące w stanie permanentnej metamorfozy budynki użyteczności publicznej, czy osiedla z wielkiej płyty – to widmowość w pełnej krasie (niedokonane przyszłości). Emblematyczne przykłady widać chociażby w takich obrazach, jak *Zjednoczone stany miłości* Tomasza Wasilewskiego czy w *W-70* – fotograficznym projekcie Nicolasa Grosppierre’a, prezentującym zorskie blokowisko.

W duchach nawiedzających filmy i projekty fotograficzne analizowane przez Budzik, nie chodzi o przeszłość nostalgiczną, jej wyidealizowany obraz w odświeżonej fasadowej retromanii. Nawet nie w tym rzecz, że przeszłość „rozminęła się z prawdą” powodując niemożność osiągnięcia

określonej wizji przyszłości. Głębsze konsekwencje działalności „ducha” współczesnych nam widm powoduje fakt, że w szalenię techniczonym świecie tracimy paradoksalnie zdolność do jakiegokolwiek wyobrażenia sobie alternatywnych przyszłości (akcent apokaliptyczny). Terytoria filmu i fotografii są zatem idealnym obszarem, gdzie widma przeszłości, teraźniejszości i przyszłości są niejako sprasowane, widoczne jak na dłoni, koegzystujące, niczym hipotetyczne stwory – płaszczaki, na jednej, wspólnej powierzchni.

Trajektorię kolejnego, trzeciego rozdziału wyznacza obszar określany mianem antropocienia. Zazębia się on płynnie z kategorią widmowości, czemu znawczynie filmu dała wyraz już we wprowadzającej, międzyrozdziałowej formule przenikań (*Przenikanie (I)*), ujawniając zapowiedź refleksji posthumanistycznej (rozszerzonej na świat nie-ludzki), już we wcześniej prezentowanych materiałach audiowizualnych dotykających widm.

Antropocień, z założeń którego obficie korzysta Budzik, jest koncepcją Andrzeja Marca, na polskim gruncie najgłośniejszego orędownika wyjścia z cienia tego, co nie-ludzkie. Propонуje on ekstrapolację ludzkiego poznania na rzeczywistość, która ma swoje odrębne losy, odrębne istnienie. W tym znaczeniu, na gruncie posthumanistyki, a w bliższej perspektywie humanistyki ekologicznej, czyni krok, który upomina się o rzeczywistość zewnętrzną wobec naszego umysłu i ciała (filozofia bliskości, Mortonowskie „strojenie” z innymi), o symbiotyczne scalenie porządku ludzkiego i nie-ludzkiego (idea czło-

wieka usieciowanego – nie żyjemy samodzielnie, tak samo samodzielnie nie umieramy).

Wybór i opracowanie materiału w tej sekcji, opiera się na założeniach koncepcyjnych ekokrytyki materialnej, z wdrukowaną weń „realistyczną strategią estetyczną” wywiedzioną od polskiego filozofa. Naukownicy fokusuje się zwłaszcza na teorii brudu, „brudnej ziemi”, kurzu, pyłu, piachu, błocie, zarówno w sensie dosłownym, metaforycznym jak też mitycznym. Wszechobecność ziemi, permanentne i nieuniknione bycie-w-brudzie, poza jakąkolwiek kontrolą człowieka, implikuje czytelny przykład oddziaływania tego co ludzkie z nie-ludzkiem.

Bez przywołania ekokrytycznego zaplecza teoretycznego nigdy nie spojrzalibyśmy na polityczny kryminał *Dom zły* Wojciecha Smarzowskiego z tak odmiennej, nie-człowieczej perspektywy, który jest dla mnie przykładem referencyjnym. Badaczka relacjonuje krótko trzon fabuły, po czym konstatuje: „Oba plany czasowe filmu – wizja lokalna i retrospekcje głównego bohatera – rezonują ze sobą, postaci stopniowo upijają się w zniszczonym domu, jedynie błoto z przeszłości zmienia się w śnieg teraźniejszości czasu akcji”. Osadzona została w tym stwierdzeniu kwintesencja materialności, posadowienia na konkretnej ziemi, unurzania w błocie. A ostatnie cytowane słowa zahaczają – jakby mimochodem – o kontekst widmowości.

Zaprezentowany w takiej optyce materiał fotograficzny uwypukla podobną „dwoistość” egzystencji. Przykładem może być cykl *Kraina* Krzysztofa Szlapy. Choć postać ludzka nigdy nie pojawia się w jego kadrach, nawet w roli sztafażu, artysta, czerpiąc obficie z konwencji fotografii krajobrazowej (z natury antropocentrycznej), zdołał „uziemić” człowieka, utrwalić jego zespolenie z miejscem, podłożem, uprawianą rolę. Inaczej sprawy się mają u Adama Pańczuka, który w cyklu *Karczeby*, w inscenizowanych fotografiach bezpośrednio łączy człowieka z ziemią.

Nieco odmiennym charakterem od poprzedzających widm i antropoceni, cechuje się rozdział ostatni, omawiający potencjał obrazu-sztandaru, jako obiektu wywołującego określone emocje: począwszy od dyskredytacji byłego opresyjnego reżimu PRL-owskiego, a skończywszy na kolektywnym gniewie epatującym w odsłonach Marszku Niepodległości. Budzik pracowuje rolę i symbolikę sztandaru oraz wpływ jaki wywiera on na zbiorowe myślenie. Bada jego ideologiczne, polityczne, społeczne i kulturowe konotacje będące motorem kolektywnych poczynań i kanalizacji emocji.

Przykłady utworów przywołanych w tej części wskazują na silną, wspólnotową przynależność, zarówno o charakterze homogenicznym jak też pluralistycznym. Mocno spolaryzowany horyzont nastrojów, pulsuje tutaj niezwykle intensywnie, a temperatura emocji osiąga wysokie wartości. Począwszy od niezgody na uniformizację życia i poddanie swojej woli jedynie słusznej sprawie, poprzez silne narodowo-religijne więzi, aż po elementy zadziorności, gniew i egzaltowany patriotyzm. Przemyślenia zahaczają również o kontestację opresyjnego a czasem agresywnego modelu władzy, uwypuklając niezgodę części środowisk, przede wszystkim młodych osób, na zjawiska związane z pompowaniem rozmaitych ideologii i dogmatów w bieżący wir życia społecznego. W ten nurt wizualnych sztandarów i powiązanych z nimi masowych protestów wpisuje się ważna kwestia metodycznego ograniczania praw kobiet.

Choć rozumieniem ustalenia i nieuniknione ograniczenia przyjęte przez badaczkę, czuję pewien niedosyt w warstwie fotograficznej rozdziału IV. W domenie obrazu-sztandaru widziałbym pewną kategorię treści, poszerzającą w wymiarze odczucia horyzont zdarzeń wspólnotowych działań w przestrzeni publicznej. Takim polem do zagospodarowania w rodzaju niesionego „w ukryciu”, zawołowanego sztandaru, mogłyby stać się treści dotyczące grup słabo akceptowanych, jak chociażby odnoszących się do kondycji mniejszości seksualnych w Polsce.

Propozycją przykładowego, reprezentatywnego materiału mógłby być cykl *Niech nas zobaczą* Karoliny Breguły. Ten prezentowany w domenie publicznej, pozornie niewinny, neutralny w warstwie wizualnej projekt dotyczący par homoseksualnych, wywołał swego czasu historyczne reakcje i doczekał się aktów cenzury i debaty w Sejmie.

Wartością dodaną książki, zupełnie bez precedensu w mojej ocenie, są bujne opisy urywków fabuł przywołanych filmów oraz interpretacje i analiza materiału fotograficznego, jak również wizualizacje fragmentów towarzyszących im opisów z punktu widzenia poruszanej problematyki. W tych wyimkach tekstu wślizgujących się jakby mimochodem pomiędzy surową nieuchronność zawilgości naukowego żargonu, las nazwisk, napór wielkiej ilości faktów i szczegółów (nomen omen niezmiernie istotnych dla specjalisty), lokuje się elegancja, widoczna zwłaszcza dla odbiorcy nie-badacza. Tutaj ujawnia się i w pełni rozkwita literacki kunszt autorki „Dotyku światła. O zmysłowym doznawaniu kina”, trudny do utrzymania w nieco bardziej sformalizowa-

nych sekwencjach publikacji. Weźmy pierwszy z brzegu, opisowy przykład z rozdziału trzeciego (*Antropocenie: ludzki i ziemski punkt widzenia*), gdzie naukowczyni „rozpracowuje” fragment eseju *Krząctwo* Jolanty Brach-Czajny, w optyce „estetyki brudu”. Budzik konstruuje ekfrazy lub tworzy zarys alternatywnego scenariusza dla zwizualizowanej w tym kontekście sceny z filmu *Dziki róż* Anny Jadowskiej: „[...] Kiedy go czytam [*Krząctwo* – J.O.], widzę przed oczyma ujęcia z filmu: dom w planie ogólnym na tle krajobrazu, otwarte okna, wiatr wytrąca z rąk stojącej na balkonie Ewy kołdrę, która spada w piach, na ziemię. Ujęcia na podwórku: porzucone w piachu zabawki, stosy desek i innych materiałów. Sceny w domu: podłogi zasłane przedmiotami, pozrywane folie, chroniące pomieszczenia i rzeczy przed brudem”.

Potem następuje, nie mniej drylująca wyobraźnię, część interpretacyjno-analityczna, rozpoczynająca się mniej więcej następująco: „Codziennosc Ewy w dużym domu na wsi, ciągle w budowie, odsłania syzyfowość prac „zamiatania, ściernia i ustawiania”, które punktuje autorka *Krząctwa*. Takich miejsc, zupełnie zniewalających, wyswabdzających z inercji naukowego rygoru, które mogłyby stać się autonomicznymi opowieściami, skrywa się w tomie całkiem niemało. Przewijając się raz po raz przez karty publikacji, stanowią rdzeń lektury, nadają jej lekkości, charakteru i oddechu, nieczęsto spotykanych w naukowych monografiach. A to czyni z niej lekkostrawny kęs dla każdego czytelnika.

Najnowsza publikacja naukowa Justyny Hanny Budzik to dzieło odważne, pisane ze swadą i godną pozazdroszczenia lekkością pióra, a zarazem utrzymane w ryzach rzetelnego wywodu naukowego. Niełatwa to sztuka. Już to zestawienie umiejętności prowadzenia swobodnej narracji z rygiem naukowej metodologii i przyjętej argumentacji czyni tę pozycję niesłychanie ciekawą. Nie tylko dla wąskiego grona ekspertów buszujących po *terra incognita* odsłanianych przez badaczkę, lecz również (a może zwłaszcza) dla tych osób, które współczesne (nowego wieku) polskie kino i fotografię kochają, ale niekoniecznie zawodowo się nimi zajmują. ■

Justyna Hanna Budzik, *Polski film i fotografia nowego wieku na tle kultury wizualnej. Widma, antropocenie, sztandary*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2023, s. 284.

Swoistym paradoksem jest to, że kiedy Lucyna Sadzikowska publikuje książkę o złożonej historii powołania na Uniwersytecie Śląskim Wydziału Teologicznego, w przestrzeni medialnej odzywa się głos nawołujący do jego likwidacji. W odpowiedzi prof. Ryszard Koziołek, obecny rektor Uniwersytetu Śląskiego, broni teologii pisząc, że: „Nie sposób wyobrazić sobie humanistyki światowej, a tym samym humanistyki na Uniwersytecie Śląskim, bez obecności myśli Orygenesesa, Tertuliana, Augustyna, Tomasza z Akwinu, Jakoba Boehmego, Mistra Eckharta, Friedricha Schleiermachera, Kierkegaarda...” i wielu innych mistrzów, by zacytować tylko przywołany przez Rektora początek listy naukowych znakomitości. Samo postawienie postulatu likwidacji powołanego niespełna ćwierć wieku temu wydziału wydaje się aberracyjnym pokłosiem spodziewanych powyborczych ruchów urządzanej na nowo sceny politycznej. Aberracyjnym, bo jak stwierdza prof. Koziołek: „Sporządzenie tak potężnego nurtu humanistyki do funkcji dostarczania „dowodów na istnienie bogów” dowodzi złej woli lub ideowego zacietrzewieni”. Konkluduje również, że teologia i inne dziedziny nauki wzajemnie się wzbogacają zamiast wykluczać.

Podobnego zdania był Jan Paweł II, który przemawiając do delegacji Uniwersytetu Śląskiego z Katowic, składającej mu podziękowanie za powołanie Wydziału Teologicznego (13 stycznia 2005 r.) tak ową potrzebę uzasadnił: „W klasycznym rozumieniu uniwersytet nie mógł istnieć bez wydziału teologicznego – był jakby niepełny. Dziś to się zmieniło. Okazuje się jednak, że obecność nauk teologicznych wobec innych dziedzin zgłębianych na uniwersytecie, stwarza możliwość cennej wymiany myśli. *Fides et ratio* spotykają się w poszukiwaniu mądrości. Posługują się innymi narzędziami i metodami, ale ubogacają się wzajemnie na drodze odkrywania wielorakich wymiarów prawdy”.

Przedstawienie kulis powstawania Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego, a był to proces wieloetapowy i skomplikowany, wydaje się tym bardziej cenne i niezmiernie aktualne. Lucyna Sadzikowska zbadała skrupulatnie, jak doszło do podjęcia owej decyzji. Zbadała wielowymiarowo: po pierwsze poprzez relacje spisane na użytek niniejszego opracowania, po drugie poprzez przywołanie wybranych artykułów prasowych, które towarzyszyły powstaniu Wydziału Teologicznego.

Wśród obecnych rozmówców oraz autorów ówczesnych publicystyki znaleźli się m.in. abp katowicki dr Damian Zimoń, Tadeusz Sławek, prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, ks. prof. Wincenty Myszor, czy ks. prałat dr Stanisław Puchała. Ów zabieg pozwala na wielowymiarowe odkrywanie przyczyn ociągania się z powstaniem tak istotnego dla uczelni wydziału, ale ukazuje także różnego rodzaju perypetie i sieć różnorodnych działań, powiązań, zachodów, które spowodowały jego powołanie. Przywołany ks. Puchała, patrząc z perspektywy niemal czterdziestolecia, zauważa, że u podstaw działań było budowa-

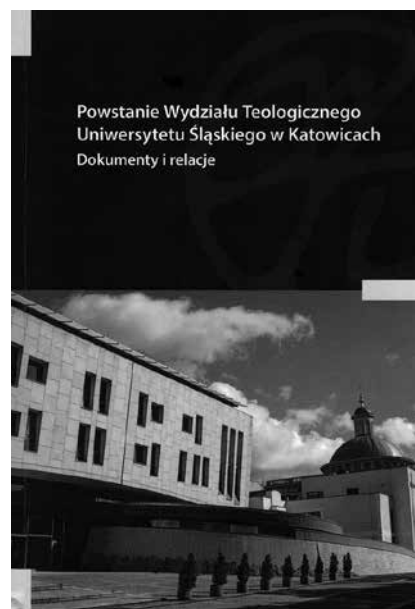
Wydział Teologiczny – historia powstania

KSIĄŻKI

PIOTR SKOWRONEK

nie poczucia wspólnoty i jedności śląskiego środowiska akademickiego, które przybrało na sile po wybuchu „Solidarności”. Z kolei abp. Damian Zimoń stwierdza, że tak ważna decyzja wymagała sporej ostrożności, za stanowienia i woli wszystkich stron procesu. Dlatego, jak wspomina, kiedy: „Rektor prof. Sędzimir M. Klimaszewski w czasie, gdy działała już „Solidarność” w latach 80., przyszedł do mnie i zapytał, czy na Uniwersytecie Śląskim można by utworzyć wydział teologiczny. Powiedział, że byłby za tym. To były czasy świeżej wolności. Zapytałem ówczesnego nuncjusza apostolskiego Józefa Kowalczyka, czy jest realne, aby taki wydział powstał. On na pewno konsultował ten pomysł z Watykanem i po pewnym czasie powiedział, że na razie to nie jest możliwe”. Abp. Senior zwrócił także uwagę na problem usytuowania jego w siatce wydziałów teologicznych pobliskich ośrodków akademickich (Kraków, Opole) i potrzebie przekonania szeroko pojętego środowiska o zasadności jego powołania, którą tak argumentował: „Tak. Owszem. Nie jest to odległość wielka. Ale weźmy pod uwagę ludność. To najbardziej zaludniony przemysłowy teren kraju. To region, który jest rozwinięty w kierunku przemysłowo-górnictwo-hutniczym. I brak nam inteligencji humanistycznej. Dlatego wydział teologiczny bardzo by się w Katowicach przydał”.

Potwierdzenie tego znalazła badaczka w rozmowie z rektorem UŚ w latach 2002–2008 prof. Januszem Janeczkiem, który tak wspomina okoliczności powstawania wydziału: „Inicjatywa wyszła z naszego środowiska akademickiego, a strona kościelna, zwłaszcza w Watykanie, wyrażała wątpliwości, czy aby rzeczywiście w Uniwersytecie Śląskim powinien powstać wydział teologiczny, jeszcze jeden w Polsce. Pamiętajmy, że na początku lat 90. ciągle jeszcze nad Uniwersytetem Śląskim ciążyło odium, absolutnie niezaskuszone, tak zwanego czerwonego uniwersytetu. [...]



Przypuszczam jednak, że przyczyny owych wątpliwości mogły raczej dotyczyć obawy o odpływ kandydatów na studia teologiczne z innych ośrodków akademickich, zwłaszcza z Krakowa”.

Docieklność i rzetelność badawcza monografisty sprawia, że po rozdziale zatytułowanym *Relacje*, w którym przytacza cytowane powyżej rozmowy z wybranymi uczestnikami procesu powstawania Wydziału Teologicznego Sadzikowska umieszcza dział *Aneks. Wybrane artykuły prasowe*. Znalazły w nim miejsce teksty publikowane na łamach „Gazety Uniwersyteckiej Uniwersytetu Śląskiego”, „Gościa Niedzielnego” i „Dziennika Zachodniego” publikowane w latach 1999–2001. Już sam wybór periodyków od akademickiego, poprzez tygodnik katolicki i dziennik lokalny pokazuje spektrum zainteresowania powstaniem wydziału. Wśród autorów artykułów znaleźli się m.in. członkowie komitetu wsparcia idei powołania Wydziału Teologicznego, do którego należeli m.in. profesorowie: Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Kazimierz Marszał, Jacek Jania czy Ireneusz Opacki. O wadze ich stanowisk niechaj świadczą słowa Krystyny Heskowej-Kwaśniewicz: „Kaźde wywołanie tematu obecności wydziałów teologicznych na uniwersytetach budzi bardzo żywe emocje i jest traktowane w sposób poważny, także przez przeciwników, bo jest też dyskusją o miejscu wiary we współczesnym świecie i w sposób najpełniejszy podejmuje problem osoby ludzkiej”.

Powstanie Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Dokumenty i relacje. Wprowadzenie i edycja Lucyna Sadzikowska, Centrum Badań nad Historią Kościoła im. Ks. Wincentego Myszora, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2023, s. 338.

Kazimierz Wyka pisał, że w przypadku jednostki wybitnej „pod biogramem rzeczywistym ukrywają się biogramy możliwe i domyślne. Z węzłowych stacji życia pociąg mógł pojechać inną trasą, aniżeli ta, którą przemierzył naprawdę”. Księga jubileuszowa dedykowana Andrzejowi Grajewskiemu w siedemdziesięciolecie twórczego, pracowitego życia, tę refleksję w pełni potwierdza.

Zarówno życie Jubilata, jak i dokonywane wybory, niebanalne, często idące pod prąd, zawsze niełatwe i w pewnym sensie osobne, jak i wartościowy dorobek twórczy pokazują wiele jego możliwości i szans. O tym mówią pierwsze teksty: *Wstęp od redaktorów* (przyjaciół z Centrum Historii Zajezdnia), *List abpa Adriana Galbasa* oraz *List abpa Damiana Zimonia*. W pierwszym z nich czytamy: „Andrzej Grajewski jest człowiekiem niezwykłym. Rzadko się zdarza, by jedna osoba łączyła w swojej aktywności pasje badacza, dziennikarza i społecznika zaangażowanego w sprawy publiczne”. Abp Galbas wskazuje jeszcze odważne zaangażowanie „niestrudzonego reportera wojennego”, a my dodajemy, że Grajewski mógł też zostać politykiem – dobrze wykształconym i roztropnym, wyspecjalizować się jako dziennikarz śledczy, pewnie też byłby skutecznym detektywem, by już innych ról nie wylizywać. Wystarczy przypomnieć, że to on jako wolontariusz pomagał przekazywać pomoc podczas trzęsienia ziemi w Armenii w roku 1988, a na prośbę bp. Czesława Domina przewiózł z dużym ryzykiem transportem sanitarnym dewocjonalia i wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej do Erywania, dla kaplicy Sióstr Matki Teresy z Kalkuty. W roku 1991 dotarł z konwojem PCK do chorwackiego miasta Daruvar, obleganego przez Serbów, a w cztery lata później wiozł z konwojem Caritas pomoc dla Czecheni i wraz z rosyjską lekarką dotarł do szpitala w Groznm. Kilkakrotnie narażając życie przekroczył linię frontu w czasie walk na Ukrainie w okolicy Mariupola.

Najważniejszego wyboru dokonał w roku 1981, gdy po odejściu ze Śląskiego Instytutu Naukowego, rezygnując z innych możliwości, zatrudnił się w „Gościu Niedzielnym”, szybko zdobywając zaufanie kolejnych „naczelnych” i czytelników. Jubilat nie pracując w placówce naukowej, ma jednak warsztat i dorobek profesorski, więc jako publicysta jest wiarygodny i rzetelny. Zacytujmy: „Poszukując prawdy, szczególnie o przeszłości, Andrzej Grajewski jako uczonego bardzo często otwierał nowe pola badawcze i inspirował innych”. A otwierając owe pola badawcze zwykle bronił spraw niepopularnych i ludzi krzywdzonych. Jego aksjologia, choć nie wznoszona na transparentach, jest czytelna i oczywista, jest w niej wrażliwość społeczna i wyczuwanie na fałsz i dzielnosć, nie ograniczana koniunkturalnym uwarunkowaniami.

Główne zainteresowania Jubilata określa tytuł książki: *Kościół. Wschód. Solidarność*. Istotnie, ale obok głównych tematów są i inne ważne, z których można by złożyć jeszcze kilka „ksiąg”. Ta omawiana składa się z czterech części, w której każdy czy-

Księga dla Andrzeja Grajewskiego

KSIAŻKI

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

telnik znajdzie dla siebie coś interesującego. Po wspomnianych „wstępach” pomieszczono dwa eseje. Naprzód: *Drobiazgi cenzorskie* Andrzeja Nowaka, celnie trafiające w doświadczenia Jubilata, „weterana bojów z cenzurą późnego już PRL”, a opisujące debiut Mickiewicza w „Tygodniku Wileńskim” oraz tomik Leopolda Staffa *Siew doli* dozwolony przez Cenzurę Wojenną w Charkowie w roku 1916. I przypadek trzeci: Kazimierzy Iłakowiczówny *Poezje 1940–1954*, wydane w roku 1954 przez wydawnictwo PAX, z dopisaną na cienie bibuły poruszającą *Litaniją kochających Jezusa*, a dedykowaną przez poetkę I sekretarzowi POP w Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Lotne słowo chytrze omija cenzorskie pułapki, ocalając dla potomnych sprawy istotne, zdaje się być mottem tego tekstu. Fascynujący jest również esej Jana Żaryna o niezwykłych dziejach *Litanii z Oranienburga* Bożysława Kurowskiego.

Teksty naukowe dedykowane Jubilatowi złożone zostały przez badaczy z różnych ośrodków naukowych, uniwersytetów, muzeów, instytutów i są komplementarne wobec dorobku Jubilata. Poruszają głównie kwestie związane z życiem Kościoła w Polsce i bolesnymi uwikłaniami naszej historii. Poprzez wszystkie rozprawy – od artykułu Pawła Skibińskiego *Sosunek Episkopatu Polski do narodowego socjalizmu przed wybuchem II wojny światowej* aż po tekst Filipa Musioła o *Rakowieckiej 37 – znaczeniu byłego więzienia, jako miejsca pamięci dla wspólnoty z doświadczeniem totalitaryzmu* – będzie wspólna refleksja o potrzebie nieustającej weryfikacji i uzupełniania dotychczasowego stanu wiedzy oraz konieczności utrwalania jej u idących pokoleń, ustawicznego budowania *loci communes* między generacjami.

Część ostatnia zawiera wybrane teksty Andrzeja Grajewskiego, które zdaniem redaktorów obrazują jego „największe pasje”,



wszakże uważny czytelnik podczas wieloletniej lektury dostrzeżł więcej pasji (a Jubilat potrafi być pasjonatem także w sensie emocjonalnym), także tych świadczących o jego temperamencie jako polemisty. Znalazły się tutaj nie tylko rozprawki, czy eseje, ale także świetne, o niebywałej dynamice reportaże i wywiady świadczące o umiejętności budowania dialogu. Zwrócić jednak trzeba uwagę na *Wartości podstawowe*, szkic dotyczący wprawdzie związków „Solidarność” z Kościołem, ale zarazem wskazujący na to, co prymarne również dla samego Autora: kanon wartości chrześcijańskich i szeroka tolerancja. Czytając po latach *Pielgrzymkę nadziei*, *Popielec w Erywaniu* czy *Sowiecki trop* odczuwamy wciąż te same emocje, co przed laty i gorące tętno tamtego czasu. A kreśląc portret Lecha Kaczyńskiego w szkicu *Prezydent, którego nie znaliśmy*, z niezwykłą wrażliwością pokazał Grajewski człowieka, który nie szukał taniej popularności, ale był *semper fidelis*.

Dobrze, że pociąg życia Pana Redaktora zatrzymał się na stacji „Gość Niedzielnym” i za abp. seniorem Damianem Zimoniem powtarzamy: dziękujemy za dobro, „które dzięki panu zdarzyło się w Kościele, i tym lokalnym, katowickim, i w Polsce”. Autorka recenzji ma szczególne powody do wdzięczności za to, że Andrzej Grajewski piórem i czynem stanął po stronie osób broniących wiarygodności *Wieży spadochronowej* Kazimierza Gołby. ■

Kościół. Wschód. Solidarność. Studia, materiały i eseje dedykowane doktorowi Andrzejowi Grajewskiemu na jubileusz siedemdziesiątych urodzin, red. Łukasz Kamiński, Wojciech Kucharski, Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”, Wrocław 2023, s. 460.

Trudno o oryginalność w stwierdzeniu, że ostatnie lata to czas dla świata trudny i bywa, że przygnębiający, a jednak świadomość tego wciąż zaskakuje i niepokoi. Poczucie przesilenia, deorientacja moralnego kompasu, doświadczenie bezradności współczesnych technologii wobec dyktatu natury, kłamstwo jako stały już element publicznego dyskursu, niemożliwa wojna, która stała się możliwa – wszystko to podkopało grunt, na którym budujemy poczucie pewności, sensu i szczęścia.

Po wybuchu pandemii wraz z wprowadzeniem zbiorowej kwarantanny, gdy moje wizyty w pracowni, która znajduje się w budynku publicznym, stały się zakazane lub niebezpieczne, pracę przenieśliśmy do domu, z wszelkimi tego ograniczeniami. Początkowo potraktowałem malowanie na papierze jako coś wymuszonego i trochę przejściowego. Ta technika z czasem mocno mnie jednak pochłonęła, oferując szereg nowych wrażeń i możliwości. Papierowy podkład nadawał mieszanej technice (kolorowe kredki, farby akrylowe i olejne) lekkość, delikatność, wy-

dawał się w kontakcie bardziej intymny i bardziej terapeutyczny niż oficjalność wielkoformatowego płótna i intensywna mięsistość olejnej faktury. Na przestrzeni dwóch lat powstało około 70 obrazo-rysunków malowanych w takim rytmie, że każdy następny wynikał po części z poprzedniego lub był poprzedniego antytezą. Klamrą spinającą cały cykl stał się po prostu czas, w którym powstawał. Czas pytań o to, co najważniejszego możemy zatrzymać, jeżeli tak wiele może być nam odebrane. To, co wcześniej wydawało się banalnie oczywiste: niedoceniona zwykle codzienność w jej prozaicznych przejawach, możliwość kontemplowania otaczającego nas świata, przewidywalność jutra – ukazało się jako dar, prezent z nieokreśloną gwarancją. Myślę, że wiele prac właśnie do tego się odnosi. Inne są inspirowane pejzażem lub dokładniej: są opowieścią o przestrzeni wytyczonej elementami natury. Tu, jak sądzę, w intencję oddania zmysłowości i piękna natury wkradł się niepokój, przecucie nadchodzącej burzy, nieubłaganego fatum. Tak więc konkretna atmosfera i stan

ducha znajdują się u źródła tych obrazów. Ale powód bez jego zapisu, dotykanej implikacji, nie jest jeszcze malarstwem. Zapis może przenieść treść w takie miejsca, że oznacza ona także coś innego, niż pierwotnie znaczyła; może poszerzyć zaskakująco skalę interpretacji, odnieść ją w rejony czystej zmysłowości. Zapis malarski opiera się na specyficznym alfabecie – systemie rodzących się wciąż na nowo niepowtarzalnych znaków i ich niewyczerpanych modulacji. To twórca wpływa na ich orkiestrację, lecz często dzieje się to poza jego świadomością, jest wynikiem czystej intuicji. Wobec współczesnych, przeważnie elektronicznych perfekcyjnych metod powielania i tworzenia obrazu, ten przypisany malarstwu alfabet, tak odmienny poprzez swoją archetypiczność, jest wciąż atrakcyjny, bo po prostu bardzo ludzki. Moment przekroczenia granicy pomiędzy powodem, osadzoną w rzeczywistości inspiracją, a owym magicznym światem znaków, do którego zostajemy niejako zaproszeni, jest dla mnie w procesie powstawania obrazu kulminacją. I uzależnieniem. ■

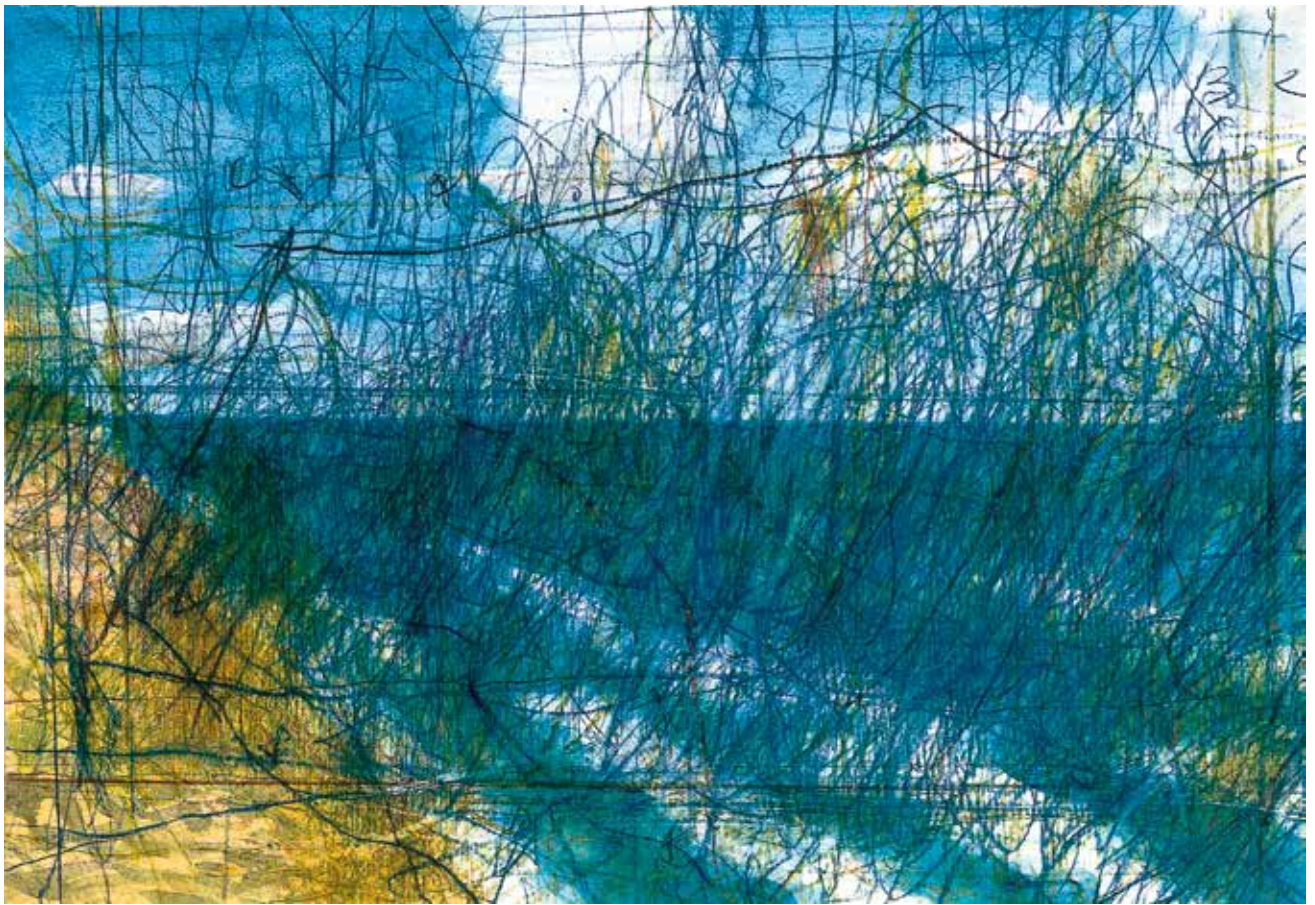




Z cyklu *Wokół domu*, 88x61cm, papier, technika mieszana, 2021



Z cyklu *Wokół domu*, 42x61cm, papier, technika mieszana, 2022



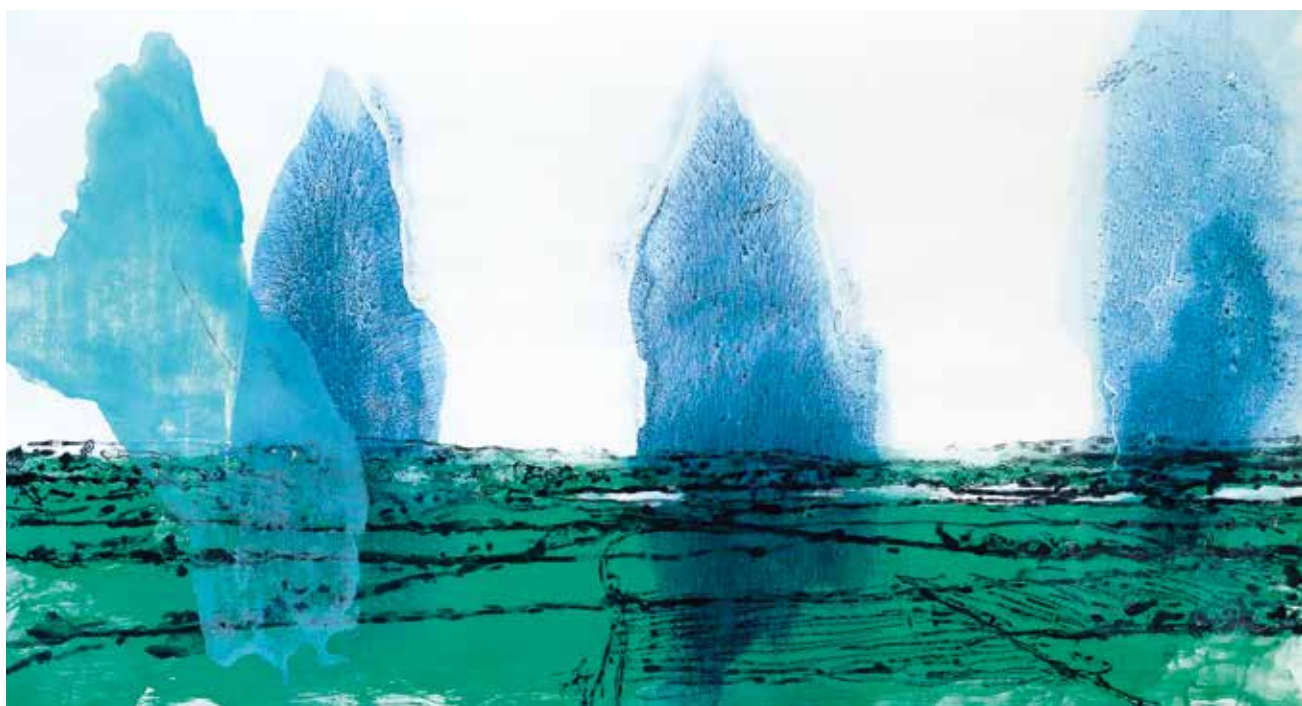
Z cyklu Czas na zmianę pogody, 42x61cm, papier, technika mieszana, 2020



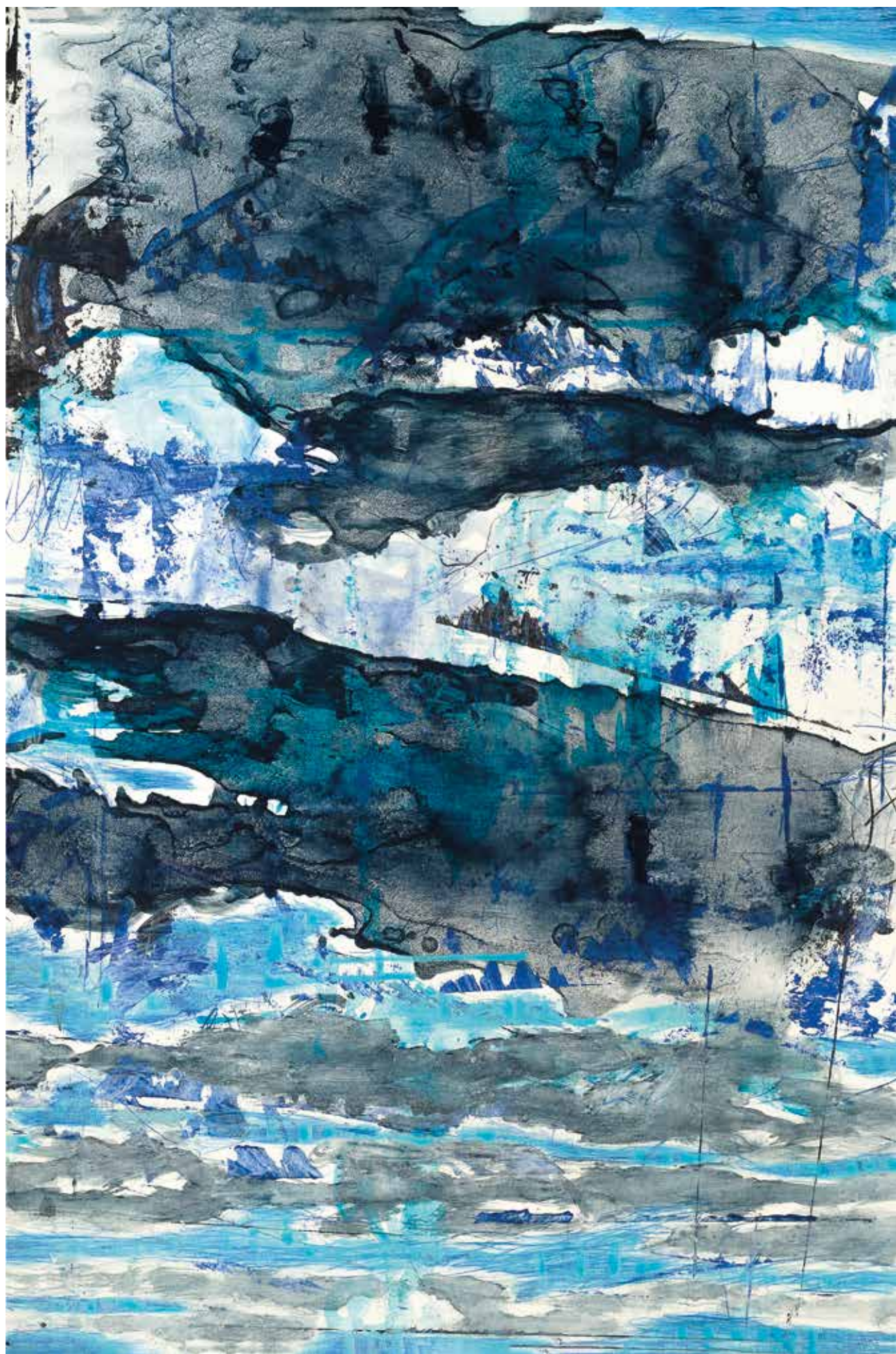
Z cyklu Czas na zmianę pogody, 62x91cm, papier, technika mieszana, 2020



Z cyklu Czas na zmianę pogody, 61x91cm, papier, technika mieszana, 2022



Z cyklu Czas na zmianę pogody, 49x91cm, papier, technika mieszana, 2022



Przedsiónek wtajemniczenia

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Najpewniej jestem człowiekiem starej daty, ponieważ czytanie uważam za rytuał, w którym nie widzę miejsca dla urządzeń cyfrowych. Innymi słowy, nie potrafię czytać trzymając w ręku plastikowy ekran w ramce. To musi być prawdziwa książka z papieru o przyjemnej, delikatnej fakturze, z budzącą zaufanie i zachęcającą okładką. Do tego garnuszek herbaty Earl Grey z miodem i cytryną, przytłumione światło – i łożko. Tak, wołam przewracać kartki niż ślizgać opuszką palca po ekranie. Jak seks, czytanie jest czynnością intymną więc ważne są odpowiednia atmosfera, odpowiednie otoczenie i odpowiedni czas, zwykle wieczorem. Nigdy nie udaje mi się czytać w autobusie lub samolocie – tam nie ma nastroju. Poza tym w takim otoczeniu brak miejsca na intymność, a ja nie znoszę, kiedy ktoś mi zagląda przez ramię, żeby zobaczyć, co czytam. (Na swój sposób podziwiam aktorki i aktorów występujących w filmach pornograficznych, bo potrafią wykonywać swoją zgoła niełatwą pracę przy światłach, kamerach i obsłudze planu; mnie zalałaby krew, gdyby ktoś mnie podglądał.) Każda książka ma swoją wyjątkową osobowość i dlatego każdą książkę traktuję jako partnerkę na kolejnym etapie wnikania w siebie, w rzeczywistość, we wszechświat.

To samo dotyczy wydawnictw dźwiękowych. Mówię „wydawnictw dźwiękowych” mając na myśli płyty, wszystko jedno czy winylowe, kompaktowe, czy jakieś inne. Już samo dotknięcie pudełka przynosi poznawczy dreszcz, a jeszcze są i książeczka (nie boklet tylko książeczka, do jasnej cholery!; biedny Mikołaj Rej w grobie się dzisiaj przewraca) i sama płyta, oczywiście z nadrukiem. Internet, telefon komórkowy czy cyfrowa tabliczka ze słuchawkami, które zapewniają iluzję obcowania z dźwiękiem to narzędzia zbrodni na zmysłach i przeraża fakt, że setki milionów, nie, miliardy ludzi dało się w to wrobić, bo to nie jest słuchanie tylko napychanie się dźwiękowymi hamburgerami. Naprawdę nie wyobrażam sobie rozkoszowania się Trzecią Beethovena za pośrednictwem iPada (zresztą nie mam iPada i nie planuję kupna) – toż to jak połykanie na obiad tabletek zamiast radości spożywania prawdziwego posiłku. Nie tyle słuchamy muzyki, ile zżeramy jej namiastkę. A jeśli nagle słyszemy coś, co rzeczywiście zmusza do słuchania – uciekamy od tego jak przed zarazą, bo zaakceptowaliśmy krótko-oddechowość miast oddychania pełną piersią.

To wszystko, co napisałem odzwierciedla wyłącznie mój pogląd na te zagadnienia. Skła-

małbym, gdybym powiedział, że nie znam osób, które lubią czytać książki za pośrednictwem urządzeń Kindle i tym podobnych. Albo osób, które lubią używać Internet jako wygodne medium rozpowszechniania i słuchania muzyki. To wszystko, co napisałem odzwierciedla moje odczucia i proszę mi wierzyć, iż nigdy nikogo nie będę zmuszał do zaakceptowania mojego sposobu odbioru sztuki jako „lepszego”. Nic z tych rzeczy! I zgodzę się przy tym z opinią, że Internet jest znacznie tańszy, bo rzeczywistość nie trzeba inwestować w odtwarzacz płyt, głośniki – i same płyty, które w moim przypadku, jak książki, zajmują dużo miejsca. Ale i tak lubię je zbierać.

Właśnie wpadła mi w ręce płyta Alicji Molitorys pod tajemniczym tytułem *Kioloik*. Sam tytuł jest sympatycznie zagadkowy – ładnie brzmi i ładnie wygląda; jego naturę objaśnia kompozytor dzieła, wrocławianin Paweł Hendrich: to tytuł bezznaczeniowy, abstrakcyjny; jego palindromiczna budowa aluduje do symetrycznej formy utworu. Takie lingwistyczne zabiegi nie są mi obce (aennea na gitarę solo, XONNOX na dwa fortepiany), więc rozumiem kompozytora.

Alicja Molitorys to znakomita flectistka. Obdarzona ogromnym talentem studiowała w katowickiej Akademii, uzyskawszy w roku 2000 dyplom z wyróżnieniem. W 2022 w Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina obroniła pracę doktorską zatytułowaną *Rola flectisty w procesie twórczym kompozytora na podstawie wybranej literatury solowej i kameralnej XXI wieku*. Muzykę współczesną traktuje nie jako ciekawostkę, dodatek do repertuaru, lecz poświęca jej mnóstwo uwagi. Jest pierwszą flectistką Orkiestry Muzyki Nowej, którą Szymon Bywalec wprowadził na światowy poziom. Alicja pracuje w OMN od 2000 roku – godne podziwu poświęcenie sił i czasu. Udziela się jako solistka i kameralistka, zamawia nowe dzieła. W sferze jakże trudnej, muzyki na flet i elektronikę, jest niedościgną. Dysponuje fenomenalną techniką oraz, co uważam za znacznie ważniejsze, badawczą intuicją, która umożliwia jej, jak mało komu, utożsamić się z danym dziełem, zespolić z nim w wyniku czego ta złożona muzyka ożywa, zachwyca, przekonuje.

Kioloik to zbiór, który można określić mianem przedsiónek wtajemniczenia: zawiera tytuły, które można by ustawić progresywnie od stylistycznie przystępnych do tych wymagających, stanowiących wyzwanie dla tradycyjnych słuchowych nawyków. Po tej „przy-

stępniejszej” stronie dźwiękowego spektrum znajdujemy utwór Joanny Szymali [Śląsk nr 324] *Moja shikantaza* (2010) na flet, altówkę i harfę. Shikantaza to jedna z buddyjskich technik medytacyjnych, którą chce w dźwięku uchwycić kompozytorka. Subtelna, piękna muzyka, może jak na mój gust zbyt „piękna”, ale taka muzyka też jest potrzebna, gdyż jest lekarstwem na nasz codzienny spleen (aluzja do Debussy’ego w pełni świadoma). Potem *Fantasia e Ritornello* (2012) na flet i fortepian autorstwa Marka Grucki. I tu słyszysz liryczne wpływy wielkiego Francuza, co jest zaletą, bo jeśli już nawiązywać do jakiegoś stylu to czemu nie impresjonizmu. Tyle mamy marnych imitacji muzyki romantycznej, więc odwołania do stylistyki impresjonistycznej a także idiomów Bartoka i Góreckiego (Górecki więcej zawdzięcza Bartókowi niż się wydaje!) są tu na miejscu. *Finis Temporis* (2018) Philipa Czapłowskiego na flet solo to muzyka aluzyjna – punktem odniesienia jest tu fletowa muzyka Jana Sebastiana – a Czapłowski robi to dobrze. *Green Mazurka* (2016) Nikolety Burzyńskiej na flet, wolonczelę i fortepian czerpie z estetyki Góreckiego, ale i George’a Crumba, co w tym przypadku nie jest zarzutem – jeśli sięgać po wzory, to czemu nie te (jeszcze) świeże. Dobry utwór, choć mamy tu do czynienia z zastanawiającym „materii pomieszaniem” („Dlaczego jazda wołoska zowie się lekka? Bo lekko ucieka”). Udane są oba utwory Przemysława Schellera: *Pieśń o blasku wody* (2013) na flet solo oraz *Geometria paradoksu* (2019) na flet altowy, Sampo (to taki instrument) i taśmę. Szczególnie ten drugi utwór podoba mi się za względu na barwność, bogactwo faktur i nietypową ekspresję. Wreszcie *Koloik* (2012) na flet solo, kompozycja Pawła Hendricha, w której twórca dokonuje mądrych wyborów kolorystycznych – nie wrzuca wszystkiego do jednego kotła tylko selekcjonuje i w rezultacie daje nam fascynujące studium możliwości fletu.

Wielka artystka. Wielka płyta.

Dodatkowe korzyści z książek. Recycling

pożytek z książeczek i książ
bywa rozmaity

wieczorem
tuż przed snem
nim położymy się do łóżka
(gute nacht!)
bierzemy książkę
(jeśli mamy taką w domu)
i zaczynamy ćwiczenia

idziemy z książką
na głowie
stopa za stopą
(możemy zamknąć oczy)

pytacie państwo
„jaką książkę?”
tu chodzi nie o książkę
lecz o równowagę

stawiamy stopy
delikatnie
jakbyśmy mieli
spaść
w przepaść
(in alle Richtungen)

odkładamy książkę
na bok
„jaką książkę?”
może być książeczka
do nabożeństwa
może być
telefoniczna
365 dni
Blanki Lipińskiej
Start a Fire
P.S. Herytiera
Kup kota w worku
Zamek
Apokalipsa
wszystko jedno
może być
denominowana

idziemy prosto
z otwartymi oczami
(als wollten wir
die Dunkelheit
durchdringen)

rozkładamy ramiona
niczym Budda
narodów

pamiętając
że życie to walka
przestajemy

oddychać

Oferma dydaktyczna

Uczył nas metafizyki znaków interpunkcyjnych.
Religijne znaczenie kropki. Teleologiczne użycie przecinka.
Ontologia myślnika. Epistemologia znaku zapytania.

Potem godzinami teoretyzował o śmierci,
a my umieraliśmy

z nudów.

Pan od marketingu

Nasz pan od marketingu to był
pistolet
w świecie niewypałów.

Równo przycięta bródka,
włosy – pomada mat,
pręgowany garnitur,
krawat,
poszetka,
spinki,
buty ze skóry krokodyla
wege.

Co jeszcze?

Mobile
najnowszej generacji,
wyczesany zegarek,
(zgodnie z zapewnieniami
producenta
na tyle niezawodny,
by co najmniej o 30 minut opóźnić
wybicie ostatniej godziny)
oraz intensywny zapach
Fahrenheit 451
który rozpalał
zmysły
siedzących w pierwszych ławkach dziewcząt
na tyle intensywnie,
że te z ostatnich
zastanawiały się,
czy kręcić 112
czy biec po gaśnice.

Nasz pan od marketingu to był
pistolet
w świecie niewybuchów.

Na jego zajęciach
Czarnej Owcy czerwieniały
paznokcie,
Czcionce
rosły push-up'y,
Papiusowi
sypnął się wąs,
a ciało
Białego Kruka
zamiast
kurtki ze skóry
porosło
nagle marynarką.
Gdy inni na wykładach

często mówili tak
jakby to nic mówiło
do nikogo
o niczym,
on w swych wywodach
bywał nadzwyczaj konkretny.

Jego prezentacje w power poincie
były niezwykle klarowne,
a notatki, które nam dyktował
trafiały w punkt,
o istnieniu, którego nawet seksuolodzy
nie mieli pojęcia.

Trudno się dziwić:
esperanto ekonomii
okazywało się zrozumiałe
nawet dla językowych analfabetów,
a logika sprzedaży i kupna
na tyle prosta,
że rozumeli ją nawet ci,
którym przyszło powtarzać klasę
z powodu matematyki.

Oczywiście jak wszyscy
miewał swoje
fobie fanaberii –
zamiast wolności
cenił dyscyplinę,
zamiast swobody
wyznawał skuteczność.

Nie trawił niektórych gatunków.
Nie považał po równo rodzajów.

Starsze roczniki opowiadały,
że kiedyś dostał wstrząsu anafilaktycznego
na słowo
liryka
i omal nie umarł
ze śmiechu,
gdy któryś z nas wyznał,
że pisze eseje.

Gdy inni z porośniętych
mchem i patyną
notatników
opowiadali nam o sposobach
moszczenia się na grzędach
bibliotecznych półek,
technikach artystycznych
wyrzeczeń
w postaci całodobowego wyżywienia
chińskimi zupkami,
on twierdził,
że nie tędy droga
i zamiast o wierszu wolnym
robił nam pogadanki
na temat uroków
wolnego rynku.

Gdy inni na ćwiczeniach
opowiadali nam o fabrykach ideologii,
warsztatach wytwarzania wartości,
manufakturach myśli,
które wykuwa się następnie na ścianach
bibliotek,
więc większość z nas
chodziła potem z głowami

bujającymi w chmurach,
on jednym zdaniem
sprowadzał nas
na ziemię
obiecana.

Zamiast myśleć o literackich zaświatach –
przekonywał – powinniście pisać
na krótszych dystansach.

Następnie opowiadał o tych,
którzy potrafili
monetyzować
ból,
zamieniać słowa
w złoto,
wymieniać wieloznaczne
litery
na wymierne
cyfry.

Produkcja, dystrybucja, konsumpcja –
rapowaliśmy chórem
fantazjując równocześnie,
że biegle mówimy językiem
sześciu zer,
choć prawdę mówiąc
niewiele mieliśmy
do powiedzenia.

Po jego zajęciach chłopaki
próbowali wymieniać zarobione w grach
v-dolce na bilon bitcoinów,
a dziewczyny marzyły,
że będą jak Blanka
serfować na falach
programów śniadaniowych
i tonąć w objęciach
przystojnych prezenterów.

Byli jednak i tacy,
którzy w nocy budzili się z krzykiem,
bo wydawało im się,
że widzą majaczące na horyzoncie
koszmary kredytów,
upiory debetów,
widma bez pracy,
a Niewidzialna Ręka Rynku
zaciska swoje szpony
na ich szyjach

i kartach.

Nasz pan od marketingu to był
długopis
w świecie gumek-myszek.

Nawet jego najwięksi fani
byli zaskoczeni,
gdy na ostatnim zajęciach
zamiast zaliczeniowej
pointy
wręczył nam

fakturę.

Czyżby jednak „Pieśń św. Wojciecha”?

JAN MALICKI

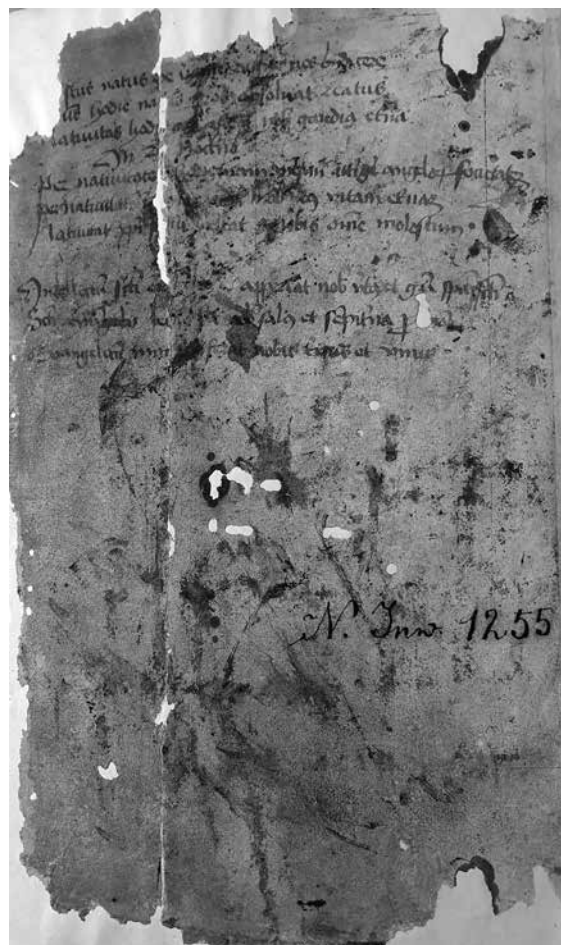
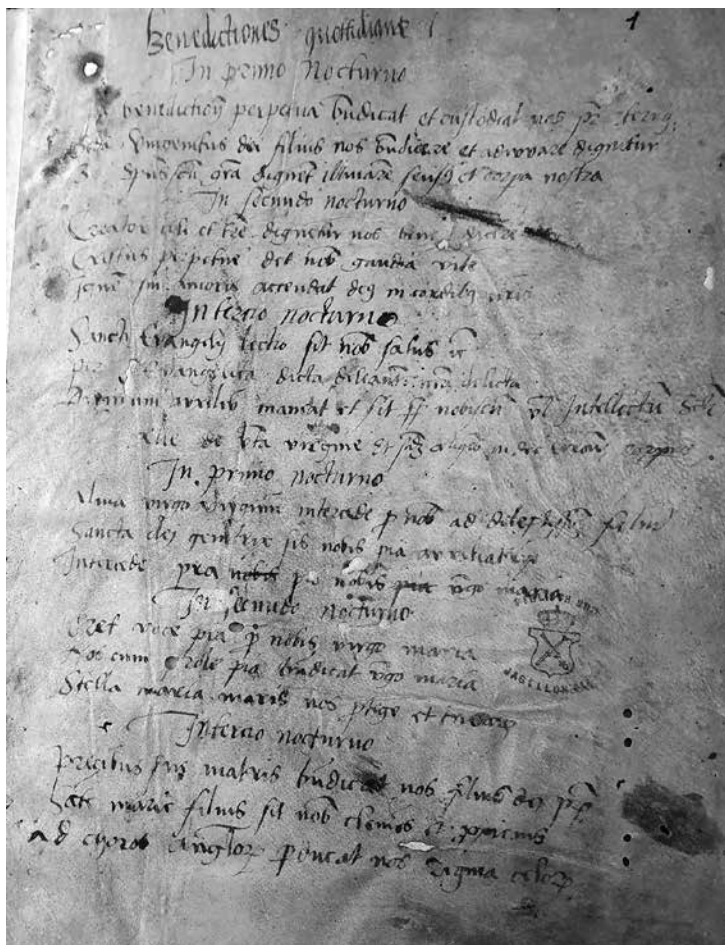
Bogurodzica wciąż jest pieśnią tuż obok nas. Ale powszechna znajomość arcydzieła, niezliczona ilość miejsc jej wykonywania, wielość skrajnych interpretacji, a przy tym nierzadko niezrozumiałość tekstu, podkreśla jej niezwykłość. Stwarza z tego zabytku literackiego rodzaj szklanej góry, do końca niepoznanej, a przez swoje „długie trwanie”, zabytku atrakcyjnego dla każdego: i osoby śpiewającej, i studenta polonistyki, i dla badacza starożytności rodzimych, prowokując go do kolejnej próby mierzenia się z tym wiecznotrwałym zabytkiem kultury literackiej. Tym samym narażania się na sukces lub klęskę. Tak było przez stulecia. Tak jest i dziś. Cechą wyróżniającą bowiem ów tekst jest palimpsestowość. Przypomnijmy, że „palimpsestowość stanowi określenie stosowane dla przejawów stopniowych kumulacji i transformacji kolejnych, częściowo zachowanych następstw działań, które prowadzą do powstania nowej jakości wykraczającej poza poszczególne części skła-

dowe, jak również poza ich sumę” (A. Zalewska, *Modi memorandi*, s. 318). A właśnie owa Proteuszowa natura zabytku oraz korowód pokoleń badaczy mierzących się z nią i z rezultatami efektów poprzedników, ich dorobkiem naukowym, owym intelektualnym „targowiskiem próżności” – intryguje i przyciąga.

Bogurodzica zawsze mnie fascynowała. Poważnie od pierwszego roku studiów; a sprowokowała przewodniczką po Muzeum Bitwy Pod Grunwaldem, kiedy to na moją wyrażoną konspiracyjnym szepcetem uwagę o błędnym zapisie pieśni, znajdującym się tuż obok XVI-wiecznego (sic!) dzieła, spojrziała na mój swobodny, wakacyjny strój, i rzekła: – I tak się Pan na tym nie zna. Więc napisałem książkę *Rozplątywanie nierozwiązywalnego. Bogurodzica* (Katowice 2021), odchodząc przy tym od współczesno-politycznych kontekstów, a koncentrując się wyłącznie na odległych czasach, jak zresztą wielu badaczy przede

mną w tym niekończącym się korowodzie czasów i ludzi. Wróciłem do pytania fundamentalnego, prymarnego. A właściwie kiedy ów tekst mógł powstać? Mógł, ale czy powstał? Pociągające jest bowiem od-rapywanie z tego, co dodawał czas. By pójść jeszcze dalej; aż do genezy dzieła. Znajdując nowe argumenty, które pozwalają na budowanie nowej hipotezy, syntetyzującej dotychczasową wiedzę o początkach arcydzieła i wzbogaconą o swoje własne spostrzeżenia. Otwierające również nowe przestrzenie możliwości badawczych. Czy przekonywujące?

Nie będę się pastwił nad „ścieżkami mylnymi” moich poprzedników. To łatwe. Od razu powiem. Genezę *Bogurodzicy* łączę z okresem „pięknego średniowiecza”, jak to ujmował znakomity badacz francuski Jacques Le Goff. Piękno? Czyżby? Pisał: „Piękne średniowiecze odpowiada poglądomi, że w długim, tysiącletnim okresie, między upadkiem Cesarstwa Rzymskie-



go (koniec V wieku) a odkryciem Ameryki (pod koniec XV wieku), między dwiema bardziej ponurymi epokami, powstała świetlista przestrzeń; można utrzymywać, że ogólne rozjaśnienie przypadło na wiek XIII, a obejmowało przestrzeń Europy od Francji i Włoch, poprzez Skandynawię, aż po kraje słowiańskie i Węgry”. Fundamentalne znaczenie dla nowej organizacji europejskiej społeczności odegrał sobór powszechny z 1215 roku. Po nim nic już nie było tak, jak poprzednio. Piękne średniowiecze to codzienność ludzi pracujących i świętujących już w duchu chrześcijańskim (franciszkańskie unaocznienia i manifestacje wiary, raz w roku spowiedź, dzwony regulujące rytm życia), ale nie tylko w swojej wiejskiej lokalności. Również w świecie miast lokowanych na prawie niemieckim. To także świat wolnych hultajów wędrujących po swoich „hultajskich ścieżkach”, peregrynantów do św. Jakuba w Composteli i św. Franciszka w Asyżu, ludzi „odeszłych od Kościoła”, ale i zakonów żebraczy: franciszkanów głoszących kazania poza kościołami, na otwartych przestrzeniach; i uczonych dominikanów, rozstrząsających zawiłe problemy filozofii scholastycznej w gotyckich katedrach. Piękne średniowiecze to czas ludzi czytających (skupionych, jak w Raciborzu, w elitarnym towarzystwie), szanowanych, a jakże dalekich w swoich poglądach od gburów, idiotów; jak nazywano wtedy nieczytających. To także czas szkół parafialnych, uniwersytetów i ogromnego autorytetu wiedzy i prawa.

Uniwersalizm średniowiecza prowadził jednak na ziemiach polskich do zapętlenia spraw zwykłych, odświętnych i wielkich, światopoglądowych. Szczególnie groźna stała się akulturacja, dostrzegana w trzynastowiecznej fascynacji rodzimych elit dwiema kulturami: czeską, zwłaszcza nowej estetyki w kunsztownej odświętności, choć w języku rodzimym, *in vulgari*; i niemiecką, wzmocnioną lokacją miast i coraz silniejszym, autonomizującym się, żywiołem niemieckim. Swoistą obroną przed innymi kulturami było przyjęcie posoborowych zaleceń, dopełnionych o specyfikę lokalną. A więc: o wymianę kadr po soborze 1215 roku (choćby biskupa krakowskiego Wincentego Kadłubka), projekcję nowej idei Królestwa Polskiego oraz propagowanie przez krąg dominikański kultu nowego świętego, św. Stanisława biskupa.

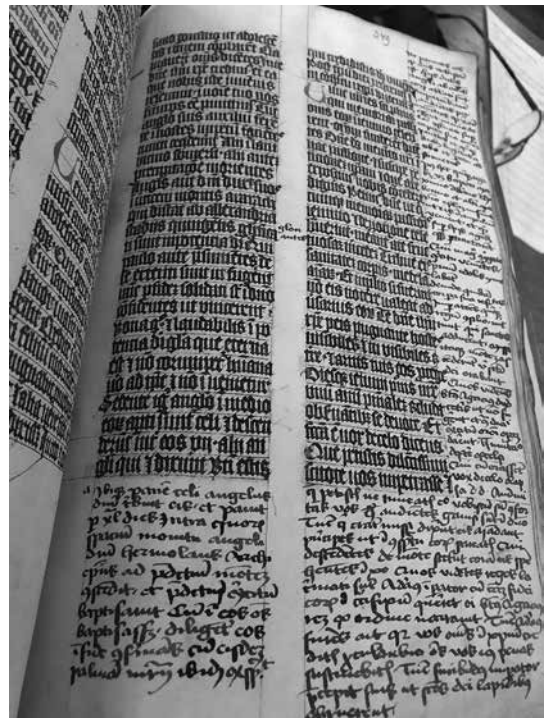
Jednak nie ten moment był ważny dla powstania *Bogurodzicy*. To dopiero czasy późniejsze. Czasy Jakuba Świnka arcybiskupa gnieźnieńskiego w latach 1283–1314, a niegdyś kantora, człowieka prowadzącego podczas nabożeństw śpiewy liturgiczne, przewodzącemu schola cantorum i opiekującemu się księgami liturgicznymi, z których korzystano w czasie mszy świętej, zawierającymi antyfony i sekwencje. Niewykluczone, że właśnie sam Jakub Świnka był twórcą *Bogurodzicy*. Ale też autorem mógł też być inny wybitny twórca z kręgu arcybiskupiego – Godysław Baszko, autor *Kroni-*

ki wielkopolskiej, również kantor. Zatem w otoczeniu arcybiskupa gnieźnieńskiego mogła powstać arcydzieło jako element nowego systemu integrującego wiernych w całość w archidiecezji.

Niewykluczone więc, że na swój pierwszy synod do Łęczycy w roku 1285 Jakub Świnka jechał (jakkolwiek to brzmi dziwnie) z wielozmianowym, spójnym i wyrazistym programem obrony, konsolidacji i odrodzenia wspólnoty narodu polskiego. Wzmocnienia polskiego oblicza chrześcijaństwa europejskiego, ze świadomością siły i rangi oddziaływania naturalnego narzędzia porozumienia, jaki stanowi język. Już w swej istocie kunsztowny język polski, przekraczający poziom li tylko prostego „kierlesza”. Zawsze w tym miejscu przywołuję przykład jednego z pierwszych słów kazania na dzień św. Katarzyny; oczywiście z *Kazań świętokrzyskich*, gdy anonimowy XIII-wieczny autor, miast pospolitego słowa: „przyjaciółko moja”, posłużył się w polskim tłumaczeniu łacińskiej frazy, innym, jakże głębokim w swej ekspresji, określeniem: „milułka moja”; milutka moja.

Arcybiskup gnieźnieński jechał więc zapewne z nowymi tekstami modlitw, pieśni, może i z *Bogurodzicą*; ale też z odnowionym dawnym, w tej chwili zapomnianym, kultem św. Wojciecha. Podstawę stanowiło *Renovatio* (Cuda św. Wojciecha), powstałe w czasach posługi właśnie Jakuba Świnki. Co więcej arcybiskup wzmocnił kult świętego zarządzaniem, by we wszystkich kościołach katedralnych i kolegiackich całej diecezji przechowywano i odśpiewywano podczas nabożeństw „historię” o św. Wojciechu. Tekst oficjum spotkać można w paru rękopisach między innymi w Bibliotece Jagiellońskiej (sygn. 1255). To było ogromne zaskoczenie w czasach kiedy już od półwiecza zapominano, zastępowano postać pierwszego patrona Polski, nowym, silnym, a zarazem dynamicznym kultem św. Stanisława, identyfikowanym z ideą Korony Polskiej. Jedności państwa. Kultem obudowanym szeregiem łacińskich tekstów liturgicznych oraz literackich. Abp Jakub Świnka zaproponował w miejsce jedności rozbitego wszak państwa; lub równoległe doń, propagować ideę wspólnoty narodu, w oparciu o posoborowe ustalenia.

Zapewne dlatego w Tumie pod Łęczycą, w atmosferze niezwykłości chwili, w dostojnym benedyktyńskim klasztorze stającym właśnie z kultu św. Wojciecha mogła powstać, lub jedynie po raz pierwszy została odśpiewana, nowa antyfona, napisana według najlepszych europejskich wzorów, ale już po polsku. Dopełniała, zaskakiwała oraz unaoczniała ona wielki program arcybiskupiej odnowy i przebudowy tożsamości narodowej, której częstą stano-



wił między innymi proces dydaktycznego uszlachetniania języka rodzimego w szkołach parafialnych, do prowadzenia których został zobowiązany proboszcz. Program ten miał jednak wymiar szerszy, ponadlokalny, krajowy. Szczególnie od momentu, gdy bliski współpracownik arcybiskupa, Godysław Baszko, pisze interpolowaną „Kronikę wielkopolską”, utożsamiając i konsekwentnie wprowadzając określenie: „Polacy czyli Lechici”. A on sam, abp Jakub Świnka, bronił i ostro sprzeciwiał się próbom osłabiania żywiołu polskiego, chociażby w momencie powrotu franciszkanów do prowincji saskiej. Wówczas wszak skierował do nich list rozpoczynający się od – jakże wiele mówiących – słów: „Aby Polska była Polską, nie Saksonią”. Działał skutecznie. Choć nie po raz ostatni. On i jego współpracownicy. Chociażby przyszedł biskup krakowski i wrocławski Nankier, z nieodległego Kamienia, dzielnicy Piekar Śląskich, który odegrał szczególną rolę w sporze biskupa Muskaty z Władysławem Łokietkiem, opowiadając się oczywiście po stronie Władysława. I zapewne z tego czasu pochodzą obydwa rękopisy przechowywane w Bibliotece UJ. W krakowskim oficjum bowiem znajdują się modlitwy do świętych. Są tam zapisy obowiązkowo nakazujące odśpiewanie antyfon do świętych: Wojciecha, patrona kraju i krakowskich: Waclawa, Stanisława i Floriana. W tzw. komplecie, modlitwie na zakończenie dnia, wśród tzw. antyfon kończących, śpiewanych w okresie zwykłym, nie znalazłem jednak kolejnego rękopiśmiennego przekazu arcymodlitwy. Współcześnie natomiast jest ona dopuszczona w Liturgii Godzin i śpiewana.



Przyjdzie czas, kiedy z tego, na co patrzycie, nie zostanie kamień na kamieniu, który by nie był zwalony (Łk 21,6).

W filmie Pierra Paolo Pasoliniego *Ewangelia według świętego Mateusza* Jezus nagle staje na południe od Eboli: we włoskim jaskiniowym mieście Matera. „Jerozolimo, wciąż kamienujesz moich uczniów. Oto nie zostanie kamień na kamieniu, to miejsce będzie opuszczone i niezamieszkałe” – mówi z dachów do uczniów, Rzymian i faryzeuszów (Jezusa zagrał kataloński aktor Enrique Irazoqui). W tle tajemniczym bohaterem filmowej scenografii jest miasto Matera – ze swoimi murami i kamieniami, które po włosku nazywane są sassi. Ich imieniem nazwano także starówkę ze starożytnymi jaskiniami, w których w połowie XX wieku mieszkało jeszcze około 20 000 osób.

Wrząc z Aleppo w Syrii i Jerychem w Palestynie, Matera jest jednym z najstarszych miast na świecie; posiadała zabudowę urbanistyczną 9 000 lat temu. Obszar Murcii, na którym znajduje się Matera, był zamieszkały już w okresie neolitu, zatem sama Matera uważana jest za jedno z najstarszych zaludnionych miejsc na świecie. Warunki życia były dobre: była rzeka, żyzna ziemia i łatwe w obróbcę materiały budowlane. W dwóch wzgórzach Sassi naliczono około 3000 siedlisk jaskiniowych. Istnieją również 162 „kościółki” jaskiniowe, niektóre ozdobione są ciągle jeszcze zachowanymi kolorowymi freskami.

Grotty wykuto w stosunkowo miękkim piaskowcu i powulkanicznym tufie. Początkowo to właśnie naturalne jaskinie służyły ludziom jako noclegi. Ponieważ kamień był łatwy w obróbcę, szybko rozbudowano bazę noclegową i wkopano w górę całe mieszkania, które stale rozbudowywano dodatkami. Ludzie wycinali bloki z wnętrza góry, aby wykorzystać je jako materiał do budowy ganku. Im głębiej kopano jaskinie, tym więcej wydobywano materiału budowlanego i budowano fasadę przed grotą. Obok siebie i jeden na drugim, w ciągu tysięcy lat, w skałach powstało miasto jaskiniowe, zagnieżdżona sieć jaskiń, wąskich uliczek i małych placów, pomiędzy którymi znajdują się skalne kościoły, które razem tworzą duże dzieło sztuki architektonicznej. Gdy spacerujemy ulicami Sassi w Matera, ścieżka prawie zawsze prowadzi przez dach mieszkania. Dziś jaskinie „Sassi of Matera” są znane na całym świecie jako część Światowego Dziedzictwa UNESCO i są wpisane na listę zabytków.

Włochy od wieków były podzielone na dwie części. Północ ze swoimi ważnymi miastami prosperowała, słabo rozwinięte południe uważano za dom biedny. „Było dużo kamieni i mało chleba” – przeczytałem w jednym z opracowań.

Domy jaskiniowe, przypomnę: od skał zwane sassi, wykute w stosunkowo miękkim wapieniu, nadal charakteryzują stare miasto Matera. W Sasso Caveoso i Sasso



Włoskie Jerozalemem

JANUSZ PLEWNIAK

Barisano na wzgórzach z dwóch stron katedry, która została zbudowana na płaskowyżu w XIII wieku, do lat pięćdziesiątych XX wieku w opłakanych warunkach żyło tam około 20 000 ludzi, do czasu, gdy zostali przymusowo wysiedleni. Jaskiniowe domy nie miały oświetlenia elektrycznego ani źródeł wody. Deszczówkę zbierano w wydłubanych skalnych cysternach.

Decydujące wydarzenie, decyzja włoskich władz o przymusowej przeprowadzce do mieszkań w nowym mieście Matera zostało wywołane dziełem literackim. W książce „Chrystus zatrzymał się w Eboli” Carlo Levi w 1949 roku opisał warunki higieniczne w Matera jako katastrofalne, czasem gorsze niż w rzeczywistości. Wysiedlenia rozpoczęto w 1952 roku. Kiedy 28 grudnia 1959 roku w wieku 82 lat w Matera zmarł baptyściński kaznodzieja Luigi Loperfido, w Sassi nikt już nie mieszkał. Cztery i pół roku później przyjechał Pier Paolo Pasolini i nakręcił swój film o Jezusie.

W Matera powstało ponad 50 produkcji filmowych. Katedra San Pietro Caveoso, spektakularnie góruje nad wąwozem Gravina, z zabudowaniami starego miasta tworzy obraz jakby dawnej Jerozolimy. Katedra w Matera to kościół rzymskokatolicki. Jest katedrą archidiecezji Matera-Irsina i nosi tytuł bazyliki mniejszej. Kościół został zbudowany w XIII wieku w stylu apulijsko-romańskim i stoi w najwyższym punkcie miasta pomiędzy dwoma wzgórzami Sassi. Tu, na szerokim placu przed kościołem, kręcono wiele scen filmowych. Tu na płaskowy-

żu Murgia, Pasolini kręcił sceny ukrzyżowania na Golgocie.

W Sasso Caveoso i Sasso Barisano wiele domów jaskiniowych zostało obecnie odnowionych i te nowoczesne apartamenty są wynajmowane przez artystów i zamożne osoby. Renowację rozpoczęto w latach 90. XX wieku. Oczywiście zaprowadzono wodociągi, kanalizację i doprowadzono energię elektryczną. Zbudowano restauracje, muzea, pensjonaty, warsztaty artystyczne i hotele, dzięki czemu dziś możliwe jest odtworzenie stylu życia z przeszłości we współczesnych warunkach.

Matera liczy dziś 60 000 mieszkańców, z czego około 2000 obecnie mieszka w jaskiniowych, acz współcześnie urządzonych apartamentach Sassi. Część Sassi nadal stoi pusta i czeka na inwestorów.

Zwiedziłem kilka takich udostępnionych turystycznie mieszkań w grotach, skansenach pokazujących życie nie tak znów dawnych mieszkańców; sprzęty, urządzenia wydłubanych w skałę komnat o różnym życiowym przeznaczeniu, kuchnia, sypialnia, nawet wychodek splukiwany deszczówką.

Byłem także w grocie świętego Antoniego. Nie trzeba wiele, aby wyobrazić go sobie tutaj, pogrążonego w modlitwie. *Tak, święty Antoni był tutaj, w tych miejscach!* – twierdzi z przekonaniem muzealny strażnik. Jeszcze jedna legenda?

Wyszedłszy na zewnątrz, spoglądałam na zabudowania wzgórza „Jerozolimy”. Tej włoskiej, bez kopuły meczetu, a z wieżą katedry. Więc jednak innej.

Wykursywianie

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Zanim opowiem o korekcie kursywologicznej, spróbuję pomedytować, komu i czemu korekta służy w ogóle, po co to robimy. I tu bym znalazł kilka odpowiedzi. Pierwszą w duchu kantowskim: wszystko jest uregulowane prawem i należy stosować obowiązujące przepisy. A jeśli szczegółowych zaleceń brak – kierować się imperatywem ogólniejszym (nie kategoriycznym, bo ten by w końcu dał wyniki zabawne). Druga odpowiedź ma charakter rynkowy: każda redakcja stara się wydać produkt nie gorszy niż inne, a jednym z parametrów ocenianych jest poprawność językowa. Takich uzasadnień można by wygenerować wiele i karmić nimi sztuczną inteligencję, która niebawem wyśle korektorów tam, gdzie już dziś spoczywają zecerzy, metrapaże, a nawet – nie przymierzając – szewcy mężczyźniani.

Z punktu widzenia inteligencji prawdziwej najważniejsze (tu: tylko w aspekcie kursywologicznym) jest, by czytelnik dowiedział się dokładnie tego, co autor chciał wyrazić. A to już cienka sprawa, bo skąd korektor może wiedzieć, co akurat w danym akapicie autor miał na myśli. I co korektorowi daje prawo do powątpiewania, że autor naprawdę napisał to, co pomyślał. Lub... że naprawdę pomyślał aż to, co napisał!

Wyobraźnia korektora

Słowackiemu chodziło „o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”. Pięknie, ale bezkontekstowo. Nasz wieszcz nie za dokładnie wyjaśnił, czyja głowa to wszystko „pomyśli”.

Język powiedział, ale ucho usłyszało. I to ucho albo oko może być w głowie innego „zjadacza chleba”. Korektor musi wyobrazić sobie, co z danego tekstu zrozumie czytelnik, znający kulturowe kody swojego języka pisanego, w tym zasady wykursywiania. Niemieccy filozofowie i filolodzy do dziś nie ustalili, co Kant powiedział wieloma mętnymi zdaniem. I mają słuszne pretensje do korektorów pierwszych wydań, że ci byli względem autora zbyt uprzejmi (lub leniwi).

Języki różnych ludów przez wieki oddalały się od siebie, ale mają wiele cech wspólnych. Jedną z ważniejszych jest regularność, przewidywalność sensu. Tego oczekiwali Arystofanes z Bizancjum (nie ów słynny komediopisarz starożytny, lecz o siedem pokoleń później kierownik Aleksandryjskiej Biblioteki, homerycki tekstolog, a – jako wynalazca kropki i tworca zaczątków interpunkcji – korektorski święty). Głosił on, że to samo zawsze powinniśmy wyrażać tym samym i nie korzystać z kodów sąsiedzkich. Złamanie tej reguły lub niewiedza grozi bowiem poważnymi konsekwencjami.

Sam to przerobiłem na przykładzie komplementu „babka na fleku”, któ-

rym obdarzyłem pewną damę. W moich stronach oznacza to młodą kobietę, energiczną i rezolutną, która na każdą zaczepkę znajduje ciętą odpowiedź. Niestety – owa dama wychowała się tam, gdzie „babka” nie za bardzo jest młoda, a „na fleku” znaczy... pijana. Cięta riposta wyjaśniła sprawę w sposób satysfakcjonujący, bo potwierdziła moją definicję, choć wymagała uznania komplementu za zaczepkę.

Kursywa w bibliografii

Najmniej ekscytującym przedmiotem na pierwszym roku wszelkich studiów filologicznych bywa „ta straszna” bibliografia. Poznajemy różne systemy, a do najtrudniejszych należy bibliograficzny opis starodruków, inkunabułów i rękopisów. Ta wiedza przyda się nie licznym. Na co dzień trapią nas prostsze pytania, np. jak zapisać tytuł dzieła, jeśli ów tytuł na okładce wygląda inaczej niż na stronie tytułowej. Dalej: czy i jakie (rodzajowo) tytuły składać kursywą. Albo: tytuł w tytule dzieła, cytat w tytule, albo: z której strony nazwiska wpisać imię autora.

Te zagadnienia są też stale obecne w pracy korektora tekstów naukowych. Dla lekarzy, inżynierów i wielu innych dobrze zapowiadających się naukowców – dysertacja doktorska bywa pierwszym po maturze poważniejszym wypracowaniem, jeśli nie liczyć pracy magisterskiej, która zwykle ma tylko potwierdzić, że absolwent uczelni potrafi rozwiązywać typowe problemy standardowymi metodami. Ale postępowanie w sprawie nadania stopnia doktora musi być poprzedzone recenzowanymi publikacjami w czasopiśmie naukowych z minimalistycznej listy.

Jak bibliografię sporządzają doktoranci? Niekiedy przepisują katalog biblioteki swojego instytutu, wybierając publikacje tych uczonych, którzy mogą być pomocni w dalszej karierze. Ten sposób wymaga zawzmiankowania danej pozycji w tekście, choćby nawet nie miało to żadnego związku z tematem artykułu czy monografii. Zawsze jednak autor staje przed problemem formalnym: jakie elementy opisu dzieła mają być złożone drukiem prostym, co kursywą, a co podać w cudzysłowie; gdzie kropka, gdzie przecinek i czy można coś wyboldować (pogrubić).

W tej sprawie rację ma nie system, ale uzus. W czasopiśmie z dziedziny fizyki obowiązuje inny styl opisu niż w książkach historycznych, gdzie często występują daty w tytule, a zaraz dalej musimy podać rok wydania dzieła. Stąd przed korektą bibliografii (dość uciążliwa część pracy) proszę autorów, by sprawdzili, jaki system wydawnictwa naukowe przyjęły w danej dziedzinie i jak opisywane są dzieła promotora tudzież domniemanych recenzentów. Rada prosta: bibliografię należy sporządzać dokładnie tak, jak wydrukowano to w książkach najnowszych! Tam na pewno (czyżby?) ktoś przemyślał każdy aspekt opisu i znalazł jedynie słuszne rozwiązanie. Nie kombinować! Nie popaprawiać!

Myśleć czytelnikiem

Pomijam tu teksty poetyckie, ale tylko liryczne, bo w epice obowiązują takie same reguły interpunkcyjne jak w prozie.

Kursywy nie zaliczamy jednak do interpunkcji właściwej, ale do kategorii szerszej: ‘porządkowanie tekstu i wyróżnianie czegoś w utworze’. Gdy czytelnik dostrzeże pochylony druk, od razu wie, że ma do czynienia z wyrażeniem obcojęzycznym, cytatem lub z czymś specjalnym. W zależności od kontekstu mogą to być rzeczy dziwne i nietypowe.

Podobną do kursywy rolę odgrywają cudzysłowy i apostrofy. Który sposób wyróżniania ma wybrać autor, by nie zmylić czytelnika? Odpowiedź krótka: w jednym tekście obowiązuje jedna reguła. W innym może być inna. W artykule naukowym stosujemy wskazówki dla autorów, obowiązujące tylko w danym czasopiśmie. „Śląsk” też publikuje takie wskazówki na stronie slaskgtl.pl.

Zadaniem korektora jest dopilnowanie, by – w danym tekście – to samo (w granicach rozmytej akceptowalności) było zawsze wyrażone tym samym. Ale coś innego – czymś innym. Omawiając „babkę na fleku” raz użyłem cudzysłowu, raz apostrofów. To nie błąd, lecz zasygnalizowanie różnych funkcji.

Niebawem sztucznej inteligencji powierzmy zadanie główne korekty: sprawić, by tekst trochę gorszy stał się trochę lepszym. A w tym artykule starałem się napisać o kursywie tak, żeby jej zbyt nie (nad)używać.

Nagrody dla gliwickiej turystyki

MAGDALENA BARANIECKA

Rok 2023 zaowocował w turystyce wieloma nagrodami dla Gliwic. Przypadły one zarówno obiektowi i miejscu turystycznemu, jak też gliwiczanom.

Marina Gliwice i wodny szlak Kanału Gliwickiego

Jedno z najważniejszych wyróżnień krajowych – certyfikat Polskiej Organizacji Turystycznej – otrzymała Marina Gliwice i wodny szlak Kanału Gliwickiego. Zaliczono je do najlepszych produktów turystycznych w kraju. Należy podkreślić, że jest to pierwsza atrakcja turystyczna w Gliwicach, która otrzymała to ogólnopolskie wyróżnienie branżowe. Dodajmy, że certyfikat POT jest najlepszą rekomendacją dla turystów i gwarancją ciekawego wykorzystania czasu wolnego. Dla obiektów nagrodzonych jest natomiast formą promocji i niejednokrotnie stanowi impuls do dalszego ich rozwoju. Jubileuszowa, bo dwudziesta gala Konkursu na Najlepszy Produkt Turystyczny 2023 odbyła się 28 listopada w Warszawie.

Marina Gliwice powstała w roku 2012 z inicjatywy właścicieli Ewy i Czesława Sternalów. Przystań wodna ulokowana jest w gliwickim porcie, na końcu Kanału Gliwickiego, który łączy nasze miasto i inne miejscowości regionu z Odrą. Jest to dogodne miejsce do uprawiania turystyki wodnej. Można tu odbyć rejs statkiem wycieczkowym, popłynąć kajakiem, wypożyczyć łódź motorową lub zacumować własną jednostkę. Marina organizuje rejsy w okolice Dzierżna do kolonii kormoranów, do Pławniowic czy Ujazdu, a uczestnicy mają możliwość podziwiania przyrody i urokliwego otoczenia Kanału Gliwickiego.

Warto dodać, że Kanałem Gliwickim można nie tylko dopłynąć do Koźła, a następnie Odrą do Szczecina, ale także dalej – do Berlina i Amsterdamu. Kanał, który ma długość 40,6 km, powstał w latach 30. ubiegłego wieku jako następcą Kanału Kłodnickiego, którego początki sięgają przełomu XVIII i XIX wieku. Zbudowano go by utworzyć połączenie z Odrą, służące do transportu ciężkich produktów oraz surowców ze Śląska. Przez kilkadziesiąt lat stopniowo rosło też znaczenie tego szlaku w turystyce. Jest on obecnie dużą atrakcją. Zainteresowanie miłośników zabytków techniki wzbudza sześć śluz służących do wyrównywania poziomu wody (różnica pomiędzy początkiem a końcem Kanału wynosi

ponad 43 metry). Niejednokrotnie też Marina Gliwice i Kanał Gliwicki były obiektami udostępnianymi podczas Industriady, czyli festiwalu obiektów leżących na Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego.

Gliwiczanie na rzecz turystyki

Dla działających na rzecz turystyki gliwiczanie ten rok okazał się również pomyslny. Anna Strzeszewska otrzymała Dyplom Marszałka Województwa Śląskiego za Zasługi dla Rozwoju Turystyki w roku 2023 w kategorii *działalność społeczna*. Podczas swojej drogi zawodowej laureatka była związana z Urzędem Miasta Gliwice oraz Centrum Kultury Victoria w Gliwicach, jest też członkinią PTTK Oddziału Ziemi Gliwickiej. Przez wiele lat zajmowała się promocją walorów turystycznych miasta i jego dziedzictwa kulturowego. Była pomysłodawczynią i organizatorką miejskich obchodów Światowego Dnia Turystyki w Gliwicach, na które składały się spotkania z wybitnymi podróżnikami i krajoznawcami, dla których świat nie miał granic nie tylko na lądzie, ale także na wodzie i w powietrzu. Dużym uznaniem cieszyła się wystawa „Oscar Troplowitz. 95 lat kremu Nivea. Gliwice, Hamburg, Poznań”, której była kuratorem. Współtworzyła gliwicką aplikację GAMA. Ewa Sternal została wyróżniona Dyplomem Marszałka Województwa Śląskiego za Zasługi dla Rozwoju Turystyki w 2023 w kategorii *osobowość turystyczna roku*. Jest pomysłodawczynią i współtwórczynią Mariny Gliwice – przystani wodnej, działającej w gliwickim porcie. Obiekt od wielu lat służy mieszkańcom i turystom. Ewa Sternal jest też prezeską Fundacji MESA, która prężnie działa na rzecz promocji, rozwijania i popularyzowania wszelkich odmian turystyki, w tym wodnej, kreowania i budowy szlaków oraz baz turystycznych, a także edukacji w zakresie uprawiania sportów, w szczególności wodnych. Współpracuje z uczelniami wyższymi o profilu turystycznym, jak również z Politechniką Śląską, której studenci m.in. projektowali koncepcję nowej siedziby gliwickiej mariny.

Krzysztof Ziaja otrzymał Dyplom Marszałka Województwa Śląskiego za Zasługi dla Rozwoju Turystyki w kategorii *działalność biznesowa*. Od roku 1993 laureat prowadzi biuro turystyczne PHU Vita s.c. w Gliwicach, dostosowując swoją działalność do potrzeb

każdego klienta. Dzieci i młodzież z terenu Śląska i ościennych województw wyjeżdżają za jego pośrednictwem nad Bałtyk, w góry, nad jeziora. Jego dewizą życiową są słowa wybitnego pedagoga – humanisty Janusza Korczaka „Maksymalizować dziecięcą radość, minimalizować dziecięce smutki”. Specjalizuje się również w organizacji wyjazdów dla seniorów.

Uroczysta gala wręczenia Dyplomów Marszałka Województwa Śląskiego miała miejsce 26 września 2023 podczas Wojewódzkich Obchodów Światowego Dnia Turystyki w Planetarium Śląskim.

60 lat informacji turystycznej

Mówiąc o nagrodzonych atrakcjach turystycznych, nie należy zapominać o znaczeniu informacji turystycznej i jej zadaniach. Polski System Informacji Turystycznej w grudniu świętował jubileusz 60-lecia istnienia podczas oficjalnej gali w Lublinie, którą zorganizowała Polska Organizacja Turystyczna oraz Forum Informacji Turystycznej. Była to okazja do przedstawienia roli, jaką odgrywała informacja turystyczna na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Oferowane usługi bardzo się zmieniały, ale otwartość, skupienie na potrzebach turysty i wykorzystywanie najnowszych kanałów komunikacji pozostają najistotniejsze dla jej działania. Informacja o atrakcjach turystycznych będzie potrzebna tak długo, jak długo ludzie będą podróżować i poszukiwać wiedzy dotyczącej miejsc, które chcą zwiedzić.

Pierwszy punkt informacji turystycznej w Polsce powstał w roku 1963. Obecnie w kraju znajduje się ich kilkadziesiąt, w tym 307 certyfikowanych przez Polską Organizację Turystyczną. Jednym z nich jest Centrum Informacji Kulturalnej i Turystycznej w Gliwicach, które od czerwca prowadzi działalność w nowej lokalizacji, w Centrum Przesiadkowym, przy ul. Składowej 8a. ■



Kanał Gliwicki

fol. From the Sky Robert Neumann

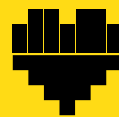


Most na Kanale Gliwickim w Pławniowicach, fot. From the Sky Robert Neumann



Marina Gliwice, fot. Arch.

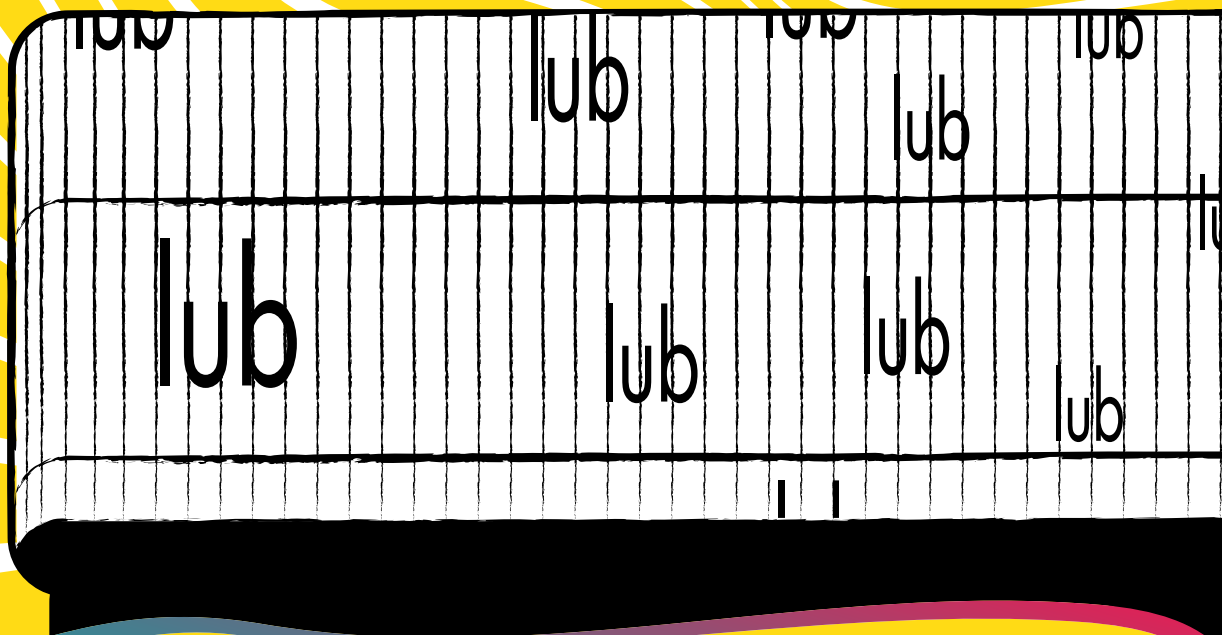
**wejdź
posłuchaj
zobacz...**



KATOWICE
dla odmiany



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Institucja Kultury
im. Krystyny Bochenek



i zostań...

Sprawdź na miasto-ogrodow.eu